

Sharon Sala

ZAGUBIENI

Przełożyła: Renata Stasińska - Soprych

Tytuł oryginału: Missing

Pierwsze wydanie: MIM Books, 2004

Opracowanie redakcyjne: Grażyna Ordega

Korekta:

Ewa Popławska

© by Sharon Sala 2004

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin

Enterprises sp. z o.o. Warszawa 2006

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu
z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych

- żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o. . 00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka
4 ,

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 83-238-1717-0

ISBN 978-83-238-1717-8 . . .

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wes Holden był doświadczonym żołnierzem i dlatego instynktownie wyczuł, że jest obserwowany. Pachnąca miętą warstwa piany do golenia, pokrywająca jego twarz, dawała mu złudne poczucie bezpiecznej anonimowości. Boże, znowu go dopadli... Kiedy podniósł wzrok, najpierw napotkał w lustrze swoje odbicie, potem zobaczył wnętrze pokoju za plecami. Gdy jego spojrzenie zatrzymało się na stojącej w cieniu kobiecie, stłumił jęk.

Powinien był się domyślić.

To tylko Margie.

Na jej twarzy malował się wyraźny strach. Wiedział, że to z jego powodu, ale nie umiał temu zaradzić. Znał ją od dzieciństwa, kochał od czasów szkoły średniej, a od piętnastu nazywał żoną.

Wyczuwało się między nimi napięcie, ale nie miało nic wspólnego z jego ostatnią misją, która zaprowadziła go w poszukiwaniu Osamy bin Ladena najpierw do Afganistanu, a potem, gdy prezydent wypowiedział wojnę, do Iraku.

Tak jak każda żona żołnierza, Margie wiedziała, że jej mąż gotów jest poświęcić życie dla ojczyzny. Jednak teraz trwała regularna wojna, a to zmieniało postać rzeczy. Przerazona Margie z zapartym tchem co wieczór śledziła wiadomości na kanale CNN, modląc się, by w telewizyjnej relacji mignęła twarz męża.

Nigdy nie zapomni dnia, kiedy po otwarciu drzwi ujrzała na progu dwóch oficerów i kapelana wojskowego. Z jej ust wydobył się rozdzierający krzyk. Minęło trochę czasu, zanim dotarło do niej, że jej męża, pułkownika Johna Wesleya Holdena uważa się jedynie za zaginionego i nie ma żadnych dowodów świadczących o jego śmierci.

Zaginiony podczas operacji wojskowej.

Cztery słowa, które niemal przywiodły ją do szaleństwa.

Następny miesiąc przeżyła w dziwnym stanie zawieszenia pomiędzy kompletnym odrętwieniem i napadami porażającego lęku. Zwierzyła się później Wesleyowi, że gdyby nie ich syn, Michael, skończyłaby w kaftanie bezpieczeństwa.

Wesley znów pomyślał o tych strasznych tygodniach, które spędził w niewoli. Po jakimś czasie zwątpił, czy jeszcze kiedyś zobaczy swoją rodzinę. Otrząsnął się i wrócił do golenia. Chciał wyglądać schludnie przed porannym spotkaniem z psychiatrą wojskowym. Uzmysłowił sobie, że choć w słonecznej Georgii życie toczyło się leniwym rytmem, to w Fort Benning sprawy miały się zupełnie inaczej.

Po chwili usłyszał tupot dziecięcych nóżek. Do jego uszu dobiegł głos Margie, która prosiła synka, żeby nie biegał po domu, ale chwilę później Mikey wpadł do łazienki i ledwo wyhamował przed szafką.

- Spokojnie, kolego - napomniął go Wes. - Omal nie rozminąłeś się z lotniskiem.

Pięcioletni Michael John Holden roześmiał się radośnie, odgarnął włosy z oczu i obdarzył ojca przeciągłym spojrzeniem.

- Tatusiu?

Wes westchnął i przycisnął ostrze do policzka.

- Słucham?

- Czy pewnego dnia będę miał taki zarost

jak ty?

Wesley ukrył szeroki uśmiech i opłukał maszynkę pod strumieniem gorącej wody.

- Oczywiście... kiedyś. Musisz trochę podrosnąć, zanim na twojej buzi pojawi się zarost.
- Czy zdąży urosnąć do Bożego Narodzenia? - spytał chłopczyk.

Wes poczuł dziwne ukłucie w sercu.

- Tak, Mikey, na pewno.

Zadowolony z odpowiedzi chłopczyk usadowił się na krześle i zaczął zasypywać ojca gradem pytań, rozśmieszając go do łez. Mikey nie odrywał oczu od ojca, więc po chwili Wes poddał się i przystąpił do ich codziennego rytuału. Wyjął ostrze z maszynki, wręczył ją synkowi, postawił go na szafce i nałożył mu na buzię cienką warstwę pianki.

- Przecwiczymy to, dobrze, synku?
- Dobrze - odpowiedział chłopczyk, po czym z przejęciem pociągnął maszynką po buzi i obejrzał się w lustrze.
- Popatrz, tatusiu, jestem prawie tak dorosły jak ty.
- Tak, synku, zgadza się - odparł Wesley, patrząc z rozczuleniem, jak synek naśladuje jego miny i gesty.

W chwilę później Mikey uznał, że jest ogolony i z powrotem usadowił się na szafce, a Wes skończył się golić. Wrócił myślami do misji w Afganistanie. W chwili jego wyjazdu Michael miał zaledwie cztery lata i interesował się przede wszystkim kreskówkami. Teraz miał prawie sześć lat i zastanawiał się, kiedy zacznie się golić... Kiedy mały Mikey zdążył tak bardzo wydorosnąć? Jak zwykle podczas takich rozważań Wesley poczuł się winny. Ominęło go bardzo dużo ważnych rzeczy, a przecież jego miejsce było przy rodzinie. Wrócił do nich, ale stał się innym człowiekiem. Dręczyły go nocne koszmary, nie umiał zapomnieć o okropnościach wojny.

Zaburzenia wskutek stresu pourazowego.

ZSPU.

Niewinny skrót paskudnego problemu.

Diagnozę przyjął spokojnie. Według niego lekarze wojskowi, ale nie tylko oni, wymyślili rejestr chorób i dolegliwości, bo kiedy coś jest nazwane, łatwiej przyporządkować temu konkret-

8

ne symptomy. Osobiście Wes uważał taką działalność służby zdrowia za przejaw godny sklasyfikowania i nazwania...

Uratowali go, wysłali do domu, żeby się wy-kurował, a gdy pewnego dnia uznają, że znów jest zdolny do służby wojskowej, pošlą go z powrotem do Iraku. Jednak jego rekonwalescencja nie przebiegała tak szybko, jak zakładano. Czasami nachodziły go wątpliwości, czy ta kuracja w ogóle odniesie pożądaný skutek. Tymczasem będzie kochał się z żoną i obserwował, jak rośnie ich syn.

Już prawie kończył golenie, gdy usłyszał z ulicy głośny huk z rury wydechowej śmieciarki. Żołądek podszedł mu do gardła. Odruchowo schylił się i chciał rzucić do ucieczki, lecz szybko przyszło otrzeźwienie. Widok syna uspokoił go i przekonał, że jest bezpieczny.

Jednak zanim zorientował się w sytuacji, przycisnął ostrze maszynki zbyt mocno i zaciął się w policzek. Zaklął, kiedy cieniutka strużka krwi pojawiła się na jego szyi. Mikey krzyknął przerażony:

- Tatusiu! Leci ci krew!

Wes w milczeniu obserwował maleńkie kropelki. Nie potrafił oderwać od nich wzroku ani nakazać pamięci, by przestała podsuwać mu przerażające obrazy skrwawionych ciał i martwych, pustych oczu. Poczul dławienie w gardle, a na czoło wystąpił mu zimny pot. Zdawał sobie sprawę, gdzie jest, czuł pod stopami zimne płytki

9

podłogi, ale nie mógł wyrwać się z ciemności. Mikey chwycił go za rękę.

- W porządku, tatusiu - rzekł cicho. - Zajmę się tym.

Wybiegł z łazienki, a chwilę potem w drzwiach pojawiła się Margie z naręczem świeżych ręczników. Spojrzała za biegnącym synkiem i pomyślała z rezygnacją, że Mikey pewnie znów coś zbroił. Przeniosła wzrok na stojącego przed lustrem Wesleya.

- Co się stało? - spytała.

Przełknął dziwnie gorzką ślinę i wziął głęboki oddech, usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

- Zaciąłem się - oznajmił, przyciskając do policzka kawałek waty.

- Pokaż - Margie odsunęła jego rękę na bok. - No, to na szczęście nic groźnego, zaraz przyniosę coś do zatamowania krwawienia.

Wes objął ramionami jej kibić, przyciągnął ją do siebie i dotknął twarzą jej szyi.

- Wszystko, czego potrzebuję, już mam - powiedział cicho i pocałował ją za uchem.

Margie jęknęła. Kochała męża i wystarczył jego dotyk, by natychmiast poczuła się podniecona. Mikey przerwał tę czułą scenę, wpadając z impetem do środka.

- Potem - szepnął Wes, widząc uśmiech Margie.

- Mam, tatusiu! Mam! - wołał głośno. Wesley uklęknął na jedno kolano i oplótł ramieniem synka.

10

- Co tu masz, młody człowieku?

- Plastry. Mama przykleja mi je, gdy się skaleczę. Będzie dobrze, tylko teraz musisz stać nieruchomo.

Wes kiwnął głową na znak zgody i usiadł na brzegu wanny. Gdy dostrzegł w oczach syna własne odbicie, drgnął zdziwiony. Wciąż nie mógł wyjść z podziwu, że koszmar, który przeżył, prawie w ogóle nie odbił się na jego wyglądzie zewnętrznym.

- Jeszcze chwileczkę, tatusiu - powiedział chłopczyk, odrywając folię z małego plastra.

Wesley zamknął oczy, czerpiąc siłę z jego delikatnego dotyku. Czuł pachnący miętową pastą do zębów oddech chłopca i widział delikatny strupek na jego policzku, który pozostał nienaruszony pomimo zabawy w golenie. Mikey miał gęste ciemne włosy i, tak jak ojciec, niesforny zakręcony kosmyk na czubku głowy. Gdy się uśmiechał, widać było szczyrby po mlecznych zębach. Wes poczuł, jak ze wzruszenia dławi go w gardle. To dziecko dorastało bez ojca, ale pogodzenie służby z życiem rodzinnym wydawało się prawie niemożliwe.

- Siedź grzecznie, tatusiu - poprosił Mikey. - To nie będzie bolało.

Wes przymknął oczy, żeby ukryć łzy wzruszenia i zmusił się do uśmiechu, gdy poczuł na szyi paluszki syna.

- Jesteś wspaniałym małym lekarzem - powiedział i nagle przyszedł mu do głowy pewien

11

pomysł. - Pokaż buzię - zwrócił się do syna. - No cóż, tego się właśnie obawiałem.

Chłopiec popatrzył na niego ze zdziwieniem

- Co tam mam, tatusiu?

- Wygląda na to, że i ty będziesz potrzebował plastra w tym samym miejscu.

Mikey westchnął.

- Tak myślałem...

Margie szybko skryła uśmiech.

- Ponieważ jestem jedyną w pełni zdrową osobą w tej rodzinie, przygotuję jeszcze jeden opatrunek J.N.

Gdy wyszła z łazienki, Mikey usadowił się szybko między kolanami ojca i delikatnie pogłaskał go po szyi.

- J.N. znaczy „jak najszybciej”. Wes skinął głową.

- Tak. Brawo. Szybko się uczysz, chłopie. Mikey uśmiechnął się promiennie, a potem

nagle się zawstydził.

- Cieszę się, że jesteś w domu - powiedział nieśmiało.

Ojciec objął go ramionami.

- Wiem, kolego. Ja także się cieszę.

Gdy Margie znów stanęła w drzwiach łazienki, jej oczom ukazał się rozczulający widok. Mikey przytulał się z całych sił do Wesa, który z trudem ukrywał łzy wzruszenia. Opuściła ręce wzdłuż bioder i udała zmartwioną, gdy Wes nakleił plaster na policzku chłopca.

- A teraz wynoście się z łazienki, bo muszę

12

zetrzeć rozlaną krew-powiedziała groźnie, ujmując się pod boki.

Nie wiedziała, że jej słowa wywołały u Wesleya atak paniki, zdołał to jednak jakoś ukryć.

- Chodź, koleś. Chyba przeszkadzamy mamie.

Chwilę potem wszyscy znajdowali się w drodze do bazy.

Georgia wyglądała wiosną naprawdę pięknie. Podczas jazdy Wesley spoglądał tęsknie na zadbane trawniki i myślał o bezkresie gorącego pustynnego piasku i upale. Do tego wkrótce miał wrócić. Cudownie kwitnące drzewka brzoskwińowe, obok których przejeżdżali wczoraj, wkrótce zaowocują, a potem zaczną gubić liście. Siedzącemu z tyłu Mikeyowi nie zamykała się buzia. Planował, co kupią w kantynie bazy wojskowej tatusia, a najdłużej rozwodził się nad koniecznością zakupu masła orzechowego.

Na pozór wszystko było w porządku, jednak chwilami Wesley odnosił wrażenie, że tylko udaje zdrowego i normalnego człowieka, choć tak naprawdę wcale nie wyzwolił się z obłądu. Nie dopuszczał do siebie myśli, że potrzebna jest mu fachowa pomoc, ale był gotów poddać się każdej terapii, byle tylko poczuć się lepiej i zaakceptować rzeczywistość.

Prowadząc samochód, Margie co jakiś czas dotykała męża, jakby nie chciała ani na chwilę tracić z nim kontaktu. Wesley doskonale ją rozumiał. Dla niego ta rodzinna wyprawa wydawała

13

się czymś nierzeczywistym. Szczerze podziwiał Margie, która w sobie tylko wiadomy sposób była w stanie odpowiadać na wszystkie pytania Mike-ya, rozmawiać z mężem, a jednocześnie skupić się na kierowaniu samochodem.

Wkrótce zjechali z autostrady w kierunku bazy. Wesley podświadomie wyprostował się na fotelu i automatycznie odpowiedział na salut strażnika stojącego w bramie. Rzucił okiem na zegarek; dochodziła dziewiąta. A więc jest punktualnie.

- Margie, nie musicie ze mną iść. Jedźcie załatwić swoje sprawy. Jeśli wypuszczą mnie stąd, zanim skończycie, poczekam na zewnątrz. Pogoda jest zbyt ładna, żeby siedzieć w dusznym budynku.

- W porządku - odparła, zatrzymując samochód przed szpitalem.

Pochylił się, żeby ją pocałować, mrugnął porozumiewawczo do synka i wysiadł.

- Do zobaczenia później, kolego. Opiekuj się mamą.

- Jasne, tato.

Skierował się w stronę wejścia, ale po kilku krokach poczuł przemożne pragnienie powrotu do Margie. Obrócił się gwałtownie, podnosząc rękę, żeby zatrzymać samochód, ale była już za daleko. Stłumił nagły niepokój i irytację, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Wesley starał się odpowiadać jak najlepiej na dociekliwe pytania doktora Price'a. Chciał, by

14

uznano go za w pełni zdrowego. Nagle budynkiem wstrząsnął głośny wybuch. W ułamku sekundy wszystkie okna w gabinecie doktora pękły, zasypując wnętrze gradem ostrych odłamków. Wesley błyskawicznie padł na podłogę, Price jednak nie zareagował równie szybko. Rzucił się w kierunku drzwi, lecz nie zdążył do nich dobiec. Jeden z odłamków szkła, przecinających z impetem powietrze, trafił go w tył głowy, a kilka mniejszych wbiło mu się w ciało. Doktor upadł, skręcając się z bólu. Na dywanie pojawiły się ślady krwi. Wesley instynktownie zaczął działać, tak jak go uczono. Rzucił okiem w kierunku dziur po wyrwanych oknach, by upewnić się, czy w zasięgu wzroku nie ma żadnego wroga, potem kucnął, chwycił doktora pod pachy i wyciągnął z pokoju. Na korytarzu panował chaos. Ludzie biegali bezładnie i krzyczeli. Wes słyszał równocześnie syreny karetek pogotowia i samochodów straży pożarnej. Ciągnąc cały czas doktora, przesuwał się w stronę wyjścia.

- Ma jakieś obrażenia? - zapytał go jeden z sanitariuszy.

- Wybuch zniszczył okna w jego gabinecie. Chyba poraniły go odłamki szkła, ale trudno mi powiedzieć coś więcej.

Doktor jęknął, gdy sanitariusz ułożył go na noszach twarzą w dół.

- Spokojnie, proszę pana. Będzie dobrze. Serce Wesleya tłukło się niczym uwięziony ptak.

Po plecach spływały mu strużki zimnego potu.

15

- Co się stało?

- Wybuch w kantynie - odpowiedział ktoś z personelu medycznego.

Kantyna?! Dobry Boże!

Wesleyowi zabrakło powietrza. Wiedział, że za chwilę wpadnie w panikę i przestanie myśleć racjonalnie. Uderzył pięścią w ścianę tak mocno, by poczuć ból, który zmusi go do działania. Pomogło... Wybiegł z budynku w chwili, gdy spod szpitala ruszały na sygnale kolejne karetki pogotowia. Spojrzał do góry i dostrzegł ponad dachami złowróżbną smugę czarnego dymu. Zaczął biec. Dwa budynki dalej udało mu się wcisnąć do wojskowego dżipa kierującego się w stronę pożaru. Gdy przybył na miejsce, właśnie grodzono teren.

- Przepraszam, ale nie może pan tam wejść - powiedział młody żandarm.

Wesley usiłował przepchnąć się obok.

- Moja rodzina... Muszę zobaczyć, czy...

- Przykro mi, proszę pana, ale nikomu nie wolno wchodzić na ogrodzony teren bez pozwolenia dowódcy straży pożarnej.

Wesley cofnął się, po czym zaczął przeciskać się przez tłum gapiów, nie odrywając wzroku od płomieni. Front budynku, w którym znajdowała się kantyna, przestał istnieć. Zobaczył ogromną dziurę w chodniku. Nikt nie musiał wyjaśniać mu, co spowodowało te zniszczenia. Wiele razy oglądał podobne sceny, tyle tylko, że rozgrywały się poza granicami kraju. A teraz zaatakowano bazę

16

armii amerykańskiej. Nagle wpadł na jakiś samochód i po chwili zorientował się, że dotarł na parking dla klientów kantyny.

Nigdzie nie mógł dostrzec wozu Margie. Może wcale tu nie przyjechała? Może wróciła do szpitala i właśnie go poszukuje? Boże, spraw żeby tak było.

Zaśmiał się histerycznie, ale dźwięk, który z siebie wydał, przypominał raczej wycie szaleńca. Wciąż spięty, ale już nieco spokojniejszy, ruszył wzdłuż szeregu samochodów w kierunku wyjścia z parkingu. Wtedy nastąpił drugi wybuch, wyrzucając w powietrze odłamki cegieł, kamienie, szkło, drewno i plastik. Wesley padł na ziemię, odruchowo sięgnął do pasa po broń, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest nieuzbrojony. Przeturlał się pod jakiś samochód. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że znów jest w Iraku, na szczęście szybko się pozbierał.

- Niech to wszystko diabli... — mruknął do siebie, podniósł się powoli i właśnie rozglądał za swoją czapkę, gdy nagle zamarł. Samochód stojący w rzędzie naprzeciwko... Był niebieski, ale... przecież jest mnóstwo niebieskich samochodów tej marki. Nie, nie, to nie może być ich wóz. Mimo to zaczął iść w tamtym kierunku. Gdy zobaczył drobne wgniecenie na prawym błotniku, poczuł, jak do ust napływa mu gorzka ślina. Nie miał odwagi spojrzeć na naklejkę

na przedniej szybie, nie był gotów na stawienie czoła faktom. Wtedy zobaczył fotelik dziecięcy z tyłu i oblał go zimny

17

pot. Spokojnie, to jeszcze nic nie znaczy, o niczym nie przesądza. Przecież tutaj mnóstwo ludzi ma dzieci... Sięgnął do klamki, modląc się, by drzwi były zamknięte. Przecież wszyscy odruchowo zamykają samochód...

Ale te drzwi były otwarte.

Jęknął. Tak, wszyscy zamykali samochody, wszyscy oprócz Margie, która na ogół o tym zapominała. Spojrzał za siebie w kierunku kantyny i zdusił narastający w krtani krzyk. To oznaczało, że oni byli tam w środku. Musiał ich odnaleźć. Pośmieją się razem z tego, że znowu nie zamknęła drzwi, a potem zabierze ich na lunch. Wcześniejszy lunch to świetny pomysł. Ruszył przed siebie, wciąż na trzęsących się nogach. Pożar był już pod kontrolą. Wesley przeszedł obok kilku żandarmów wojskowych, potem koło wozu straży pożarnej. Nie zauważył nawet, że idzie po wodzie. Poczłł gorące powietrze na twarzy, ale bez zastanowienia zdjął kurtkę od munduru i wręczył ją przechodzącemu żołnierzowi.

- Proszę pana! Proszę pana! Nie może pan tam iść - zawołał za nim żołnierz, ale Wesley nie zwolnił.

Żołnierz pobiegł za nim, lecz szybko stracił go z oczu w kłębach dymu. Wszędzie wewnątrz byli żołnierze. Pomagali strażakom w ewakuacji ofiar, podpierali belkami ściany grożące zawaleniem, kopali w gruzach w poszukiwaniu ocalałych. Wes potknął się o puszkę tuńczyka i omal nie upadł. Ktoś chwycił go za ramię, ale wyszarpnął się

18

i kontynuował poszukiwanie. Słyszał krzyki i jęki rannych. Pomagał, jak umiał, wyciągał ludzi spod zwałów gruzu, modląc się, by natrafić na Margie i synka, lecz niebiosy nie wysłuchały jego modlitw. Biegał z kąta w kąt, coraz szybciej i bardziej chaotycznie, powoli ogarniała go panika. Jego serce waliło jak młotem, oddychał z trudnością, raz za razem doznawał skurczów żołądka i czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Pomieszczenie było duże, wręcz ogromne. Kto wpadł na ten idiotyczny pomysł, żeby zbudować taką wielką kantynę? Gdy usłyszał za sobą głośny huk, natychmiast padł. Zaczął się czołgać, dopiero po chwili zrozumiał, że coś spadło z półki. Podniósł się i zakrył dłońmi twarz, usiłując wymazać z pamięci zapach krwi i palących się ciał. Myślał. Musiał trzeźwo myśleć, bo wciąż męczyło go przeświadczenie, że zapomniał o czymś bardzo ważnym. O czymś, co podpowiedziałyby mu, gdzie powinien szukać. Nagle przypomniał sobie o maśle orzechowym, które chciał kupić Mikey. To musiało być gdzieś z tyłu... Zaczął iść coraz szybciej, próbując dotrzeć do

miejsca, gdzie stały półki z masłem orzechowym. Teraz wszystkie regały były poprzewracane i zniszczone, nic nie wyglądało tak jak kiedyś.

- Margie! Margie! Gdzie jesteś, kochanie? To ja, Wes! Słyszysz mnie? Odezwij się!

Nikt nie odpowiadał na jego wołanie.

Parę minut później zobaczył kilku żołnierzy usiłujących podnieść jakieś półki. Gdy ujrzał

19

wystającą spod gruzów nogę kobiety, jego uwagę przykuł widoczny but. To był but Margie.

- Margie!

Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy, dopóki nie spojrział na niego jeden z żołnierzy. Wesley był bez czapki i bez kurtki od munduru, więc żołnierz nie znał jego stopnia wojskowego.

- Hej, żołnierzu, pomóż nam! - zawołał ze zniecierpliwieniem.

Determinacja w głosie młodego człowieka popchnęła Wesa do działania, chociaż w tej chwili czuł pustkę w głowie. Stał, gdzie mu kazano, ale kiedy unieśli jedną z półek, z jego piersi wyrwał się jęk. Zobaczył przerażający widok. Ciało jego żony zostało zgniecione przez falę uderzeniową wybuchu albo przez spadające półki, które dosłownie przygwoździły ją do podłogi. Właściwie co za różnica, jak umarła? Wesley nie umiał zapewnić jej bezpieczeństwa. Odepchnął pozostałych żołnierzy i kucnął przy ciele Margie. Kiedy podparł ręką jej szyję, głowa przechyliła się bezwładnie na jedną stronę. Nie chciał nawet myśleć, czy cierpiała w chwili śmierci, czy też koniec był szybki i gwałtowny. Za-krztusił się, a potem zaczął płakać.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

Wesley nie przeczuwał jeszcze, że to dopiero początek koszmaru. Gdy odsunęli ciało Margie, odnalazł synka.

- Boże, proszę... Nie rób mi tego... - błagał,

20

gdy rozpaczliwie próbował wyczuć choćby sła-biutki puls na szyi dziecka.

Na próżno.

Potem położył rękę na piersi Mikeya, jak gdyby w ten sposób chciał zmusić serduszko chłopca do podjęcia pracy.

Szlochając głośno, schylił się nad żoną i synkiem i objął ich ramionami. Z jego piersi wydobył się zwierzęcy skowyt, który przeraził pozostałych żołnierzy. Bez powodzenia próbowali go podnieść, choć powinni się domyślić, że właśnie stracił najbliższych. Gdyby teraz odszedł od żony i syna, zerwałby ostatnie ogniwo łączące go ze światem.

Pomimo daleko posuniętej ostrożności jego najgorsze obawy właśnie stały się rzeczywistością. Przegrał walkę.

Wróg odnalazł go w jego domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dopiero ludzie z oddziału ratunkowego, którzy kilka minut później przybyli na miejsce zamachu, zdołali oderwać Wesleya Holdena od ciała jego żony i syna.

- Uspokój się! To ty potrzebujesz naszej pomocy - powiedział lekarz, biorąc go pod ramię.
- Nie, zostawcie mnie - odpowiedział Wesley zdławionym głosem, odpychając go od siebie.
- Muszę się nimi zaopiekować.

Kiedy podeszli do Margie, żeby położyć ją na noszach, Wesley szarpnął się i skoczył do przodu.

- Uważajcie, do cholery! Uderzycie ją w głowę! - Delikatnie wsunął ręce pod jej szyję. - Teraz

- powiedział miękko i odgarnął z jej twarzy zakrwawiony kosmyk włosów, który przylepił się do policzka. - Nie martw się, kochanie. Nie pozwolę im zrobić ci krzywdy.

Sanitariusze wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zbyt często oglądali ludzkie tragedie, by

22

czemukolwiek się dziwić. Gdy zaczęli wyciągać z gruzów dziecko, Wesley stał jak zamurowany. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, ale cały się trząsł. Przesępował z nogi na nogę i cicho pojękiwał. Lekarz rozumiał rozpacz Wesleya i okazywał mu współczucie, jednak zdawał sobie sprawę, że ofiar będzie więcej.

- Proszę pana, niech pan pozwoli nam dalej pracować.
- Nie... nie... Będzie lepiej, jeżeli ja to zrobię - powiedział cicho. - To mój synek. Może źle zareagować na obcych. Boże! Jak ja nienawidzę tych okropności! - Wesley gwałtownie uniół ręce, po czym pochylił się i podniósł chłopca. Następnie powoli ruszył w stronę wolnych noszy, potykając się po drodze o puszki z fasolką. Jednak już przy noszach, zamiast położyć dziecko, przygarnął je do piersi i stojąc tak w kłębach dymu, przytulił twarz do miękkiego policzka.

Nie mógł uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Bóg zrobił mu zbyt okrutny kawał. Wesley przysięgał, że będzie odważnie walczył i nie zawaha się oddać życia. To on powinien był umrzeć. Bóg bardzo dobrze wiedział, że Wes nie będzie umiał żyć w świecie, w którym nie ma Margie i Mikeya, więc jeśli chciał go uśmiercić, powinien był pozwolić mu zginąć w Iraku.

Wesley potarł delikatnie policzek o buzię synka i w tym momencie poczuł delikatny, mentolowy zapach swojego kremu do golenia, którym obaj bawili się rano. Przyszło mu na myśl, że chłopiec

23

nigdy nie doczeka się męskiego zarostu. Nigdy nie nauczy się czytać i nigdy nie skończy żadnej szkoły, nie stanie się ojcem... Wszystkie marzenia, nadzieje i plany na przyszłość legły w gruzach. W ułamku sekundy wszystko się skończyło. Lekarz dotknął Wesleya.

- Proszę, niech pan go położy.

Drgnął i spojrział tak, jakby usłyszał głos z zaświatów.

- Proszę pana?

Wesley przycisnął mocniej chłopca do siebie.

- Błagam... - Lekarz wskazał na nosze. Wes spojrział na nosze, a potem na dziecko, które trzymał w ramionach. Jakaś półka za nimi upadła z łoskotem, na zewnątrz ktoś rozpaczliwie wzywał pomocy. Wesley ocknął się, po raz ostatni pocałował chłopczyka w policzek i ułożył go na noszach. Gdy sanitariusze zaczęli przykrywać ciało chłopca, Wes wyrwał im z rąk plastikową płachtę.

- Ja to zrobię. Mój synek lubi, żeby było mu ciepło.

Pochylił się, naciągnął płachtę aż po brodę Mikeya i delikatnie go otulił.

- Śpij dobrze - wyszeptał, a potem odszukał opatrunek na jego szyi, jakby chciał się upewnić, że nadal mocno się trzyma.

Przeglądający się tej scenie spadochroniarz odciągnął Wesleya i lekko popchnął w kierunku wyjścia. Kiedy przechodzili obok wozów straży pożarnej, jakiś oficer wyszedł z tłumu i chwycił Wesleya za ramię.

24

- Wes! Nic ci nie jest? Spadochroniarz szybko zasalutował.

- Panie pułkowniku!

- Spocznij! - odpowiedział pułkownik. - Co tu się stało?

- Pan zna tego mężczyznę, panie pułkowniku? Charlie Frame skinął głową.

- To pułkownik Wesley Holden. Wes... odezwij się, człowieku. Jesteś ranny?

Lecz Holden nie zdawał sobie sprawy ani z obecności kolegi, ani z tego, co dzieje się wokół.

Patrząc na osmaloną twarz i nieruchomy wzrok Wesleya, Charlie poczuł ukłucie niepokoju.

Spadochroniarz podszedł z Wesleyem do sterty skrzynek i posadził go na nich. Charlie podążył za nimi.

- Panie pułkowniku - odezwał się żołnierz - przed chwilą wyciągnęliśmy z gruzów ciało kobiety i małego chłopca. Sądząc z reakcji pułkownika Holdena, dobrze znał oboje.

- Dobry Boże! - Charlie rozejrzał się dookoła. Może to jakaś koszmarna pomyłka, myślał gorączkowo. Tak, na pewno, ktoś musiał się pomylić. - Te ciała... gdzie one są? Gdzie je zabraliście?

Żołnierz wskazał na szybko rosnący szereg zwłok kładzionych na pobliskim trawniku. Niektóre z nich były nakryte folią, inne kocami lub fragmentami garderoby.

Charlie popatrzył na Wesa, po czym ruszył w kierunku prowizorycznej kostnicy. A jednak

25

zanim tam dotarł, zawahał się. Po chwili namysłu zmusił się, by odchylić folię przykrywającą dwa ostatnie ciała. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi jego mózg kazał mu traktować oczywiste fakty jako przywidzenie.

Niestety, musiał zaakceptować prawdę.

To była Margie. Ostatni raz widział ją, jak przerażona siedziała na skraju łóżka Wesa w szpitalu. Teraz trudno było rozpoznać jej twarz. Odwrócił się znowu w kierunku Wesleya, a potem spojrzął w dół. Jego wzrok ześlizgnął się z zakrwawionej kobiecej twarzy na małego chłopca leżącego tuż obok. To był Michael, i gdyby nie cienka smuga krwi na jego policzku, można by pomyśleć, że przed chwilą usnął.

Charlie jęknął. Łzy, które napłynęły mu do oczu, utrudniały widzenie. Wyciągnął drżące ręce, żeby poprawić koszulkę na brzuchu chłopczyka. Brak jakiegokolwiek reakcji i upiorny bezruch dziecka, które za życia aż kipiało energią, przyprawiał go o gęsią skórkę i potęgował poczucie grozy.

Podniósł się powoli i zaklął cicho. Wysłano ich do obcego kraju, żeby toczyli wojnę z gotowymi na wszystko szaleńcami, którzy zagrażali ich najbliższymi. A teraz wszystko obróciło się przeciwko nim. Jak to możliwe, że coś tak koszmarnego wydarzyło się na ich terenie, w dodatku w pieprzonej bazie wojskowej?

Wrócił do przyjaciela i usiadł przy nim.

- Wes, ogromnie mi przykro, stary.

26

Wesley nie odpowiedział.

Charlie położył mu rękę na plecach.

- Wes, to ja, Charlie. Jestem tu, żeby ci pomóc.

Twarz Holdena nie wyrażała ani krzty emocji. Myślnami był daleko, w miejscu, gdzie nie istniało piekło. Charlie nie wiedział, jak przywrócić go do rzeczywistości. W swoim życiu

widział mnóstwo martwych ludzi, często sięgał po broń i zabijał. Czasami dręczyły go wyrzuty sumienia i wątpliwości, bo czy można usprawiedliwić wszystkie okropności toczącej się wojną i obowiązkiem wykonywania rozkazów? Jednak dzisiejsza tragedia zupełnie go podłamała. Miał ochotę położyć się na ziemi i wyc z bólu.

Delikatnie rozpylona woda zrosiła równomiernie twarz Wesleya. Czuł wilgoć, lecz nie wiedział, skąd pochodzi. Drażnił go silny swąd, ale poza tym miał nikły kontakt z otoczeniem. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział, co tu robi. Na domiar złego dręczyło go przeświadczenie, że powinien znajdować się w zupełnie innym miejscu.

Wokół gorączkowo biegali ludzie, nawoływali się, niektórzy krzyczeli ze strachu. Gdzieś w górze słyszał dobrze sobie znany warkot helikoptera. Ten dźwięk, tak normalny i powszedni podczas działań wojennych, nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Był doświadczonym żołnierzem, brał udział w wielu akcjach, w ciągu ostatnich dwóch lat warkot helikopterów towarzyszył mu

27

niemal nieustannie. Lecz tym razem coś się nie zgadzało. Kiedy usiadł, uzmysłowił sobie, że coś jest nie w porządku. Nie miał w ręku broni. A przecież żołnierz zawsze powinien mieć ją przy sobie.

Kierowca stojącej obok karetki pogotowia włączył nagle syrenę i ruszył w kierunku szpitala. Dźwięk zelektryzował Wesleya. Kurczowo zacisnął dłonie. Zobaczył nad sobą zasnutę dymem czarne niebo. Dlaczego jest czarne? Nie powinno tak wyglądać. I gdzie, do cholery, jest jego broń?

Mohammed el Faud był oszustem. Przez ostatnie siedemnaście miesięcy mieszkał w Cołumbus w stanie Georgia pod nazwiskiem Frank Turner, pracując dla jednego z cywilnych kontrahentów w Fort Benning.

Pięć lat temu, kiedy po raz pierwszy przybył do Stanów Zjednoczonych, przeszedł operację plastyczną, która miała na celu całkowitą zmianę jego wyglądu. Obecnie regularnie odwiedzał salon piękności o nazwie Lighten Up, który znajdował się w bezpiecznej odległości od bazy wojskowej. Tam oddawał się w ręce kobiety imieniem Est-ralita, która za pomocą specjalnych preparatów odbarwiała mu włosy, zmieniając go w blondyna. Następnie, żeby utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że jego ciemna karnacja to po prostu opalenizna, wydawał fortunę na seanse w solarium. Żeby ukryć ciemnobrązowe oczy, nosił

28

niebieskie szkła kontaktowe. Był wykształconym językoznawcą, który bez trudu przyswoił sobie angielski akcent z kalifornijskimi naleciałościami. Zaczął działać po amerykańskiej interwencji wojskowej w jego ojczystym kraju.

Zadanie okazało się łatwiejsze, niż uprzednio zakładał. Po miesiącach starannego planowania uderzył niewiernych w samo serce, i to na dwa sposoby. Najpierw zaatakował wroga w jego własnej, silnie strzeżonej bazie wojskowej, potem obierał cele cywilne, na przykład rodziny wojskowych.

Kantyna bazy była oczywistym i łatwym celem. Tego dnia, jak zwykle, wjechał samochodem do bazy, zatrzymując się tuż przed magazynem. Najpierw pożartował z dozorcą o nazwisku Jeter, potem pomógł jakiejś ciężarnej kobiecie zapakować zakupy do samochodu, po czym spokojnie się oddalił. Dwa bloki dalej, ukryty za betonową ścianą, zdetonował bombę, którą zostawił w samochodzie.

Jego misja jeszcze się nie skończyła. Zdołał wślizgnąć się na odgradzony przez żandarmów wojskowych teren i kiedy znalazł się wśród licznej grupy ocalałych z zamachu ludzi, zrzucił pelerynę i wydał ścinający krew w żyłach okrzyk, który poprzedził litanią złorzeczeń wygłoszonych w ojczystym języku. Gdy tak krzyczał i wymachiwał detonatorem połączonym z ładunkami przytwierdzonymi do klatki piersiowej, wyglądał na szczęśliwego i spełnionego.

Grupa ratunkowa

29

momentalnie zawiesiła działania, a do akcji wkroczyła jednostka specjalna.

Mohammed el Faud nie miał żadnych złudzeń co do swego losu. Wiedział, że umrze. Zdetonuje ładunki przytwierdzone do ciała i zabije jeszcze więcej ludzi. Będzie to znaczące wydarzenie dla jego narodu. Wielu poświęciło życie, wjeżdżając samochodami-pułapkami w tłumy ludzi lub w budynki, ale żaden terrorysta nie powrócił na miejsce zamachu, żeby zabić ponownie. Tych, którzy ocaleli, i tych, którzy próbowali ich ratować.

Wykrzykiwane po arabsku przekleństwa otrzeźwiły Wesleya i przywróciły mu jasność myślenia. Od razu rozpoznał ten język, a nawet pojął sens poszczególnych słów. Jednak kalifornijska opalenizna mężczyzny i ładna, niemal chłopięca twarz kłóciły się z powszechnie funkcjonującym wizerunkiem terrorysty. No i te krótkie jasne włosy... Jednak Wesley przekonał się na własnej skórze, że pozory mylą. Zobaczył ładunki wybuchowe i detonator, który zamachowiec trzymał w ręku. Nagle przypomniał sobie, co stało się z jego rodziną i zrozumiał, kogo należy za to winić. Było za późno, żeby przywrócić im życie, ale zostało trochę czasu na dokonanie zemsty.

Zerwał się z miejsca, rozepchnął zszokowanych ludzi, wyrwał z rąk jakiegoś żandarma karabin i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, oddał strzał. Pocisk trafił Mohammeda el Fauda dokładnie między niebieskie oczy i wyleciał z tyłu głowy.

30

Zgromadzeni wydali niemal jednogłośnie westchnienie ulgi, gdy detonator wypadł z rąk terrorysty i potoczył się po bruku. Mohammed el Faud padł twarzą w dół, rozpryskując wodę, która wyciekała z węży strażackich.

Na ułamek sekundy zapanowała absolutna cisza, nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał. Po chwili ktoś zaczął krzyczeć, ktoś rozmawiać, ktoś inny ruszył biegiem wprost przed siebie. Żołnierz, któremu Wesley wyrwał broń, odebrał ją i rozkazał Wesowi, nie szczędząc krzyku i brutalnych gestów, położyć się twarzą do ziemi. Zapanował chaos. Wykrzykiwano rozkazy i ponaglano ludzi do ewakuacji. Akcja ratunkowa zmieniła się w pośpieszną ucieczkę w obawie przed kolejnymi zamachami terrorystycznymi.

Charlie Frame bez pardonu przedarł się przez tłum ludzi do żandarma, który pilnował leżącego na ziemi Holdena.

- Pozwól mu wstać. Ale już! - rozkazał.

- Ależ panie pułkowniku, on...

- Wykonał wyrok na terroryście. To wszystko. Pomogli Wesleyowi wstać, a żandarm wreszcie

zwolnił uścisk.

Charlie wziął kolegę pod rękę, obserwując uważnie jego zachowanie. Na policzku Wesa było kilka zadrapań, z nosa sączyła się krew. Jednak te nieznaczące obrażenia fizyczne nie były warte wzmianki wobec stanu psychicznego Wesa. Charliego poraził zwłaszcza wyraz jego oczu.

- Wes!

31

- To on... to był on.

Wesley mówił cicho, bardziej do siebie niż do Charliego, ale Charlie go słyszał.

- O czym ty mówisz? Jaki „on”?

Holden podniósł wzrok na kłęby czarnego dymu.

- Wróg przyszedł za mną do domu.

Nagle jego oczy niemal zapadły się w głąb czaszki i osunął się ciężko na ziemię.

Charlie wpadł w panikę. Czy Wes odniósł jakieś obrażenia wewnętrzne, których wcześniej nie zauważyli? Czy umierał teraz na ich oczach i już nikt nie zdoła go uratować?

- Lekarza! Szybko! Przyślijcie pomoc! - zawołał i po chwili odsunął się, robiąc miejsce parze lekarzy. Po krótkich oględzinach Wesa podniesiono i nie bez trudu wsadzono do karetki.

- Trzymaj się, stary - pożegnał go Charlie. — Nie damy ci zginąć.

Lecz było już za późno na jakąkolwiek pomoc. Wesley Holden pograżył się w koszmarze, zerwał ostatnią nić łączącą go z rzeczywistością.

Sześć tygodni później

Za każdym razem, kiedy Charlie Frame przychodził na oddział psychiatryczny szpitala Martin Army, przenikał go zimny dreszcz. Pomimo że miejsce było nieskazitelnie czyste, a pacjenci znajdowali się pod profesjonalną opieką, w powietrzu zdawał się unosić zapach strachu i śmierci.

32

To nie był oddział z pacjentami o określonym terminie pobytu. Ludzie, którzy się tam znajdowali, utracili kontakt z rzeczywistością. Przekonał się ze zdumieniem, że utrata zdrowia psychicznego powoduje równie przerażające zmiany w organizmie jak na przykład gangrena czy rak. To tak, jakby coś dosłownie pożerało cię od środka.

Przez ostatnie sześć tygodni wszędzie panował ogromny chaos. Atak terrorystyczny na kantinę bazy wojskowej był najważniejszym wydarzeniem omawianym i komentowanym we wszystkich mediach. Cywilny kontrahent bazy, który nieświadomie zatrudnił terrorystę, został odsądzony od czci i wiary zarówno przez media, jak i wojsko. Władze wojskowe oskarżyły go o rażące zaniedbanie, ponieważ nie zauważył, że jego pracownik posługuje się sfałszowanymi dokumentami. Śledztwo nie miało końca. Ludziom nie mieściło się w głowie, że terrorysta tak łatwo uzyskał dostęp do bazy wojskowej i zadał śmiertelny cios. Zamachowiec został zabity, zanim zdetonował ładunki wybuchowe, zawdzięczano to mężczyźnie, którego stan psychiczny pozostawiał wiele do życzenia. Lekarze nie obiecywali, że Wesley Holden wyzdrowieje. Przeciwnie, w miarę upływu czasu rokowania były coraz mniej optymistyczne.

Po ostatniej rozmowie z lekarzem Wesleya, niemal stracił wszelką nadzieję. Gdy zna-przy drzwiach pokoju Wesa, zawahał się.

33

Była to jego trzecia wizyta w tym tygodniu, i prawdopodobnie ostatnia. Miał wyjechać z kraju za dwa dni i nie wiedział, kiedy wróci.

- Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze - wyszeptał i wszedł do sali.

Wes siedział na krześle odwrócony tyłem do drzwi. Charlie wziął głęboki oddech i podchodząc bliżej, zmusił się do uśmiechu.

- Cześć, Wes, to ja, Charlie. Co słyhać, stary? Przysunął sobie krzesło i usiadł przy oknie, tak

by patrzeć przyjacielowi prosto w oczy. Jeżeli Charlie żywił jeszcze jakąkolwiek nadzieję co do stanu Wesa, to w tym momencie ta nadzieja zgasła.

Podniósł się z krzesła i bez słowa dotknął przedramienia przyjaciela. Światło słoneczne, padające przez okno na twarz Wesleya, uczyniło jego błękitne oczy przezroczystymi. Wystające kości policzkowe nadawały jego wychudzonej twarzy jeszcze mizerniejszy wygląd. Wes miał uchylone usta, zupełnie jakby szykował się do wygłoszenia mowy, lecz Charlie wiedział, że jest to tylko złudzenie. Od kiedy wsadzono go do karetki, z ust Wesleya nie padło ani jedno słowo.

Charlie ponownie uściśnął ramię Wesa i usiadł. Miał nadzieję, że tym razem przyjaciel wreszcie go rozpozna i jakoś zareaguje na jego obecność.

Czas płynął. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Charlie wstał i głośno przesunął krzesło, tak by nie umknęło to uwadze Wesa. Przez chwilę obserwował przyjaciela, ale nie doczekał się żad-

34

nej reakcji. Dla własnego spokoju, by mieć pewność, że niczego nie zaniedbał, zaczął mówić.

- Wes... według lekarzy jesteś pogrążony w czymś w rodzaju katatonii. Zaczęli sugerować, że nie wyjdiesz z tego stanu. Wiesz, co ja o tym myślę? Myślę, że to są bzdury. Nie wszystko stracone, teraz jesteś po prostu przygnębiony, ale to przecież naturalne. - Charlie zamilkł na chwilę. - Słuchaj, za kilka dni wyjeżdżam - podjął. - Nie wiem, jak długo mnie tu nie będzie, ale nie chcę, żebyś myślał, że cię zostawiłem. Zawrzyjmy umowę. Dopóki mnie nie będzie, pogrążaj się w smutku, odetnij się od rzeczywistości i rób, co ci się żywnie podoba. Ale gdy wrócę, chcę cię widzieć na płycie lotniska.

Charlie odetchnął głęboko, z trudem panując nad wzruszeniem. Nagle zerwał się z krzesła.

- Cholera jasna! Wes, nie siedź tu za długo. Wyszedł bez oglądania się za siebie, przeszedł w poprzek parkingu i wsiadł do samochodu z postanowieniem, że nie będzie rozpamiętywał tego, co widział przed chwilą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Blue Creek, Wirginia Zachodnia

Ally Monroe patrzyła w zadumie przez okno kuchenne. Ręce trzymała w powoli stygnącej wodzie, w której zmywała naczynia. Chociaż usilnie wpatrywała się w ogród, tak naprawdę wcale go nie widziała. Po chwili skoncentrowała spojrzenie na świetle odbitym od kałuży, w której kąpały się ptaki.

Marzenia o księciu z bajki, jak kiedyś nazywała to jej matka... Ally od dawna tęskniła do innego życia, ale już pogodziła się z myślą, że lepszych chwil zazna tylko w wyobraźni.

Przyszła na świat dwadzieścia osiem lat temu i nigdy nie widziała nic oprócz Wirginii Zachodniej. Urodziła się z wadą stopy, przez co utykała, lecz była dzieckiem kochanym, a nawet rozpieszczanym przez matkę. Życie upływało jej w miarę beztrąsko aż do szesnastych urodzin, kiedy to jej matka zmarła. Wówczas stało się oczywiste, że

36

ojciec, Gideon Monroe, pragnie, by córka przejęła większość obowiązków zmarłej żony. Ani przez chwilę nie pomyślał, że córka ma być może inny pomysł na życie i snuje ambitne plany. Zrzucił na jej barki prowadzenie domu, tym samym unicestwiając jej marzenia.

Upłynęło dwanaście lat, a ona wciąż wykonywała te same prace domowe: gotowała posiłki ojcu i dwóm starszym braciom, Danny'emu i Porterowi, prała, zmywała naczynia i sprzątała. Raz na jakiś czas doznawała uczucia, że cała rodzina wpadła do czarnej dziury, w której czas stanął w miejscu. Czasami jednak znajdowała chwilę, by pogrążyć się w świecie fantazji. Wtedy wyobrażała sobie wysokiego, przystojnego mężczyznę wychodzącego prosto z lasu okalającego dom. Nieznajomy zakochiwał się w niej od pierwszego wejrzenia i porywał ją w siną dal.

Tok jej myśli zakłócił plusk wody kapiącej z kranu. Na chwilę oderwała wzrok od kałuży w betonowym zagłębieniu, lecz kiedy spojrzała tam ponownie, nie umiała skoncentrować się na snuciu fantazji.

Zmarszczyła czoło, spojrzała na naczynia, które jeszcze zostały do umycia, i odwróciła się zniesmaczona. Zdjęła fartuch, rzuciła na stół i wyszła z domu. Idąc, nieznacznie ciągnęła za sobą chorą stopę, maskując to nieco kołysaniem bioder.

Stary pies jej ojca, Buddy, na widok Ally uniósł kudłaty łeb w nadziei, że dostanie smakowitą

37
kość, lecz po chwili spokojnie wrócił do popołudniowej drzemki.

Ally usiadła na huśtawce. Przerzuciła przez ramię gruby warkocz w kolorze miodu, wygładziła dzinsy i wyciągnęła nogi. Spojrzała na kołyszące się nad nią gałęzie i przymknęła oczy.

Delikatny powiew zdmuchiwał z jej czoła kosmyki włosów i poruszał materiałem bluzki. Ally nie miała pojęcia, jak bardzo jest atrakcyjna, nigdy też nie próbowała czegokolwiek zmienić w swoim wyglądzie. Teraz pragnęła jak najszybciej znaleźć się w miejscu, w którym mogłaby marzyć. Leżała pod rozłożystymi gałęziami starego dębu, które ją ochraniały, i zastanawiała się, dlaczego biernie podąża ścieżką, którą wytyczyli jej inni.

Samotni mężczyźni z Blue Creek omijali ją z daleka, chociaż wielu bardzo się podobała. Niestety wszyscy obawiali się, że wada Ally może być dziedziczna. Co będzie, jeśli przekaze ją w genach swoim dzieciom? - zastanawiali się, a przecież nikt nie chce dzieci z koślawymi stopami. Życie jest wystarczająco ciężkie i okrutne, po co więc z premedytacją fundować potomkom fizyczną ułomność.

Rozgoryczona i zniechęcona brakiem perspektyw Ally palcem nogi popychała huśtawkę, wprawiając ją w ruch. Po kilku sekundach mogłaby przysiąc, że doznaje ukojenia w ramionach matki.

Lewe biodro Gideona Monroe'a przeszywał

38

ostry ból. Aż jęknął, kiedy jego samochód podskoczył na wyboistej drodze. Nie mógł pogodzić się z upływem czasu, nie umiał zaakceptować nadchodzącej starości. Był samotny od śmierci żony, Dolly, ale przynajmniej cieszył się dobrym zdrowiem. Niestety kilka lat temu, pięć czy sześć, zaczęły go nękać różne dolegliwości.

Niedawno lekarze podejrzewali u niego raka prostaty, jednak na szczęście diagnoza okazała się fałszywa. Wkrótce potem zaczęło go nękać zapalenie stawów, oczywista konsekwencja dźwigania ciężarów w zakładzie pozyskiwania drewna, w którym pracował przez całe życie.

Za rok skończy sześćdziesiąt pięć lat, a przecież kilka lat temu uważał ludzi w tym wieku za zgrzybiałych starców. Mógłby wystąpić o rentę, ale właściwie nie wierzył w pomyślne załatwienie sprawy, a poza tym niezbyt mu na tym zależało. Najbardziej doskwierały mu poczucie przemijania i świadomość, że już wkrótce jego życie dobiegnie końca. Synowie, Danny i Porter, poradzą sobie, gdy go zabraknie, ale martwił się o Ally. Wiedział, co o niej mówiono, dlatego nie wierzył, że córka bez jego pomocy ułoży sobie jakoś życie.

Dzisiaj Bóg chyba wysłuchał jego modłów, bo Freddie Joe Detweiller poprosił o zgodę na spotkanie z Ally. W umyśle Gideona radość i ulga walczyły z wątpliwościami. Wiedział, że Detweiller jest zdesperowany, a zatem nie będzie wy-brzydzał ani komentował ułomności Ally. Jego żona umarła blisko rok temu i od tego czasu

39

samotnie wychowywał trójkę dzieci. Gideon jednak nie był pewien, czy postąpił słusznie, wyrażając zgodę na to spotkanie.

Podjechał pod dom, zaparkował samochód i siedział kilka minut bez ruchu, intensywnie rozmyślając. Zastanawiał się, jak poinformować Ally o zamiarach Freddiego, żeby nie poczuła się dotknięta. Nie mógł odpędzić natrętnej myśli, że być może córka zasłużyła na znacznie lepszy los. Jeśli wyjdzie za mąż za Freddiego, stanie się niepłatną opiekunką jego

pozbawionych matki dzieci. Czul ciężar rodzicielskiej odpowiedzialności, no a czas przecież nie stał w miejscu. Musiał zapewnić córce przyszłość, dlatego należało skorzystać z nadarzającej się szansy. Kto wie, może wszystko dobrze się ułoży i Ally odnajdzie szczęście. Niezbadane są wyroki Pana...

Wciąż bijąc się z myślami, skierował się ku domowi. Zawołał Ally, lecz odpowiedziała mu cisza. Zdziwiony przeszedł przez wszystkie pokoje, szukając córki. Kiedy dotarł do kuchni i zobaczył stertę brudnych naczyń, odniósł wrażenie, że śni. Ally nigdy nie postępowała w ten sposób, nie przerywała rozpoczętej pracy.

Zawołał ją znowu, a potem wyrzwał przez okno. Zobaczył córkę na huśtawce. Wyglądała, jakby cały świat przestał ją obchodzić. Spojrzał jeszcze raz na brudne naczynia i na śpiącą Ally i aż zatrząsł się z oburzenia. Co ona sobie wyobraża? Jeśli chciała wyjść za mąż, powinna bardziej się postarać i wygnać z siebie demona lenistwa.

40

Czy nie wystarczy, że wszyscy wokół traktują ją jak kalekę?

Ze złości uderzył ręką w drzwi frontowe i wyszedł na podwórkę.

- Dziewczyno! Co, do cholery, sobie wyobrażasz? Czy ty naprawdę nie masz nic do roboty?

Ally, brutalnie wyrwana z błogiego marzenia o niebieskich migdałach, poderwała się gwałtownie. Jednak gdy zeskakiwała z huśtawki, straciła równowagę i upadła, w ostatniej chwili podpierając się rękami i kolanami.

- Au! - krzyknęła z bólu i przerażenia, po czym spojrzała z wyrzutem na ojca. - Ale mnie przestraszyłeś.

Zawstydzony schylił się i pomógł jej wstać.

- Idź do domu i spróbuj opatrzyć te zadrapania - odezwał się niepewnie.

Ally nie była przyzwyczajona, by na nią krzyczano, toteż skrzywiła się i powiedziała:

- Wrzeszczałeś na mnie, tato. Chciałabym wiedzieć dlaczego.

Gideon Monroe nie zamierzał przeproszać córki, a lekkie wyrzuty sumienia próbował zagłuszyć napastliwością.

- Co pomyślałby sobie mężczyzna, gdyby zastał gospodynię domu śpiącą na huśtawce, podczas gdy w kuchni piętrzy się sverta brudnych naczyń?

Ally poczuła się, jakby właśnie ją spoliczkowa-no. Cofnęła się bezwiednie, by zwiększyć dzielący ich dystans. Jeszcze parę dni temu zniosłaby

41

potulnie wymówki ojca, ale dzisiaj nie zamierzała tolerować takiego zachowania. Dzisiaj czuła się silna. Uświadomiła sobie, że nie zasługuje na podle traktowanie. W jednej chwili zrzuciła ciężar dwudziestoletnich rozczarowań i frustracji.

- Co takiego? Nie jestem żadną gospodynią domową i nigdy nią nie byłam. Jestem twoją córką, ale chyba już o tym zapomniałeś. Nie mam czasu na prywatne życie, bo opiekuję się tobą i braćmi, a ty nie pozwalasz mi nawet na chwilę drzemki? Nie jestem dzieckiem i nie życzę sobie, żebyś odnosił się do mnie w ten sposób. Rozumiesz, tato?

Gideon osłupiał. Po raz pierwszy Ally podniosła na niego głos, po raz pierwszy zachowywała się tak krnąbrnie.

- Posłuchaj - wymamrotał - nie masz prawa...

- Nie, tato, mylisz się. Teraz skończę zmywać naczynia, a kiedy wrócą Danny i Porter, lepiej zabierz ich gdzieś na kolację albo sam coś ugotuj, bo ja wychodzę z domu.

Gdyby powiedziała mu właśnie, że zaraz go zabije, Gideon byłby chyba mniej zdumiony. Niezdolny cokolwiek powiedzieć patrzył bezradnie, jak Ally odwraca się na pięcie i odchodzi. A przecież zamierzał jedynie poinformować córkę, że pozwolił Detweillerowi zaprosić ją na randkę. Tymczasem rozpetęło się prawdziwe piekło. A niech to...

Niezadowolony z siebie i mocno zestresowany machnął ręką i skierował się do stodoły, bo miał

42

jeszcze sporo roboty. Po powrocie do domu zastał tam Danny'ego i Portera, ale Ally nie było.

- Cześć, tato! Gdzie Ally? Nie widzę kolacji. Co się dzieje? - zdziwił się Porter.

- Jest zajęta - odparł niepewnie Gideon.

- Och, świetnie - skomentował zgryźliwie Porter. - Umieram z głodu, a moja siostrzyczka jest zajęta. Do diabła, przecież prowadzenie domu to jej jedyny obowiązek. Mógłbym się dowiedzieć, co ją tak zajęło?

Gideon postanowił złagodzić gniew syna.

- Ona ma mnóstwo roboty, opierając nas i karmiąc. Jeżeli od czasu do czasu będzie potrzebowała wolnego wieczoru, powinniśmy to uszanować.

- Masz rację. Mogę usmażyć trochę szynki z ziemniakami - wtrącił Danny.

Gideon popatrzył na młodszego syna z zadowoleniem.

- Dziękujemy obaj, prawda, Porter?

Porter zmarszczył czoło. Chociaż miał trzydzieści siedem lat, ojciec rzadko traktował go jak partnera, a jeszcze rzadziej prosił o wsparcie. Uznał jednak, że chwilowo lepiej nie komentować zaistniałej sytuacji.

- Tak, oczywiście, Danny - powiedział. - Dobry pomysł. Zejdę do piwnicy i przyniosę jeszcze trochę zielonej fasolki.

Gideon westchnął. Szkoda, że nie umiał tak gładko zażegnać konfliktu z Ally...

Kiedy w drodze do łazienki przechodził przez salon, zauważył, że nie ma przed domem jego

43

ciężarówka. Odetchnął z ulgą. Przynajmniej Ally nie poszła na piechotę. Nie będzie musiał się martwić, czy dokuśtyka do celu. W pośpiechu umył ręce, patrząc na swe odbicie w lustrze z mieszaniną złości i niechęci.

Ally jechała przed siebie, bez wytyczonego celu, byle tylko znaleźć się jak najdalej od domu. Jednak dopiero po kilku kilometrach zorientowała się, że zamiast jechać prosto w kierunku Blue Creek, skręciła na wschód, w wąską jednokierunkową drogę. No tak, zupełnie bezwiednie skierowała się w stronę domu Babci Devon, która zawsze witała ją jak najbardziej upragnionego gościa.

Babcia Devon w rzeczywistości nie była jej babcią. Nie miała własnych dzieci, lecz wszyscy w okolicy traktowali ją jak członka rodziny. W dniach swojej młodości zyskała opinię jasnovidza, co mogło dziwić, jako że urodziła się niewidoma. Jednak Ally nie przyjechała po to, by poznać swą przyszłość, po prostu chciała porozmawiać z inną kobietą. W dodatku Babcia Devon zazwyczaj udzielała jej wielu cennych rad i wskazówek.

Szary stary kocur, głuchy na jedno ucho i trochę szczerbaty, wyszedł na jej spotkanie, gdy zaparkowała samochód pod rzędem sosen. Głos, jaki wydał z siebie na powitanie, był czymś pomiędzy miauczeniem a warczeniem psa. Umiejętnością porozumiewania się w ten sposób szczyił się od

44

czasu walki z pewnym psem, kiedy to omal nie postradał życia. Ally pochyliła się i czule podrapała go między uszami.

- Witam pana, panie Biddle. Tak, dziękuję, u mnie wszystko w porządku.

Następnie skierowała się w stronę werandy i małej, starej kobiety, która już na nią czekała.

- Babciu Devon, to ja, Ally Monroe.

- W porządku, dziewczyno, nie musisz się przedstawiać. Zobaczyłam, że zajechałaś - powiedziała Babcia i wykonała zapraszający gest.

Ally zaśmiała się. Wszyscy w okolicy uwielbiali specyficzne poczucie humoru Babci.

- Zamierzałaś obierać fasolkę - powiedziała Ally na widok wypełnionej po brzegi miski. - Z przyjemnością cię wyręcę.

- Jaka ty jesteś kochana - rozpromieniła się Babcia.

Ally usiadła na krześle obok starszej kobiety, z uśmiechem spoglądając na jej różową sukienkę, odpowiednią raczej dla nastolatki.

- To fasola z twojego ogrodu, Babciu?

- Nie, serduszek. W tym roku nic nie sadziłam, bo bolały mnie ręce. Przyniósł mi ją Duke, syn Anson Tiller.

Podniosła obie ręce i z zadziwiającą zręcznością wsunęła kilka luźnych kosmyków w kok, potem poprawiła zwinięty kołnierzyk okalający jej cienką szyję. Nareszcie zadowolona ze swojego wyglądu, kołysząc się w ulubionym bujanym fotelu, skupiła całą uwagę na Ally.

45

- Powiedz mi, kochanie, jak radzi sobie Gi-deon?

Ally westchnęła.

- Posprzeczaaliśmy się, Babciu.

Staruszka pokiwała głową w rytm ruchów fotela.

- To zawsze lepsze niż rękoczyny - oświadczyła.

- Niewiele brakowało...

Słyszając sarkazm w jej głosie, Babcia Devon zmarszczyła czoło.

- Jesteś zbyt pobłażliwa dla swoich mężczyzn. Oni się w ogóle z tobą nie liczą.

- Wiem, ale już za późno, żeby cokolwiek zmienić. - W oczach Ally pojawiły się łzy. - Och, Babciu, za późno na cokolwiek.

Stara kobieta wyciągnęła ręce, sięgnęła po miskę z fasolą i odstawiała ją na bok.

- Nigdy nie jest za późno - powiedziała stanowczo. - A teraz, daj mi, dziewczyno, swoje ręce.

Ally przysunęła się bliżej i położyła dłonie na kolanach Babci Devon. Wiedziała, co teraz nastąpi. Nigdy jednak nie przyznałaby się, że to prawdziwy cel jej wizyty.

Babcia Devon chwyciła mocno dłonie Ally.

Ally czuła, jak jej serce przyspiesza. Patrzyła w blade, zasnutę bielmem oczy Babci, próbując opanować drżenie.

Babcia Devon kołysała się szybko w tył i w przód. Z jej nieruchomych ust wydobył się jakiś jęk czy westchnienie, po czym zaczęła mruczeć wysokim, śpiewnym głosem:

46

Uważaj na rodzinę. Wejrzyj do serca.

Niebezpieczeństwo jest wokół ciebie. Czekają cię kłopoty.

Ally zmarszczyła czoło, jako że była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć. Poza tym ta dziwaczna przepowiednia nie mówiła nic o tym, jak można zapobiec nieszczęściu.

- Jakie kłopoty mnie czekają, Babciu?

- Nie jesteś niańką twoich braci.

Ally pochyliła się, tak że jej twarz znalazła się tuż przy twarzy staruszki.

- O czym ty mówisz, Babciu? Co przytrafi się moim braciom?

Jednak wizje Babci Devon już się rozwiały. Uwolniła z uścisku ręce Ally i odchyliła się do tyłu wraz z fotelem. Jej oddech był płytki, a kruche ciało wiło się konwulsyjnie.

Ally siedziała bez ruchu, czekając, aż staruszka przyjdzie do siebie. Chociaż wydawała się bliska śmierci, Ally wiedziała z doświadczenia, że Babcia za chwilę w pełni odzyska świadomość.

Na werandę wkroczył kot. Spojrzał na starą kobietę tak, jakby dobrze wiedział, co się dzieje, a następnie wskoczył jej na kolana i zwinął się w kłębek, mrucząc z zadowoleniem.

Chwilę potem Babcia Devon wykonała głęboki wdech i wyprostowała się.

- Witaj, Biddle - rzekła z zadowoleniem,

47

głaszcząc kota. - Dobrze, że przyszedłeś. - Zaśmiała się głośno.

Ally uśmiechnęła się blado, poruszona tym, co usłyszała. Jej przedłużające się milczenie zaniepokoiło staruszkę.

- Ally, jesteś tu?

- Tak, jestem.

Babcia przestała głaskać kota.

- Usłyszałaś coś, co cię zmartwiło?

Ally westchnęła ciężko. Staruszka nigdy nie pamiętała tego, co mówiła po zapadnięciu w trans.

- Niestety tak, babciu. Babcia zmarszczyła brwi.

- Ogromnie mi przykro, kochanie.

- W porządku, Babciu. Nie jesteś w stanie wpływać na rzeczywistość, ty tylko mówisz, co przyniesie przyszłość, prawda?

Staruszka przytaknęła.

- Nie wszystko mogę przewidzieć. Sama nie rozumiem tego, co wtedy mówię. - Zrzuciła z kolan kota i podniosła się z fotela.

- Wejźmy do środka. Nadeszła pora kolacji, a ja jestem głodna. Jadłaś coś, dziewczyno?

- Jeszcze nie.

- Zatem siadaj ze mną do stołu. Tak dawno nie jadłam w towarzystwie. To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.

Ally otrząsnęła się z lęków wywołanych przepowiednią i postępując za drobną staruszką, weszła do środka. Wkrótce cała kuchnia wypełniła się zapachem domowego kukurydzianego chleba, pieczo-

48

nego kurczaka i świeżo ugotowanych kolb kukurydzy. Ally, na prośbę Babci Devon, wyciągnęła jeszcze z szafki talerz pokrojonych pomidorów.

- Wyjęłam pomidory i nakryłam stół. Czy mam zrobić coś jeszcze?
- Zajrzyj, proszę, jeszcze do kurczaka. Czy nabrał już takiego koloru, jak lubisz?

Ally otworzyła piekarnik i potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Babciu, nie wiem, jak to robisz, ale kurczak wygląda rewelacyjnie.
- Dobrze. Zatem nabij go na widelec i połóż na talerzu. Żołądek przyrósł mi do kręgosłupa.
- A więc usiądź przy stole i pozwól mi nałożyć jedzenie na talerze, dobrze? - poprosiła Ally ze śmiechem.

Babcia Devon wytarła ręce o dół fartucha.

- Dobrze, już siadam. Czasami wydaje mi się, że mam coraz więcej czasu.
- Herbata mrożona jest już nalana. Stoi z prawej strony - wyjaśniła Ally.

Babcia sięgnęła po szklanekę, lecz zatrzymała rękę.

- Mam nadzieję, że ją posłodziłaś? - zapytała poważnie.

Ally uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Staruszka podniosła szklanekę do ust.

- Pyszna - przyznała, gdy pociągnęła dobry łyk. - Świetna, naprawdę świetna.
- A oto danie główne - oznajmiła Ally,

49

stawiając na stół półmisek z kurczakiem. - Bardzo się cieszę, że zaprosiłaś mnie na kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Babcia. - Poza tym, my, kobiety, potrzebujemy czasami odpocząć od wszystkich chłopów.
- To prawda - zgodziła się Ally, poprawiając się na krześle.

Babcia sięgnęła po jej rękę.

- Pochyl głowę. Zmówimy modlitwę przed jedzeniem.
- Oczywiście. - Ally przymknęła oczy. Słowa modlitwy otoczyły ją, dodając otuchy i napawając nadzieją. Właśnie takiego wsparcia teraz potrzebowała. Kiedy Babcia Devon zakończyła modlitwę, na Ally spłynęła ulga, i nagle poczuła wilczy głód.

- Ponieważ tu jesteś, skorzystam z twojej uprzejmości i poproszę cię, żebyś nałożyła mi jedzenie na talerz.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Ally.

- Chciałabym kawałek kurczaka, kukurydzę i kawałek chleba z masłem.

Ally stłumiła chichot.

- Kiedyś, kiedy już dorosnę, chciałabym być podobna do ciebie.

Babcia zaśmiała się i klepnęła się w udo, zupełnie jakby Ally opowiedziała najlepszy pod słońcem dowcip.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Jesteś już dorosła i obie o tym wiemy. Twoje dzieciństwo zakończyło się w dniu, w którym umarła twoja

50

matka. No i lepiej, żebyś nie była do mnie podobna. Nie mogłam mieć dzieci, a moje oczy są tylko bezużytecznymi i paskudnymi szczegółami fizjonomii.

Ally przykryła dłonią jej dłoń.

- Nie mów tak. Nie do końca masz rację. Nie urodziłaś dziecka, ale wszystkie maluchy z okolicy kochają cię jak własną babcie. Jeżeli chodzi o twoje oczy, myślę, że widzisz więcej niż ktokolwiek. Nie potrzebujesz ich, żeby patrzeć w nasze serca. Wszyscy cię potrzebujemy, Babciu.

Ally była pewna, że jej słowa sprawią staruszce dużą przyjemność, lecz ona tylko skwitowała je lekkim uśmiechem.

- A jeśli chodzi o chleb kukurydziany... - Babcia nieoczekiwanie zmieniła temat.

- O co? - Ally nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Najbardziej lubię chrupiącą skórkę. Tym razem Ally roześmiała się głośno.

- Właśnie oddzielam ją dla ciebie - oznajmiła z radością.

- I z masłem... Nie zapomnij o maśle - poprosiła staruszka.

- Kto właściwie rządzi przy stole? Ty czyja? - spytała Ally z udawanym oburzeniem.

Babcia Devon roześmiała się.

- Przepraszam. Rób wszystko tak, jak ci wygodniej, na pewno będzie mi smakowało.

- Oczywiście - odpowiedziała Ally. - Przecież to ty wszystko przyrządziłaś.

51

Babcia zaniemówiła na chwilę, po czym z namaszczaniem uniosła widelec.

- Tak, ja to zrobiłam. Ja. - Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, dzięki któremu Ally na chwilę zapomniała o ponurej przepowiedni.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dziewięć miesięcy później

Drzwi do sali, w której leżał Wesley Holden, uchyliły się, pchnięte biodrem wszędobylskiej, krępej pielęgniarki. Kobieta położyła stos świeżych ręczników i ściereczek do wycierania twarzy i rąk, podeszła do okien, odsunęła zasłony, poprawiła choremu pościel i zaczęła sprzątać półeczkę przy umywalce. Krzątając się, zauważyła, że pomimo otwartych oczu pułkownik Holden nie zwraca na nią uwagi, a chyba nawet nie zdaje sobie sprawy z jej obecności.

- Dzień dobry panu. Czy dobrze pan spał? Bo ja nie. Strasznie boli mnie kolano. To pewnie na zmianę pogody. Zobacz pan, do wieczora spadnie deszcz. - Zmoczyła ściereczkę w strumieniu ciepłej wody, wyżeła ją i podeszła do łóżka. - Zmyjemy z oczu resztę snu. Co pan na to?

Energicznie przetarła twarz Wesleya. Był to

53

zwykły zabieg higieniczny, który jednocześnie miał go obudzić. Mimo to oczy Holdena pozostały nadal bez wyrazu, a spojrzenie odległe i nieprzytomne.

- Po śniadaniu pana ogolę. Poczuj się pan jak młody bóg.

Poprawiła mu poduszki, układając je tak, żeby Wesley mógł siedzieć w łóżku. Jednak bolało ją, że chociaż tak sumiennie się nim zajmowała, w jego oczach ani razu nie pojawił się żaden żywszy błysk. Na jej polecenie otwierał usta i wolno przeżuwał jedzenie. Golono go, kapano i wożono na wozkujak kogoś, kto stracił władzę w nogach, choć fizycznie nic mu nie dolegało. Znała jego historię, lecz nie był jedynym, kto stracił kogoś bliskiego w czasie ataku terrorystycznego sprzed blisko roku. Doszła do wniosku, że w tym konkretnym przypadku chodzi o coś więcej. Wiedziała, co powiedzieli lekarze o jego zaburzeniach wskutek stresu pourazowego, a nawet słyszała pogłoski, że Holden nigdy z tego nie wyjdzie. Jednak pracowała w zawodzie, którego celem było niesienie pomocy potrzebującym, i jej zdaniem Holden był pacjentem, w którego warto zainwestować nieco więcej troski.

Gdy już umyła Wesleyowi twarz, pomogła mu usiąść w taki sposób, żeby mógł opuścić nogi z łóżka.

- W porządku, proszę pana. Idziemy do kąpieli. Powstań!

Gdzieś w podświadomości Holdena pozostał nawyk wykonywania rozkazów. Wesley wstał.

54

- Idźcie załatwić swoją potrzebę, żołnierzu. A potem śniadanie

Puściła delikatnie jego ramię, kierując go w stronę łazienki. Po chwili wrócił do sali. Pielęgniarka pomogła mu umyć ręce, a potem posadziła go na krześle przy oknie.

- Śniadanie - oznajmiła, przysuwając stolik, na którym znajdowała się taca zjedzeniem, i wręczając Wesowi widelec. - Dobrze. Czeka mnie mnóstwo roboty i nie zamierzam siedzieć tu i karmić was, żołnierzu. Macie sami to zjeść.

Wesley nie odpowiedział, więc bała się go zostawiać samego. Wiedziała, że jeśli go nie dopilnuje, zagłodzi się na śmierć. Poklepała go po plecach i przysunęła sobie krzesło.

- Zgoda. Zostanę.

Wzięła widelec, nabrała trochę jajecznicy i podała Wesowi wprost do ust.

- Otworzyć szeroko usta.

Z ulgą zauważyła, że nie tylko żuje, ale także połyka.

Przez miesiące pobytu Wesleya na oddziale psychiatrycznym, pielęgniarki przyzwyczyły się do braku przejawów jakiegokolwiek aktywności z jego strony, więc jego dzisiejsze zachowanie można było uznać za normę.

Gdy skończyła go karmić, wzięła miedniczkę z ciepłą wodą, mydło i maszynkę do golenia i rozpoczęła poranną toaletę pacjenta. Przez chwilę w sali panowała cisza, przerywana jedynie szumem wody i cichymi dźwiękami nuconej

55

przez siostrę piosenki. Gdy pielęgniarka goliła prawy policzek Wesa, rozległ się głośny grzmot, który wstrząsnął oknami sali. Wzdrygnęła się, i w tym momencie zacięła go.

— Och, strasznie przepraszam. - Sięgnęła po przewieszoną przez poręcz łóżka wilgotną ściereczkę i przycisnęła ją mocno do skaleczonego miejsca. - To był grzmot. Mówiłam ci, że zanoszą się na deszcz, prawda? Pójdę po jakiś środek dezynfekujący i zaraz wrócę - oznajmiła Wesleyowi, gdy ranka przestała krwawić.

Holden patrzył właśnie nieprzytomnym wzrokiem w kierunku okna, gdy nagle ujrzał oślepiający snop kolejnej błyskawicy. Po niej nastąpił straszliwy huk, zupełnie jak po eksplozji bomby.

Wesley wyrzucił ramiona do góry. Gdy obrócił się, żeby paść na podłogę, zobaczył miedniczkę z zakrwawioną wodą. Zamarł w bezruchu, utkwivszy wzrok w czerwonej plamie. Te kilka sekund wydało mu się wiecznością. W czasie potrzebnym na powtórne zaczerpnięcie powietrza, doznał nagłego przebłysku świadomości. Trząsł się jak osika, serce biło mu tak szybko, że puls niemal rozsadał mu skronie.

Krew w wodzie. To była krew Margie.

Znowu rozległ się huk piorunu. Wesley spojrział na swoje dłonie i na okno. Niesione wiatrem krople deszczu biły o szybę.

Nawałnica na zewnątrz była tak dzika i gwałtowna, jak przepelniające go uczucia. Zabij albo giń. To dewiza żołnierza. Ktoś zabił mu żonę

56

i synka. On zabił jednego z morderców, ale mogło być ich więcej. Nie wolno ufać nikomu. Wróg może ukrywać się wszędzie.

- Już jestem. - Pielęgniarka wklepała środek dezynfekujący w skaleczenie na policzku Wesa i zakleiła je plastrem.

Holden wbił wzrok w podłogę, z trudem powstrzymując się od krzyku. Serce waliło mu jak miotem. Nie mogła tego nie słyszeć.

- Jeszcze raz przepraszam - odezwała się siostra, zebrała przybory do golenia i wilgotne ręczniki, po czym pospiesznie opuściła pokój.

Wesley powoli wypuścił powietrze z płuc, wstał z krzesła, podszedł do łóżka, położył się i naciągnął kołdrę na głowę.

Dni mijały, a on stopniowo odzyskiwał świadomość. Wraz z nią nadeszły wspomnienia. Te chciane i te niepożądane.

Ryba na haczyku Wesleya trzepotała się nad wodą, ale zanim ją wyciągnął, urwała się i plusnęła do strumienia.

Jego tata zaśmiał się, ale chłopcu chciało się płakać. To była naprawdę duża ryba. Na szczęście śmiech ojca był zaraźliwy i szybko udzielił się chłopcu. Poza tym chłopiec miał dziesięć lat, a więc na tyle dużo, by nie płakać z powodu jakiejś tam ryby.

Jeszcze jeden oślepiający błysk i wspomnienie zniknęło.

57

Niech to szlag.

Ta część osobowości Wesleya, której udało się powrócić do przeszłości, rozplynęła się w niebycie. Fakt, że jego ojciec nie żył od lat, nie miał znaczenia. Jeżeli tylko Wes zdoła zmusić mózg do współpracy, odnajdzie tatę w licznych strzępach wspomnień.

Wesowi coraz bardziej ciążyło przebywanie w zamkniętym, niedostępnym dla nikogo z zewnątrz świecie. Pewnej nocy obudził się i kiedy otworzył oczy, natychmiast zrozumiał, kim jest i gdzie się znajduje. Ale najgorsze nadeszło w chwili, gdy przypomniał sobie, dlaczego się tu znalazł.

Ból, który wywołała pamięć przeszłości, stał się nie do zniesienia. Wes przechylił się przez krawędź łóżka i zwymiotował. Przechodząca korytarzem pielęgniarka z nocnej zmiany

usłyszała hałas i pośpieszyła z pomocą. Zajęta doprowadzaniem wszystkiego do porządku, nie zorientowała się, że Wesley kontrolował się na tyle, by nie zwymiotować do łóżka. Zdiagnozowała zaburzenia żołądkowe i zaaplikowała pacjentowi zastrzyk powstrzymujący nudności. Środek ten wywołał także skutek uboczny, który objawił się błogosławionym i oczekiwanym stanem zubożenia.

Gdy znowu otworzył oczy, zobaczył dom rodzinny. Leżał w łóżku, jego sześciolatek brat, Billy, spał spokojnie obok niego.

58

Mróz pięknie pomalował szyby. W całym domu unosił się zapach piernika. Świąteczny poranek Bożego Narodzenia.

- Billy! Obudź się. To już święta!

Jego młodszy brat obrócił się i spadł na podłogę. Wes odrzucił kołdrę, zeskoczył z łóżka i pomógł bratu wstać. Następnie rozpoczęli wyścig do łazienki, a zaraz potem po schodach na dół.

- Nie biegajcie boso po schodach. — Głos matki zatrzymał ich w połowie drogi. - Wiecie, jakie są zimne, a ja nie chcę, żebyście się obaj rozchorowali na święta.

Wydali jednogłośnie okrzyk niezadowolenia i zawrócili po szlafroki i kapcie. Gdy w końcu zeszli, nie byli w stanie ukryć emocji.

- Mamo! Tato! Święty Mikołaj przyniósł nam rowery!

Patricia Holden podniosła ręce w geście udawanego zaskoczenia i czym prędzej sięgnęła po aparat fotograficzny, chcąc uwiecznić wyraz zachwyty na buziach synów.

- Chłopcy! Chłopcy! Nie ruszajcie się! -prosiła, sama ledwo panując nad emocjami.

Siedmioletni Wesley stał dumnie przy swoim rowerze. Obrócił się w kierunku matki i uśmiechnął tak szczerze, jak potrafią tylko dzieci.

Ktoś śmiał się głośno. Wesley odczuł tak silną ciekawość, by dowiedzieć się, komu jest wesoło, że omal nie zaczął rozglądać się wokół. Był prawie pewien, że istnieją powody, które raz na

59

zawsze pozbawiły go umiejętności śmiechu, ale w tej chwili nie mógł sobie ich przypomnieć. W ciągu następnych kilku sekund wrażenie minęło, a wraz z nim wszystkie inne doznania.

Jakiś czas później do pokoju Holdena weszło dwóch mężczyzn. Stanęli po obu stronach krzesła, na którym się usadowił, wyglądając przez okno. Moment, kiedy się pojawili, nie uszedł uwadze Wesleya, ponieważ poczuł ich zapach.

Któryś z nich musi zmienić dezodorant, ponieważ ten dotychczasowy nie spełniał swego zadania. Drugi mężczyzna pachniał tytoniem i mię-tówkami. Holden stał się bardzo wyczulony na dźwięki i zapachy dzięki specjalnemu szkoleniu, które miało mu zapewnić przetrwanie w najbardziej ekstremalnych warunkach.

Leżał nieruchomo. Nie był uzbrojony, nie był nawet pewien, gdzie się znajduje, a ucieczka nie miałaby sensu, bo nie znał terenu. Zrezygnowany ukrył się więc w swoim pozbawionym bodźców świecie, czekając, aż mężczyźni skończą swoje czynności i wyjdą.

Doktor Avery Benedict zakończył badanie Wesleya Holdena, wsunął latarkę do kieszeni, zmienił pozycję na „spocznij”, i założył ręce za siebie.

Psychiatra Wesleya, doktor Marshall Milam, obrzucił pacjenta spojrzeniem z góry na dół i podszedł do Benedicta.

- Czy zgadza się pan z moją diagnozą? - spytał.

60

Benedict zawahał się.

- Nie wiem. Jest w dobrej formie fizycznej. Prawdę mówiąc, w bardzo dobrej.

- Nie zajmuję się fizycznym stanem pacjenta. Przebywa tu od blisko roku. Nie byłem w stanie nawiązać z nim kontaktu i dlatego z przykrością skłaniam się ku opinii, że jest nieuleczalny. Ale może inny lekarz, stosujący inne metody, byłby w stanie dokonać tego, czego ja nie potrafię.

Benedict spojrzał jeszcze raz na Wesleya.

- Beznadziejny przypadek? Milam westchnął.

- Czy poza zmarłą żoną i dzieckiem ma jakąś rodzinę?

Benedict przekartkował papiery Wesleya.

- Rodzice zmarli. Brat również nie żyje. Och, zaraz... jest brat przyrodni, Aaron Clancy, mieszka na Florydzie.

- Powiadomimy go. Zaraz zajmę się papierkową robotą.

Wyszli z sali, jak gdyby właśnie skończyli oglądać jakiś niezbyt ciekawy okaz roślinny. Traktowali Wesleya rutynowo, bez uczuciowego zaangażowania.

Wesley podświadomie słyszał, o czym rozmawiali, ale nic nie zdołało się przebić przez jego skorupę zobojętnienia. A gdy tylko usłyszał słowa brat przyrodni, ponownie przepadł dla otoczenia.

Wes siedział z tyłu, za domem. Po raz pierwszy

61

od śmierci ojca poczuł, że wszystko wymyka mu się spod kontroli.

Mama zamierzała powtórnie wyjść za mąż. Nie mógł w to uwierzyć. To była zdrada ich rodzinnych wartości. Połknął łyżę i wierzchem dłoni otarł nos. Nikt nigdy nie może zobaczyć go płaczącego.

To co zamierzała zrobić, nie było w porządku. Biłły nie żył. Zginął na wiosnę, po tym jak obaj dostali na Gwiazdkę swoje pierwsze rowery. Mama przestrzegала ich wiele razy przed niebezpieczeństwem jazdy na ulicy, ale pewnego dnia Biłły nie posłuchał i doszło do tragedii. Po tym wypadku Wesley nie wyobrażał sobie, że może zdarzyć się jeszcze coś gorszego. Żałoba scementowała ich rodzinę. Pewnego dnia, kilka lat później, ojciec pojechał do pracy i już z niej nie powrócił. Zmarł na zawał serca dokładnie w dniu szesnastych urodzin Wesleya. Wtedy to chłopiec, po raz pierwszy od uzyskania prawa jazdy, prowadził samochód. Wiózł matkę do zakładu pogrzebowego, gdzie miała załatwić sprawy związane ze smutną ceremonią. Był to dzień, w którym Wesley zrozumiał, że nie istnieje nic takiego jak życiowa sprawiedliwość i niektórzy ludzie doznają więcej zła, niż na to zasługują.

Poniechał tego typu filozoficznych rozważań aż do dnia, w którym matka oświadczyła, że ma zamiar wyjść za Aiden Clancy'ego. W jednej chwili zawalił mu się cały świat. Aiden Clancy był prostytutką, a jego syn, Aaron, niczym nie różnił się od ojca. Na domiar wszystkiego ojciec

62

Wesleya nie znosił Clancy'ego. Wesley nie mógł w żaden sposób zrozumieć, dlaczego jego matka dokonała tak fatalnego wyboru.

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach, usłyszał za sobą skrzypienie drzwi frontowych. Przygotował się na wejście matki. Wiedział, że obraził jej uczucia. Ale ona zniszczyła wszystko, co miało dla niego wartość i nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie w stanie jej wybaczyć.

- Wesley, czy zechciałbyś, proszę, wejść do środka? Aiden i Aaron będą tu wkrótce. Chciałabym, żeby nasz pierwszy rodzinny obiad zbliżył nas do siebie.

Wes zerwał się, i dzielnie skrywając swój ból, jak przystało na siedemnastoletniego mężczyznę, przeszył ją wzrokiem.

- Usiądę do stołu z tymi ludźmi, ale nigdy nie będę uważał ich za członków rodziny. Tata nie lubił Aiden Clancy'ego, ja nie lubię Aarona, i ty dobrze o tym wiesz. Mimo to nie wzięłaś naszych uczuć pod uwagę.

Patricia Holden powstrzymała łyżę ciskając ją się do oczu.

- Twój ojciec nie żyje! Ja tak - próbowała usprawiedliwić swoją decyzję. - Mam czterdzieści dwa lata i nie chcę spędzić reszty życia samotnie.

- Masz przecież mnie! - wykrzyknął Wesley. Patricia westchnęła.

-Ale na jak długo, Wes? Jesteś prawie dorosły. Pewnego dnia wyprowadzisz się z domu, żeby założyć własną rodzinę. Czy chcesz, bym stała się

63

zgorzkniałą kobietą, która odbiera raz w roku telefon z życzeniami urodzinowym i z utęsknieniem czeka na wizyty syna z okazji Bożego Narodzenia? Wesley wiedział, że matka ma rację, lecz nie był jeszcze na tyle dojrzały, żeby zaakceptować jej punkt widzenia.

— Masz rację co do jednego - powiedział po chwili.

— Mianowicie?

— Za dwa tygodnie, po skończeniu szkoły, będę miał osiemnaście lat. Oznacza to, że wyniosę się z tego domu tak daleko, jak tylko zdołam.

Patricia Holden uświadomiła sobie, że popełniła straszliwy błąd. Jej powtórne zamążpójście oznaczało utratę osoby, którą kochała najbardziej na świecie.

— Zaczekaj! Wesley... W es... nie, proszę. Nie rób mi tego — błagała.

Wesley popatrzył na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu. Mięsień na jego policzku zadrgał gwałtownie.

— Nie obwiniaj mnie, mamó, o coś, za co nie ponoszę odpowiedzialności. To ty zdecydowałaś — odrzekł i było to wszystko, co mógł powiedzieć.

Jak obiecał, Wesley podpisał dokumenty, w myśl których miał wstąpić do armii natychmiast po ukończeniu szkoły średniej. Spędził dokładnie trzy miesiące i dwa tygodnie pod jednym dachem z Aidenem i Aaronem Clancy, i uznał, że było to o trzy miesiące i dwa tygodnie za długo.

64

Gdy teraz usłyszał imię Aarona, doznał szoku. Ostatnią myślą, która go nawiedziła, nim pogрузzył się w niebycie, było postanowienie, że nie dopuści, by ich drogi znów się skrzyżowały.

Aaron Clancy nie wiedział, co sądzić o telefonie, który otrzymał wczoraj ze szpitala wojskowego w Fort Benning. Nie widział Wesa ani nie słyszał o nim od lat i prawdę mówiąc, nie bardzo pamiętał, że w ogóle łączyły ich jakieś więzy rodzinne. Już zamierzał odpowiedzieć temu wojskowemu lekarzowi, żeby pocałował go gdzieś, gdy nagle usłyszał słowo „zasilek”. Szybko zmienił swoje wrogie nastawienie i ton głosu. Wprawdzie nie interesowało go, czy Wesley kiedykolwiek wyzdrowieje, ale chętnie widziałby siebie w roli osoby upoważnionej do zarządzania finansami Wesa. Takie pełnomocnictwo przyniosłoby mu więcej pieniędzy niż jego praca handlowca w branży samochodowej.

Podjąwszy decyzję, spakował torbę i wyruszył w podróż do Georgii. W godzinę po wylądowaniu złapał taksówkę do bazy, a potem przez czterdzieści pięć minut czekał przed główną bramą na przepustkę.

Gdyby nie szansa na zdobycie pieniędzy z tytułu comiesięcznego zwolnienia Wesleya Holdena od podatku, Aaron Clancy już byłby w drodze powrotnej do Miami.

Od kilku dni Wesley był w pełni świadomy

65

sytuacji, w jakiej się znajdował. W głębi duszy wstydził się, że postąpił jak tchórz, wycofał się i ukrył, zamiast zmierzyć się z cierpieniem. Jednak taki powrót do rzeczywistości niósł za sobą ogromne pokłady bólu. Gdy wdawał się z kimś w rozmowę, musiał odpowiadać na zadawane pytania, a to przerastało jego możliwości. Doszedł do wniosku, że jego życie to jakiś okrutny żart. Kiedy tylko zapominał o ostrożności i odważył się kogoś pokochać, ten ktoś umierał. To zdarzyło się tak wiele razy, że zawsze po śmierci kogoś bliskiego on także pragnął umrzeć. Bezskutecznie. Teraz stanął twarzą w twarz z czymś więcej niż przebudzenie z letargu. Albo powraca do życia wśród żywych, albo...

- Dzień dobry, panie Holden.

Była to owa wszędobylska pielęgniarzka, która opiekowała się nim do tej pory. Już chciał jej odpowiedzieć, ale po chwili zreflektował się. Po co miałby w jakikolwiek sposób potwierdzać swoje istnienie?

- Będę za panem tęskniła - oznajmiła, pakując jego rzeczy do torby z grubego materiału.

Tęskniła? A dokąd, ja, do cholery, wyjeżdżam?

- Rozumiem, ta przeprowadzka dobrze panu zrobi - odparła niepewnym głosem. - Właśnie spotkałam pańskiego przyrodniego brata. Zrobił na mnie wrażenie miłego człowieka... bardzo zatroskanego stanem pańskiego zdrowia. Dopilnował już sprawy pisemnego pełnomocnictwa, od tej chwili będzie działał w pana imieniu i wszystko załatwiał.

66

Gdyby Wesley nadal pozostawał w stanie letargu, ta informacja z całą pewnością postawiłaby go na równe nogi. Aarona Clancy'ego nie obchodziło, czy Wesley ma jakiegokolwiek środki do życia, ale kiedy zwęszył pieniądze, natychmiast znalazł się w pobliżu. Uczucie złości zaskoczyło go. Tak długo otaczała go emocjonalna pustka, że uczucia, które nim zawładnęły, wydały mu się niemal przerażające. Gdyby teraz wstał z krzesła i zrobił Aaronowi Clancy'emu to, na co miał ochotę, z pewnością trafiłby za kratki. Poza tym zdawał sobie sprawę, że jeżeli dzięki Aaronowi wydostanie się ze szpitala, odzyska wolność. Może zniknąć ponownie, kiedy tylko zechce, ale tym razem naprawdę, nie tylko w przenośnym sensie.

Pielęgniarka uklękła przy jego stopach, żeby włożyć mu skarpetki i buty. Wesley poczuł coś w rodzaju winy, że pozwala jej na to, ale nie zaprotestował.

- Słyszałam, że mieszka na Florydzie - ciągnęła. - Fantastyczne miejsce... słońce, woda. Oczywiście, o ile pański brat mieszka blisko oceanu. W każdym razie, będzie pan razem z rodziną, a właśnie o to chodzi.

Słowo rodzina wywołało nagle u Wesleya takie poczucie smutku i żalu, że z trudem powstrzymał łzy, które napłynęły mu do oczu, i których pielęgniarka na szczęście nie zauważyła.

Boże drogi... Margie, Michael... Zasklepiłem

67

się w skorupie jak tchórz i pozwoliłem, żeby pochował ich ktoś inny.

To bolało tak bardzo, że miał ochotę krzyczeć. Tymczasem pielęgniarka mówiła dalej.

- No, jest pan gotowy... - Wstała i poklepała go po kolanie. - Brat wkrótce tu będzie. - Niespodziewanie popatrzyła mu prosto w oczy. - Tak mi przykro - powiedziała cicho, pochyliła się nad nim i delikatnie objęła go za szyję. - Strasznie, strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało. - Udała, że poprawia włosy i wyszła pośpiesznie z sali, żeby nie zobaczyć jej łez.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Wesley zaczął się trząść. Od łez szczypały go oczy, w ustach czuł narastającą gorycz. Nie wolno mu płakać. Byłoby to niebezpieczne. Mógłby nigdy nie przestać, a oni znów by go zatrzymali. On musiał wyjść. Chciał znaleźć się jak najdalej od świata rządzącego się wojskowymi prawami, a Aaron Clancy miał być jego biletem do wolności.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Aaron Clancy siedział w poczekalni i nerwowo rozglądał się wokół. Za dużo ludzi w mundurach, za dużo zasad, do których musiał się dostosować. Nie potrafił wyobrazić sobie życia w wojsku, szczególnie teraz. Konieczność udania się do jakiegoś zapomnianego przez Boga, obcego kraju i wykonywania nawet najbardziej idiotycznych rozkazów uważał za kompletny bezsens. Jediną rzeczą, o której był w stanie myśleć, kiedy wieziono go do szpitala Wesleya, było zaprawione dużą ulgą przekonanie, że dzięki Bogu nie grozi mu powołanie do wojska.

Po chwili pojawił się ktoś z personelu i zaprowadził go do pokoju Wesleya. Początkowo ucieszył się na widok kobiety w mundurze, ale jej wzrok dosłownie go zmroził. Była długonoga i przystojna, ale jak na jego gust zbyt oschła. Natychmiast zaklasyfikował ją do

kategorii wojskowych cnotek. Jednak gdyby tylko wysłała mu jakikolwiek sygnał, okazała choćby minimalne

69

zainteresowanie, bez wahania zaprosiłby ją na kolację. Najchętniej ze śniadaniem. Jednak ona dała mu jedynie do zrozumienia, że jest zajęta pracą i nie ma zamiaru marnować czasu na poga-duszki.

- Tędy, panie Clancy.

Aaron udał się za wojskową cnotką do windy, następnie na oddział psychiatryczny, gdzie miał się spotkać z lekarzem Wesleya.

- Proszę pana?

Clancy stanął przed mężczyzną, który z budowy przypominał zapaśnika wagi ciężkiej.

- Tak?

- Jestem doktor Milam, opiekowałem się w szpitalu pańskim bratem.

- To znaczy, jest pan psychiatrą, prawda? Powiedziano mi przez telefon, że Wesowi odbiło.

Milam zmarszczył czoło. Kpiący ton Clancy'ego rozdrażnił go.

- „Odbiło” nie jest właściwym określeniem w odniesieniu do takiego żołnierza jak Wesley Holden. Z pewnością poinformowano pana o zdarzeniu, które doprowadziło go do takiego stanu.

Aaron zorientował się natychmiast, że zaczął fatalnie. Jeżeli zamierzał dorwać się do wolnego od podatku zasiłku Wesleya, musiał rozegrać to o wiele lepiej. Machnął ręką na znak, że rozumie swoje przewinienie i prosi o przebaczenie, po czym powiedział przymilnym tonem:

- Widzi pan, panie doktorze... Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak cynicznie i okrutnie. Jest to

70

tylko wyraz obawy, która zajęła myśli nas wszystkich, kiedy Wesley dostał się do niewoli. A potem jeszcze śmierć Marthy i Markiego w ataku terrorystycznym... Tyle nieszczęść naraz...

Wyraz dezaprobaty na twarzy doktora Milama pogłębił się.

- Jeśli ma pan na myśli żonę pułkownika Holdena i jego synka, to ona miała na imię Margie, a chłopiec Michael.

Aaron Clancy nie odezwał się więcej aż do chwili, gdy pojawiła się pielęgniarka pchająca wózek, na którym siedział Wesley. W tym momencie Clancy znowu przywdział maskę obłudnika, udając wielkie poruszenie na widok wychudzonego brata.

- O, mój Boże - szepnął, po czym przeszedł obok lekarza i upadł na kolana przed wózkiem. - Wes, bracie! To ja, Aaron. Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu.

Wszystko, co Wesley mógł zrobić w tej sytuacji, to przestać zwracać uwagę na otoczenie. Czuł tylko zapach środków antyseptycznych, ale też znacznie przytłumiony.

Wesley nie widział Aarona od pogrzebu matki, a ten przy pochlebny łajdak nigdy potem nie nawiązał z nim kontaktu. Wes przyjrzał mu się dyskretnie. Łysiejący i sprawiający wrażenie niechlujka mężczyzna wydał mu się jeszcze bardziej bezczelny niż ten, którego zapamiętał. Przestał jednak o nim myśleć z obawy, że ktoś dostrzeże, jak wielki wstręt budzi w nim jego przyszły opiekun.

71

Aaron poczuł dreszcz, gdy wstając, w nagłym przebłysku zrozumienia zdał sobie sprawę, czego się podejmuje.

- Że jeszcze zapytam, panie doktorze, czy on jest, że tak powiem, bezpieczny? To jest, mam na myśli, czy on nie... no, tego... czy nie zwariuje i nie skrzywdzi kogoś, gdy wsiądę z nim do samolotu?

Marshall Milam poczuł, jak robi mu się niedobrze. Nie ufał temu mężczyźnie za grosz i żałował z całego serca, że nie posiada odpowiednich kompetencji, by odebrać mu pełnomocnictwo. Jednak na to było za późno. Dopelniono stosownych formalności.

- Nie zaobserwowaliśmy u niego żadnych objawów jakiegokolwiek poruszenia, nigdy też nie był pobudzony - powiedział Milam. - W rzeczywistości zmagaliśmy się z wręcz przeciwnym problemem. Prawie w ogóle nie nawiązywał kontaktu z otoczeniem. Jednakże ufam, że dopilnuje pan ciągłości leczenia, możliwie najlepiej.

Aaron Clancy popatrzył nerwowo na Wesleya i przytaknął.

- Ależ oczywiście. Milam westchnął.

- Zamówiłem samochód, który zawiezie pana i brata prosto na lotnisko.

Aaron wyglądał na zadowolonego.

- Dziękuję panu, doktorze. Doceniam pańską uprzejmość. - Popatrzył nagle na zegarek. - Sądzę, że będzie lepiej, jak już pojedziemy.

72

Wesley doznał szoku, gdy po wywiezieniu go na zewnątrz, załapał go słoneczny blask. Mimo to wciąż jeszcze utrzymywał pozory nieświadomości. Pozwolił, żeby podwieziono go do oczekującego samochodu i posadzono na tylnym siedzeniu. Kiedy jego przyrodni brat usiadł obok kierowcy i zamknął drzwi, Wesley odprężył się, ale ulga była tylko chwilowa.

Na prośbę Aarona kierowca powiózł ich dokładnie obok miejsca, gdzie kiedyś dokonano ataku na kantinę bazy wojskowej. Wesley zacisnął zęby i zaniknął oczy, kiedy samochód tamtędy przejeżdżał. Nic nie pomogło, wciąż słyszał głos kierowcy.

- Terrorysta... samochód pułapka... wszędzie porzucane ciała... opasany ładunkami.

Serce Wesleya zaczęło tłuc się jak oszalałe i oblał go zimny pot. Przypomnił sobie gryzący zapach dymu, znowu słyszał krzyki ludzi i wycie syren, i chrzęst potłuczonego szkła pod butami, gdy potykając się o gruz, rozpaczliwie szukał żony i synka. Zobaczył wystającą z gruzów nogę Margie, a potem rany na twarzy żony.

Krew. Wszędzie było pełno krwi.

I Mikey. Taki mały. Taki kochany.

Już ich nie ma.

Kończąc swą relację, kierowca dodał jeden szczegół, o którym Wesley dawno zapomniał.

- Pułkownik Holden... to był jeden celny strzał, prosto między oczy terrorysty. Ocalił wszystkich, którzy byli w pobliżu.

73

Wesley poczuł, jak Aaron obrócił się, by na niego popatrzeć, ale nie zareagował. Powrót w to miejsce był straszny, podobnie jak zniszczenie tego, co pozostało z jego tożsamości. Po zamachu jego życie jako męża i ojca skończyło się, ale także ostatecznie przestał być żołnierzem.

Pułkownik Wesley Holden już nie był tym samym człowiekiem, co kiedyś. Jedyne, co zachował ze starych czasów, to fizyczna powłoka.

Ally właśnie nakładała parówki i plasterki boczku na talerze, gdy do kuchni wszedł ojciec i obaj bracia.

- Coś ładnie pachnie - zauważył Porter i sięgnął ukradkiem po kawałek boczku.

- Czy będą także nasze ulubione herbatniki? - zapytał Danny.

- A czy dzisiaj jest niedziela? - żartowała Ally.

Danny uśmiechnął się szeroko.

- Tak, dzisiaj jest niedziela, a więc będą herbatniki. Tak tylko zapytałem.

- Jajecznice czy jajko sadzone? — spytała Ally.

- Poproszę jajecznice - zwrócił się do niej ojciec.

Ally posłała mu chłodne spojrzenie i skinęła głową. Jeszcze nie zdążyli przełamać lodów po ostatniej kłótni. Ona jednak nie zamierzała pierwsza wyciągać ręki do zgody. Przecież nie zrobiła nic, za co musiałyby przeproszać.

74

Rozbiła jajka w misce i wlała je na patelnię, a mężczyźni wyjęli z lodówki masło i galaretkę z owoców i nalali do filiżanek kawy. Nie zapomnieli także o soli i młynku z pieprzem, po czym ruszyli w kierunku stołu.

W ciągu kilku następnych minut usadowili się na swych miejscach przed talerzami z puszystą, żółtą jajecznicą, doskonale przyrządzoną przez ich siostrę. Gideon poczekał, aż wszyscy dostatecznie skupią uwagę, a potem pochylił głowę i pomodlił się przed posiłkiem. Właśnie miał powiedzieć „amen”, kiedy zrobił pauzę, a potem szepnął:

- Panie, pobłogosław tę, która przygotowała N nam posiłek, amen.

Ally spojrzała ojcu prosto w oczy. Westchnęła z ulgą, gdy zobaczyła w jego wzroku to, na co tak bardzo czekała.

- Porter, podaj tacie parówki - poprosiła brata i przyniosła herbatniki.

Gideon martwił się przez cały czas posiłku, czy nie jest za późno, żeby przekazać córce nowinę. Sytuacja byłaby wysoce niezręczna, gdyby po nabożeństwie w kościele ktoś przyszedł do nich z wizytą, a oni nie mieliby go czym poczęstować. Nalał sobie drugą filiżankę kawy, wziął drugiego herbatnika i posmarował go masłem.

- Są doskonale, córeczko - powiedział ze szczerym uznaniem.

- Dziękuję, tatusiu - odparła ucieszona Ally, popatrzyła na zegar i wstała od stołu. - Wyjmę

75

z zamrażalnika mięso i zostawię je na najmniejszym ogniu w piecyku. Będzie się piekło, podczas naszej bytności w kościele.

Gideon pokiwał z aprobatą głową. Nagle udał, że o czymś sobie przypomniał.

- Czy mówiłem ci, że będziemy mieli gości? Ally obróciła się w stronę ojca.

- Nie, i nie chcę słyszeć, że zaprosiłeś do nas pastora, ponieważ nie mam nic specjalnego na deser.

- Nie, nie, nikt taki — zapewnił pośpiesznie. - To tylko Freddie Joe.

- Detweiller? - skrzywiła się.

- Tak.

- Czy przyprowadzi także swoje dzieci?

- Nie, są u babki. Detweiller napomknął mi kiedyś, że chciałby kupić jednego z moich byczków. Powiedziałem mu, żeby przyszedł jak najszybciej, zanim pozbędę się ich wszystkich.

- Dodam jeszcze trochę warzyw do pieczeni. To poprawi jej smak.

Gideon odetchnął z ulgą. Skłamał, oczywiście, ale w dobrej sprawie. Jediną rzeczą, która interesowała Detweillera i którą był skłonny kupić, była Ally.

Kiedy wjeżdżali na przykościelny parking, Gideon niemal rozgrzeszył się z drobnego kłamstwa, którego dopuścił się wobec córki. Wysiedli z ciężarówki i natychmiast dołączyli do wiernych wchodzących do kościoła. Pastor stał na scho-

dach, witając parafian, a szczególnie serdecznie dzieci, które przybyły wraz z rodzicami.

Ally skupiła uwagę na jednym ze swoich kolegów ze szkoły, który przyszedł do kościoła z malutkim dzieckiem. Patrząc z przyjemnością na rodzinę przyjaciela, boleśnie odczuła brak własnej. Była już w połowie schodów do kościoła, kiedy ktoś chwycił ją za rękę.

- Ally Monroe, czy to ty?

- Dzień dobry, Babciu - odpowiedziała z radością w głosie.

Uśmiech na twarzy starej kobiety zgasł nagle, a jej niewidzące oczy cofnęły się w głąb twarzy. Zrazu niewyraźne słowa Babci, ułożyły się w krótkie zdania:

Człowiek, który jest ucieleśnieniem zła. Człowiek, który czynił zło. Człowiek, który nadchodzi. Człowiek, który jest godzien litości.

Przepowiednia przypawiła Ally o dreszcze, gdyż pamiętała pierwsze ostrzeżenie, jakie padło z ust Babci. Teraz uzyskała potwierdzenie, że zło wciąż zagraża jej rodzinie. Zanim jednak zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, Gideon oderwał rękę starszej kobiety od ręki córki, i popchnął staruszkę w górę schodów. Kiedy zrównał się z pastorem, odwrócił się i rzekł ostro:

- Proszę powiedzieć rodzinie tej starej baby, żeby trzymali ją w domu i zakazali jej guseł.

Kaznodzieja był zaskoczony zachowaniem Gi-deona, co wywołało zażenowanie Ally.

Gdy weszli do kościoła, Ally wyrwała się ojcu i rzekła ze złością:

- Nie miałeś prawa mówić w taki sposób do pastora. Babcia Devon nie robi nic złego i dobrze o tym wiesz. Poza tym nikt jeszcze nie miał kłopotów przez jej przepowiednie. Nie rozumiem, dlaczego jesteś do niej źle nastawiony. To bardzo miła kobieta.

- Nigdy nie ma racji, jej rzekome przepowiednie to zwykłe brednie - wymamrotał Gideon ze złością. - Koniec dyskusji, nie mam ochoty o tym rozmawiać. Idź i zajmij miejsce obok braci.

Ally usiadła, lecz jedynie dlatego, żeby nie pogarszać i tak już nieprzyjemnej sytuacji. Znajdowała się w Domu Bożym i doskonale wiedziała, jak należy się zachowywać, tym bardziej oburzał ją wybryk ojca. Po skończonym nabożeństwie wstała i wyszła szybko z kościoła. Kiedy ojciec i bracia doszli do samochodu, siedziała już w środku, silnik auta był uruchomiony, a klimatyzacja włączona.

Gideon rzucił córce przelotne spojrzenie i tym razem powstrzymał się od wygłoszenia kilku uwag na temat marnowania paliwa na klimatyzację. Miał na głowie poważniejszą sprawę niż konieczność zaoszczędzenia kilku centów, więc prowadził pograżony w milczeniu.

Gdy dotarli do domu, Freddie Joe Detweiller

czekał już na werandzie. Ally planowała w myślach prace kuchenne, lecz zachowanie gościa wyrwało ją z zadumy. Freddie Joe zerwał się z miejsca, zdjął kapelusz i, gdy wchodziła do domu po schodach, otworzył przed nią frontowe drzwi.

- Dzień dobry, Ally. Czuję jakiś bardzo apetyczny zapach - zauważył uprzejmie, pociągając nosem.

- To tylko pieczeń - odpowiedziała skromnie Ally.

- Dziękuję ci za zaproszenie. Ally wzruszyła ramionami.

- Podziękuj ojcu. To on cię zaprosił. Freddie Joe miał osobliwy wyraz twarzy, gdy popatrzył na Gideona. Ten tylko skinął głową, starając się unikać jego wzroku.

Freddie robił wszystko, żeby jak najlepiej wypaść przed Ally. Kroczył obok niej, otwierał drzwi, zginał się w uprzejmych ukłonach, jednak Ally nie mogła nie zauważyć jego przerzedzonych włosów i żółtych od nikotyny zębów. Wciąż nieświadoma prawdziwego powodu jego obecności, zwróciła się do ojca.

- Tatusiu, potrzebuję przynajmniej pół godziny, żeby dokończyć obiad.

Gideon uśmiechnął się.

- Dobrze, córeczko. Będziemy w salonie.

- Może pójdziecie obejrzeć...

- Nie, dopiero po obiedzie - przerwał jej pośpiesznie, żeby go przypadkiem nie zdradziła.

79

- Nie musisz iść z nami, na podwórzu jest mnóstwo błota.

— No cóż, w takim razie nie będę przeszkadzała

- odparła i pośpieszyła zmienić obuwie.

Kilka minut później była w kuchni. Obrala jarzyny i wzięła się do pieczenia chleba z mąki kukurydzianej. Była zorganizowana i świetnie sobie radziła w kuchni, jednak powoli traciła kontrolę nad własnym życiem.

Mała kropla sosu z pieczeni przyłgnęła do dolnej wargi Freddiego, a wokół jego ust widniały błyszczące tłuste ślady. Ponieważ nie korzystał z papierowych serwetek, które rozmieściła przy nakryciach, wstała od stołu, zerwała kilka papierowych ręczników i położyła mu na kolanach.

- O, tak. Słusznie - wydukał, zamaszystym gestem wytarł nimi twarz i rzucił je na stół, obok miski z grochem.

Ally nie wierzyła własnym oczom, ale opanowała się i szybko naląła do wszystkich szklanek mrożonej herbaty.

- Doskonałe mięso, siostrzyczko - odezwał się Porter.

- Jak zawsze - poparł brata Danny.

- Ally świetnie gotuje - poinformował Freddiego Gideon. - I jest również bardzo oszczędna - uzupełnił informację. - Jak sam wiesz, to wielka zaleta u kobiety.

Ally zmarszczyła czoło. Bracia nigdy nie chwa-

liii jej potraw. Po prostu zjadali to, co im podała i wstawali od stołu. Jedynie ojciec czasami dziękował za posiłek, ale dzisiaj zachowywał się tak, jakby brała udział w jakimś konkursie. Jednakże najbardziej dziwne w tym wszystkim było to, że czterech siedzących przy stole mężczyzn jak dotąd nie wspomniało ani słowem o stadzie bydła czy też byczku, którego Freddie Joe chciał od nich kupić. Ally, niczego po sobie nie pokazując, podała na stół pasztet, lecz w tym momencie Freddie Joe pochwycił nagle jej rękę i ścisnął znacząco.

- Cudownie pachnie - oznajmił. - Dobrze, że jesteś przyzwyczajona do gotowania dla wielu osób.

Niemile zaskoczona wyszarpnęła rękę z jego uścisku i spojrzała na ojca, spodziewając się jakiejś reakcji z jego strony. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła, że ojciec nie tylko nie zamierza przyjść jej z pomocą, lecz na dodatek uśmiecha się przyzwalająco. Działo się tu coś dziwnego i bardzo niepokojącego.

- Nie rozumiem, dlaczego o tym mówisz, ale bardzo bym się ucieszyła, gdyby ta rozmowa wreszcie zaczęła dotyczyć czegoś, co nie wiąże się ze mną i moimi umiejętnościami kulinarnymi.

Porter i Danny zajęci byli opychaniem się pasztetem, więc nie zwrócili uwagi na jej słowa, ale uśmiech zadowolonego z siebie ojca nieco przygasł. Freddie Joe marszczył czoło i spoglądał na przemian to na nią, to na Gideona, oczekując od gospodarza, że wyjaśni córce, o co chodzi.

81

Ponieważ pozostali milczeli, uznał za stosowne przemówić. Wskazał na Ally widelcem i powiedział zaczepnym tonem:

- Słuchaj no, panienko. Przyszedłem tutaj, bo chcę dać ci szansę na...

W tej samej sekundzie Gideon gwałtownie podniósł się z miejsca.

- To był naprawdę dobry obiad, ale teraz musimy zająć się naszymi sprawami. Freddie Joe, jeśli już zjadłeś, wyjdźmy na zewnątrz. Mam trochę ładnych cieląt. Na pewno chętnie je obejrzysz.

Freddie Joe skrzywił się z wyraźnym niezadowoleniem.

- Ale nie zjadłem jeszcze tego świetnego pasztetu, no i deser...

- Ally zapakuje ci kawałek na drogę, prawda, córeczko? - Chwycił Freddiego pod ramię i prawie siłą wywlókł na zewnątrz.

Widząc to, Ally zwróciła się do braci.

- Danny, co tu jest grane?

Danny wzruszył ramionami, wpełchnął do ust ostatni kawałek pasztetu i wyszedł z pokoju.

Ally kipiała złością.

- Porter?

Odsunął krzesło i wstał od stołu. Zawahał się, gdyż jakkolwiek nie lubił Detweillera i współczuł siostrze, nie chciał zniweczyć planów ojca. Mimo wszystko uważał, że sprawa została rozegrana nieuczciwie. Ally nie była prowincjonalną gęsią, lecz inteligentną kobietą i pominąwszy jej ułomność, bardzo atrakcyjną.

82

- Zrób coś - poprosiła go cicho. W końcu się odezwał.

- Jak wiesz, Detweillerowi rozpaczliwie brakuje żony, prawda?

Ally ze zdumienia zrobiła wielkie oczy i szeroko otworzyła usta. Szok, jakiego doznała, na chwilę odebrał jej mowę.

Zanim zdołała wyciągnąć z brata więcej informacji, Porter wyszedł, w duchu przeklinając ojca za brak wyczucia.

- Och, mój Boże - szepnęła do siebie. - Jak on mógł? Nie, to niemożliwe... - Lecz dobrze wiedziała, jak wygląda prawda.

Ojciec zawsze mieszał się w jej życie, a ponieważ brakowało jej pewności siebie, pozwalała mu na to. Była jednak pewna, że prędzej opuści Blue Creek na zawsze, niż poślubi łajdaka, którego dla niej wybrał.

Z bólem serca i pouczeniem zawodu zebrała resztki ze stołu, posprzątała kuchnię, a potem udała się do swojego pokoju. Chociaż musiała jeszcze przekopać grządki w ogródku, a później uprasować stertę koszul, rzuciła się na łóżko, i wkrótce, zmęczona płaczem, usnęła.

Śniła o wysokim, ciemnowłosym mężczyźnie, który wyszedł z lasu. Poprosił o łyk wody i powiedział, że szukał jej przez całe życie.

Zapłakała jeszcze raz, ale tym razem ze szczęścia. Kiedy się obudziła, słońce chyliło się ku zachodowi. Dochodzące z dołu głosy oznaczały, że ojciec i bracia oglądają w salonie telewizję.

83

!A\y o^JOMpod bu ojsojd B{poiA\ bjopj 'fe^zaps ipazsod i Avazjp auim^saS a\ noai>[S 'uiazB>[BU uiAuzj}5ua\9av suit>[Bf Azo fefomiui ais ofefruapi 'i\$ojp nosfaira uiAuMad ^\ - BZijaiMod oSazaiMS

UIIOMS M

OJ

pO SIS JBAUapO TU0Z03IM

•BiuszoBuz oSaupBz oSaiu

3IU Z03J 'B>{Ain 0>p[3] 3Z '

po '

ampdnz feiu bu 5is {bid^b^ 'iujbiso zbj od sra 'ara -qopodopA\Bid t 'psoj§9|po fo

ZBJ

Biuaiqtv[sod op oisnuiz 5is Bp sra ouMad bu znf y Bofo Mc^sAmod tpidn{ § op

5IS 0BU]3bU AIO\00 fsZSpIUUlfBU JSBIUIOJBUB JBIUI

3!N ^biuiusiz OBdo>jo i Ajopituod imB5[T]B -spod '5>(iosbj feuojsiz OBjqszejd 3izp5q

luaizp AudSjSBu bu soBid B{BA\,oirejdBZ 'ii

> -B^pcjSo op B{zsod x tui nqop od bjzsAm 'Xjnj b^Azo^

ZSJBUB 3TU Ap§IJ\ [^,00 OI OU 'B{

ijssf i§ou 3tqo bjbiui i B{Bizp

-TAV 'BMOJpZ B^Ag "nSoa OBMO^SIZp BUUIMOD 3IU -USIZpOO 3Z 'B{BTUinZOJZ I

'Bm0pTM3IU 3IS BJI

bjopi 'uoa3Q pqBg o BjBjsAraod raajOj

uiAi z 5is Bjizpoan ara AqAp§ 'apAz faf Aqo{

-BpB|§AM >{Bf '5IS DBfBIMBUBJSBZ 'SdOJS fe>{a|B5(BAVS

bu raatjjjnuis sz BjAzjjBd x b^zc^ nfei^s bu

Przystanął w cieniu drzew, ale Ally nigdzie nie było. Widział za to, jak jej ojciec, skończywszy jakieś prace w stodole, wszedł do domu. Potem dostrzegł jej braci wracających z pastwiska. Zatrzymali się na schodach z tyłu domu, żeby pobawić się z psem, i po chwili także weszli do domu.

Nawet wtedy nie tracił nadziei, że ujrzy dziewczynę. Nie wiedział, dlaczego tak mu na tym zależy. Miał przecież na głowie dużo ważniejsze sprawy niż córka prostego farmera.

A jednak wciąż czekał.

Właśnie miał zamiar zrezygnować, gdy drzwi domu otworzyły się. Na widok Ally schodzącej po schodach werandy, wstrzymał oddech. W jej postaci była jakaś dziewczęca niewinność. Roland z bólem serca patrzył, jak utyka. Gdy zaczęła przebierać fasolę, nagle wyprostowała się i skierowała wzrok w stronę drzew. Roland zamarł. Czyżby został zdemaskowany? Ryzykował, a mówiąc dokładniej, chyba kompletnie zwariował. Zachowywał się jak nadpobudliwy i niewyżyty seksualnie nastolatek, naraził na szwank całą swoją przyszłość. Ależ z niego idiota!

Wstrzymał oddech, patrząc na jej nieruchomą postać. Bał się poruszyć, aby go nie zauważyła. Kiedy w końcu odwróciła wzrok, Roland skrył się głębiej w cieniu drzew, a kiedy już oddalił się na tyle daleko, by nie mogła go usłyszeć, zaczął biec co sił w nogach.

98

objsoz jBisnui 3izp5q gz '{ BizpiA\9Zid 9iu fTjoS aiu i 9is {Aui 3iu 'ossf giupizpoures
9IU 'UI91U9Z0OJO Z 5IS {

A 3Z

p^u faMouiop i>[aido n}ttpC} z azpfeiu -aid OBJSiqod 5is {eMopAospz Xoub

-3Zid I BZ qOI>[JsAzSA\ t\IU3ZBAVZOJ OJ -

3iq9is z ozpjq 9tosia vXzoo 'nuiop op

BZ BIUBUZt\

'ojuo>[3jsiqoso sfoMs bu

{BA\XtllAzjJO 3IZp5q 0BTS3IUI 00 3Z

'5xs

3AV BJBjq BIUBAV01U3Z9jd3J Op OMBjd ntU o

'BMpmoouioupd musiMBjspazjd i n>[UBq m sp

BU 9§BA\n BIBO JBA\OAU30UO>{S UI3JOJ -9iqOS

jiMBisozod i nfo>{od tuAuupsoS a\

-B{S0J3Zjd OS U1OV['ofOBtl^S AS.

-5jiA\n uispoBj Aoubj3 uojBy b 'sojzszAzjd bu

A ZBJ9J

jego niańką. Po czterech dniach, kiedy twarz Wesleya pokryła się ciemnym zarostem, Aaron zaczął popadać w coraz większe rozdrażnienie.

Niezadowolony, z trudem odnajdując resztki cierpliwości, na śniadanie podawał Wesowi miskę płatków zalanych zimnym mlekiem i odgrznaną, lurowatą kawę, a na lunch zostawiał jedną kanapkę. Każdego wieczoru, kiedy wracał z pracy do domu, kanapka znajdowała się tam, gdzie ją rano położył. Jego frustracja pogłębiała się z każdym dniem. Próbował wynająć sąsiada do opieki nad Wesem, lecz ten, po szczegółowych oględzinach ewentualnego podopiecznego, stanowczo odmówił.

Szybko rozniosło się, że Aaron Clancy mieszka z chorym psychicznie. Nie przysporzyło mu to popularności, a i tak nieliczni przyjaciele teraz zaczęli go unikać.

Tymczasem Wesley także czuł się sfrustrowany. Męczyło go tkwienie za ścianą milczenia i udawanie, że nie wie, co dzieje się wokół.

Chciał znaleźć się z dala od Fort Benning i wszystkiego, co przypominałoby mu o wojnie, a Clancy miał umożliwić mu tę ucieczkę. Teraz jednak Wesley nie był pewien, czy podjął słuszną decyzję. Nie robił żadnych planów na przyszłość i po prostu biernie tkwił w pułapce opartej na kłamstwie.

Tak więc każdego wieczoru i co rano, dopóki Aaron nie wyszedł do pracy, Wesley chował się w swoim świecie milczenia. Jednak gdy tylko

87

zostawał sam, chwycił się rękami za głowę i wybuchał płaczem.

Czasami wydawało mu się, że już nigdy nie wyzwoli się z tego stanu. Smutek zawładnął nim całkowicie. Zdarzały się również czarne dni, w ciągu których nie robił nic, tylko przeklinał Boga za to, co mu uczynił.

Każdego wieczoru pozwalał Aaronowi położyć się do łóżka, ignorując zniewagi i obelgi, których brat mu nie szczędził. Czekał, aż Aaron zgasi światło i zamknie za sobą drzwi, po czym układał się w wygodnej pozycji i znów pogrążał się w myślach.

Ta pora dnia była trudna również dla Aarona, bo wyrzuty sumienia nie dawały mu zasnąć. Przecież Wes miał za sobą bardzo ciężkie przeżycia. W niewoli był torturowany, potem stracił żonę i synka w ataku terrorystycznym. Mimo to potrafił jednym celnym strzałem unieszkodliwić szaleńca, który planował kolejny atak.

Właśnie, człowiek, który zabił bez zastanowienia, jak maszyna, spał tuż obok, oddzielony od niego jedynie ścianą. Aaron wstawał, kilka minut krążył niespokojnie po pokoju i wreszcie zamykał drzwi na klucz. Gdyby bowiem w Wesleyu obudził się instynkt zabójcy, przyrodni brat byłby niewątpliwie jego pierwszą ofiarą.

Dlatego też Aaron coraz częściej rozważał pomysł, by zrezygnować z dalszej opieki nad Wesleyem i oddać go do pierwszego lepszego domu wariatów, który tylko zechciałby go przy-

88

jąć. Wciąż jednak się wahał, gdyż w ten sposób straciłby mnóstwo nieopodatkowanej kasy. Nie miał pojęcia, co robić, ale coraz częściej dochodził do wniosku, że nie powinien dzielić domu z gotowym na wszystko szaleńcem.

Wieczorem, piątego dnia pobytu u Aarona, Wesley zaczął myśleć o ucieczce. Gdy tylko usłyszał, że Aaron poszedł do swojej sypialni i zamknął drzwi na klucz, obrócił się na bok, żeby rozejrzeć się wokół. Z bólem serca pomyślał o swoim domu i pokoju, który kiedyś urządzili z Margie. Pomieszczenie, w którym znajdował się teraz, było brudne i ponure, jak całe mieszkanie Aarona. To miejsce nie zasługiwało, by nazywać je domem. Margie

uwielbiała rośliny, hodowała je z zapalem, zdobiły każdy wolny kąt. Myślał o tych wszystkich niezliczonych nocach, kiedy leżała przytulona do niego. On oplatał ją ramionami, a delikatny zapach róż rosnących za oknem ich sypialni wypełniał cały pokój.

W pokoju, w którym tkwił teraz, nie było niczego poza bolesnymi wspomnieniami i neonem świecącym za oknem, który rzucał na ścianę jaskrawą plamę. Obserwował ją, dopóki oczy nie zaczynały mu łzawić ze zmęczenia. W pewnej chwili jego powieki stały się ciężkie, aż wreszcie zapadł w sen. Jakiś czas potem, nagle obudził go odgłos szybkich i powtarzających się strzałów z broni palnej. Serce Wesleya zamarło na moment.

Po chwili zaczęło pracować znowu, gdy z łoskotem, twardo uderzył o podłogę. W pierwszym odruchu chciał dostać się do bunkra i nawet zaczął się już czołgać w stronę cienia na ścianie, rozpaczliwie szukając rewolweru, i dopiero po chwili zorientował się, że nie jest znowu w Iraku. Pot obficie spływał mu po plecach, trzęsły mu się ręce. Popatrzył do góry na barwne refleksy na ścianie, a potem na brudną podłogę, do której desperacko przywierał całym ciałem.

- A niech to cholera - zaklął cicho i ukrył twarz w dłoniach.

Rozległa się jeszcze jedna seria z broni maszynowej, potem ktoś uruchomił silnik samochodu, Wesley usłyszał pisk opon, jakieś krzyki, a po kilku chwilach coraz głośniejsze wycie syren. Kiedy zrobiło się trochę ciszej, wstał z podłogi i wrócił do łóżka. Ten incydent dziwnym trafem bardzo podniósł go na duchu. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że mimo wszystko jeszcze nie pora umierać. Powziął także postanowienie, że już nigdy nie będzie na tyle głupi, by pakować się w jakieś kłopoty.

Nazajutrz Aaron obudził się w fatalnym nastroju, klnąc dosadnie na nocną strzelaninę, która zakłóciła mu sen. Napełnił miskę Wesleya płatkami zbożowymi, ale nie znalazł czasu, żeby go nakarmić. Tym razem tylko popchnął jedzenie w jego stronę i postawił z hałasem kubek kawy na stole.

90

- Żryj albo zdychaj z głodu, nie moja sprawa. I tak spóźnię się do roboty. - Skrzywił się i nie patrząc na Wesa, wyszedł.

Wesley usiadł przy misce, utkwivszy wzrok w rozmiękłych płatkach. Nasunęła mu się myśl, że bez względu na to, co dzieje się wokół, on wciąż tkwi w tym samym miejscu.

Na krawędzi stołu pokazał się karaluch, który podjął niepewny marsz w kierunku miski z nieapetyczną zbożową papką. Z kranu przy zlewie ciągle kapała woda. Słyszał, jak krople, jedna po drugiej, padają na talerz pozostawiony tam przez Aarona. Sąsiadka w mieszkaniu obok

krzyczała, a inna, z mieszkania naprzeciwko, sądząc po odgłosach, biła się ze swoim mężem. Na końcu korytarza płakało dziecko.

Zmysły Wesleya ożyły i domagały się spokoju. Gorąco, smród, hałas - wszystko jednocześnie wdzierało się do pokoju i przytłaczało Wesa tak bardzo, że wstał z łóżka. Przez jakiś czas rozglądał się wokół, jakby oceniał swe szanse, potem podszedł do kredensu, zdjął z półki puszkę po kawie i uchylił wieczko. Każdego wieczoru obserwował, jak Aaron wrzuca tam drobne wyjęte z kieszeni. Uznał, że skoro Aaron regularnie zabiera mu pieniądze, to on ma prawo przynajmniej do częściowej rekompensaty. Następnie wszedł do łazienki, wziął prysznic, ubrał się i zaczął pakować.

Z ponad stu dolarami w kieszeni i nożem sprężynowym, który wyjął z komody Aarona, poczuł się znacznie pewniej. Wepchnął resztę

91

swoich rzeczy do uszytego z grubej, mocnej tkaniny wojskowego worka w kolorze khaki, z napisem „U.S. Army” i stemplem „W. Holden”. Kiedy ruszył w kierunku drzwi, zatrzymał się na chwilę, zdjął z wieszaka kowbojski kapelusz Aarona i nasunął na czoło. Ale gdy sięgnął ręką do klamki, nie mógł opanować drżenia dłoni. Odczuwał kołatanie serca i nieprzyjemny ucisk w żołądku. Uznano go za zaginionego dawno temu i daleko stąd, ale to wspomnienie wciąż przyprawiało go o dreszcze.

Pomyślał o ponurym życiu, jakie wiódł Aaron. Przypomniawszy sobie jego kłamstwa i oszustwa, którymi tak szczerze częstował personel szpitala. Wes doskonale wiedział, że gdyby nie zdecydował się opuścić Aarona, mogłoby zdarzyć się coś strasznego. Wziął głęboki oddech i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi.

W chwilę później był na ulicy. Spojrzał ostatni raz na obrzydliwą norę przyrodniego brata, po czym skierował się dokładnie na północ.

W drodze do domu Aaron przebił oponę. Okazało się, że nie ma zapasowej. Gdy usiłował wezwać pomoc drogową, stwierdził, że jego komórka się wyładowała. Całe dni spędzał na naprawie samochodów innych ludzi, a nie umiał zadbać o swój. Pobiegł szukać budki telefonicznej, a kiedy wrócił do auta, było prawie ciemno. Wreszcie dotarł na parking przed domem, ale wciąż jeszcze trząsł się z wściekłości. Co gorsza,

92

okazało się, że nie działa winda. Przeklinając głośno, powłókł się na czwarte piętro, a kiedy włożył klucz do zamka, z przerażeniem stwierdził, że drzwi są otwarte.

W pierwszej chwili pomyślał, że został obrabowany, następnie przypomniał sobie o Wesleyu. Może jego obłąkany braciszek leży teraz w kałuży krwi? Wszedł do środka i

natychmiast zorientował się, że w jego lokum panuje nadal ten sam swojski bałagan i nigdzie nie widać śladów włamania. Nagle uświadomił sobie, że w mieszkaniu nie ma Wesleya, i serce podeszło mu do gardła.

Aaron zupełnie nie rozumiał, jak Wes zdołał wstać z łóżka i uciec, skoro nie był w stanie samodzielnie jeść. Przecież zawsze po powrocie do domu zastawał go w tym samym miejscu, w którym zostawił go rano. Teraz jednak go nie było. Aaron wszedł jeszcze raz do sypialni Wesleya, tym razem nie w poszukiwaniu złodzieja, lecz jakichś śladów, które pomogłyby mu rozwiązać zagadkę.

Po chwili zauważył, że zniknął wojskowy worek Wesleya i jego ubrania.

- Skurwysyn! Żałosny skurwysyn! - wykrzyknął z wściekłością. - Cały czas mnie oszukiwał! Wszedł z sypialni i powłókł się do kuchni. Wyjął z lodówki piwo i kiedy je otwierał, zobaczył na stole puszkę po kawie. W jednej chwili wpadł w szal. Rzucił piwem przez całą kuchnię, nie bacząc, że płyn zalewa ścianę i podłogę.

93

- Moja forsa! Ukradł mi forszę!

Kopnął drzwi i podbiegł do telefonu. W ostatniej chwili opamiętał się jednak. Jeżeli zgłosi, że Wesley Holden uciekł z jego pieniędzmi, nie będzie mógł dłużej pobierać zasiłku.

- Kurwa - wycedził przez zęby i usiadł ciężko na sofie.

Im dłużej siedział, tym bardziej się uspokajał. Nie miał żadnego powodu, żeby się złościć.

Przecież tak naprawdę Wesley wyświadczył mu ogromną przysługę. Uwolnił go od męczącego towarzystwa, ale nie od profitów.

Wyjął jeszcze jedną puszkę piwa i wzniosł

toast.

- Dziękuję, kochany bracie. Dziękuję za krótkie odwiedziny i dostęp do twojego konta. Nie ma co, poszczęściło mi się.

Następnie odstawił piwo i podniósł słuchawkę telefonu. Nadszedł czas, żeby uczcić to radosne wydarzenie, dlatego postanowił zadzwonić do pewnej rudowłosej panienki.

Pierwsza noc Wesleya, spędzona poza domem Aarona, była koszmarem. Każdy hałas bardzo go stresował i groził utratą poczucia rzeczywistości. Nawet po zapadnięciu ciemności bał się zatrzymać. Szedł więc naprzód, aż zaczęło szarzeć. W końcu przystanął przy jakiejś opuszczonej stacji benzynowej na peryferiach miasta.

Stał przez kilka minut, patrząc na odległe światła Miami, po czym rozejrzał się wokół i zatrzymał

94

wzrok na kilku starych domach. Z wyjątkiem przejeżdżających samochodów i jakiegoś ptaka, który przycupnął na walącym się dachu pustej stacji, nie widać było żadnego ruchu. Zadowolony z takiego obrotu rzeczy przecisnął się przez rozbite okno, po czym dokonał szybkich oględzin wnętrza. Co chwila odruchowo kładł dłoń na nożu, tak jak robiłby to podczas wojskowego zwiadu. Znalazł resztki małego ogniska, a to oznaczało, że nie on pierwszy szukał tu schronienia. Albo ktoś ukrywał się tu przez jakiś czas, albo tylko zanocował i szybko wyniósł się z powodu porozrzucanych wokół rupieci, głównie zepsutych silników i innych części samochodowych.

Gdy tylko Wes upewnił się, że jest sam, odsunął nogą stos drewnianych palet i zrzucił z pleców wojskowy worek, który miał mu posłużyć za poduszkę. Położył się na podłodze, plecami do ściany, nie wypuszczając noża z ręki. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył i zapamiętał, była mysz, która wybiegła spod sterty skrzynek, a potem szybko czmychnęła na dwór.

Wirnik Black Hawka wzbiał olbrzymi tuman piasku, który uderzył Wesa prosto w twarz. Wesley i młody poborowy osłaniali żołnierzy niosących ranego kolegę do helikoptera.

- Pułkowniku Holden! Pułkowniku Holden! Musicie obaj tu przyjść!

Wołano ich z Black Hawka. Wes zmierzył

95

wzrokiem dystans między kryjówką snajpera a helikopterem i ocenił ich szansę na pięć procent.

— Teraz! Pułkowniku! Naprzód!

W głosie strzelca pokładowego słychać było ponaglenie, musiał zatem wiedzieć o czymś, o czym Wes nie miał jeszcze zielonego pojęcia. Wes obrócił się gwałtownie do swojego towarzysza i krzyknął:

— Teraz! Naprzód!

— Ale pułkowniku...

— Teraz! - krzyknął Wesley i obaj zaczęli biec. Snajper wroga zdawał się tylko na to czekać. Otworzył ogień, gdy od helikoptera dzieliło ich zaledwie około stu metrów. Pierwsza kula trafiła Wesa w prawe ramię. Stracił czucie i karabin wypadł mu z ręki. Nie wiedział nawet, ile metrów już przebiegli, gdy zobaczył napięte z emocji twarze załogi helikoptera. Wszyscy coś gorączkowo wykrzykiwali.

Biegący przed Wesem młody żołnierz zatrzymał się i odwrócił w jego stronę. Następny strzał snajpera trafił go dokładnie między oczy. Podmuch wzniesiony przez wirnik wymieszał piasek z krwią i strzępami mózgu, tworząc przerażający, zabarwiony na różowo obłok,

unoszący się nad głową rannego. Okrzyk przerażenia zamarł na ustach Wesleya. Wtedy drugi pocisk trafił go w lewą nogę. Upadł. Gdy wróg zaczął ostrzeliwać helikopter z działek przeciwlotniczych, Wes próbował usunąć się z Unii ognia, lecz jego wysiłki spełzły na niczym.

96

Odwrócił się w kierunku helikoptera i wykonał kilka gorączkowych gestów, chcąc dać im do zrozumienia, żeby czym prędzej odlecieli.

- Lećcie! Lećcie! - krzyczał. — Cholera z tym wszystkim! Lećcie!

Black Hawk był około trzech metrów nad ziemią i zaczął unosić się wyżej, kiedy nagle zamienił się w kulę ognia. Na ziemię posypały się rozżarzone kawałki metalu.

To sam diabeł pluje ogniem, pomyślał jeszcze Wes i stracił przytomność.

Kilka dni później obudził Wesleya szczur spacerujący po jego piersi. Zwierzę na chwilę przystanęło i wpatrzyło się w Wesa czarnymi, złowieszczo błyszczącymi ślepiami. Wes próbował go od-gonić, ale chybił i po sekundzie szczur umknął do dziury w ścianie. Nagły ruch wywołał w ciele Wesa falę bólu. Otworzył usta do krzyku, ale z wyschniętego gardła nie wydobył się ani jeden dźwięk. Spojrzał bezradnie na brudne i zakrwawione bandaże na ramieniu i udzie.

Nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje, ale z pewnością wpadł w ręce wroga. A potem usłyszał dobiegające z oddali kroki...

Wesley obudził się z ciężkim westchnieniem. Wciąż miał przed oczami obraz spacerującego szczura. Zamachnął się, ale też już zaczął szukać kryjówki przed żołnierzami Saddama Husajna. Gdy zobaczył sterty drewnianych palet i skrzynek oraz mnóstwo części samochodowych, odzyskał

97

poczucie rzeczywistości i zmówił cichą modlitwę dziękczynną. Był zagubiony, bezdomny i głodny, ale wolny.

Podniósł się ze swojego legowiska, otrzepał ubranie z kurzu, zabrał worek z rzeczami i wy dostał się z pomieszczenia w taki sam sposób, w jaki do niego wszedł. Gdy znalazł się na zewnątrz, zobaczył, że słońce chyli się już ku zachodowi. Skurcze i ssanie w żołądku brutalnie przypomniały mu o potrzebie zdobycia posiłku. Zarzucił worek na plecy, wsunął nóż do kieszeni i ruszył w drogę. Musiał zaspokoić głód, reszta na razie mogła poczekać.

Dwa tygodnie później pewien kierowca ciężarówki zatrzymał się na drodze prowadzącej przez góry Wirginii Zachodniej. Chciał uzupełnić paliwo, zjeść coś ciepłego i wysadzić

autostopowicza, którego spotkał na obrzeżach Savannah. Kolejny weteran wojenny, pomyślał o mężczyźnie, gdy dostrzegł wysłużony wojskowy worek. Skoro ojczyzna uwikłała się w nową wojnę, zabranie takiego autostopowicza należało uznać za patriotyczny obowiązek. Lecz gdy zobaczył wyraz oczu Wesleya, zaczął żałować swojej lekkomyślności. Pasażer robił wrażenie niepoczytalnego, a kabina osiemnastokołowej ciężarówki nie wydawała się dostatecznie duża, żeby można w jej wnętrzu stoczyć skuteczną walkę z szaleńcem.

Jednak nieznajomy zachowywał się spokojnie i po jakimś czasie kierowca zmienił zdanie na jego

98

temat. Mimo wszystko odetchnął z ulgą, gdy wreszcie nadszedł czas rozstania.

- Szczęśliwej drogi, żołnierzu - powiedział i uścisnął rękę Wesleya.
- Nawzajem - odparł Wes. - I dzięki za podwiezienie.
- Drobiazg. Uważaj na siebie.

Wesley kiwnął głową i poszedł w kierunku toalety na stacji, a kierowca zajął się tankowaniem. Wes umył się najlepiej, jak mógł, kupił wodę i torebkę chipsów i ruszył w dalszą drogę. Odczuwał przymus nieustannego przemieszczania się, musiał być w ruchu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zobaczył kawał kraju. W upalne dni lub podczas burzy chronił się pod wiaduktami i mostami, kąpał się w napotkanych stawach i kanałach wodnych. Z każdym dniem nabierał zdrowia i sił. Od czasu do czasu analizował swoją sytuację i coraz lepiej radził sobie z tragicznymi wspomnieniami.

Przeważnie unikał ludzi, a na jazdę samochodem decydował się tylko wtedy, gdy był bardzo zmęczony.

Pewnego razu był świadkiem, jak jakiemuś kierowcy odpadło koło od przyczepy, z której wypadł cały ładunek darni. Wesley pomógł mu założyć koło zapasowe, a potem z powrotem załadować ciężkie bele. Kierowca był tak wdzięczny za pomoc, że dał Wesleyowi wszystkie pieniądze, jakie miał w kieszeni, to znaczy sześćdziesiąt pięć dolarów. Wes wciąż jeszcze miał większą

99

część tej kwoty, lecz, rzecz jasna, musiał pomyśleć o zdobyciu jakichś środków na przyszłość. Potrzebował jakiegoś lokum, miejsca, gdzie mógłby spokojnie mieszkać i gdzie nie byłby przez nikogo niepokojony. Nie wiedział, jak zareagowałby w stresowej sytuacji, dlatego postanowił trzymać się z dala od ludzi. Przynajmniej przez pewien czas, dopóki nie uzyska pewności, że jest w stanie nawiązać normalny kontakt z otoczeniem. Do tego jednak

potrzebował miejsca, w którym czułby się bezpiecznie i dobrze. Kontynuował zatem wędrówkę, szukając swojego wymarzonego azylu.

Góry Wirginii Zachodniej pokryte były bujną zielenią. Okalały drogę, którą wędrował Wesley, niczym milczący i monumentalni strażnicy. Od czasu do czasu spoglądał na wysokie drzewa i grube poszycie lasu, próbował wyobrazić sobie życie jego mieszkańców. Słuchał śpiewu ptaków, przyglądał się skaczącej wiewiórcie i wreszcie spłynął na niego spokój.

Zza jego pleców nadjechał z ogromną prędkością ciemny sportowy samochód. Gdy zrównał się z Wesleyem, kierowca nacisnął klakson. Trąbiąc przeciągle, wykonał obraźliwy gest i zaśmiał się szyderczo.

Wes stracił cierpliwość. Bez zastanowienia skręcił z szosy w gęstwinę drzew. Cień lasu przynosił mu spokój i ulgę, ale gdy po godzinnym marszu pod górę poczuł głód i pragnienie, zaczął

100

szukać drogi, która zaprowadziłaby go do miasta. I wtedy usłyszał czyjś śpiew. Głos niósł się z daleka i chwilami zanikał, ale z pewnością należał do kobiety.

Wes zatrzymał się, nasłuchując, po czym, jakby przyciągany niewidzialną siłą, ruszył w tamtą stronę.

Kobieta śpiewała jakąś pieśń kościelną. Nuciała melodię, a chwilami wyraźnie artykułowała słowa, nie zważając wówczas na rytm.

Wesley przystanął. Podmuch wiatru był ledwo wyczuwalny i poruszał tylko listkami na najwyższych gałęziach drzew. Gęstwina lasu dawała doskonałe schronienie. Gdyby tu pozostał, byłby bezpieczny, ale głos tej kobiety przyciągał go z nieprawdopodobną siłą.

Ally nie lubiła prac. Dzisiaj zabrała się do pracy dość późno i właśnie rozwieszała ostatnią partię bielizny. Mogłaby skorzystać z suszarki, dzięki czemu szybciej uporałaby się z nielubianym obowiązkiem, ale tym razem musiała posłuchać ojca, który zganił ją za marnowanie prądu.

Nucąc sobie, wieszała właśnie jedną z koszul Portera, kiedy towarzyszący jej Buddy wydał głęboki, gardłowy pomruk, a potem zaszczekał. Odwróciła się, żeby zobaczyć, co go zaniepokoiło, i wtedy ujrzała wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę wychodzącego spoza linii drzew. Pod szerokim rondem kapelusza zobaczyła długie, czarne włosy i równie ciemny zarost na

101

niegolonej twarzy. Nieznajomy niósł na plecach wypchany wojskowy worek.

W pierwszej chwili miała ochotę uciec. Zaniepokoiło ją, że mężczyzna nadszedł od strony gór, a nie drogą prowadzącą do miasta. Widząc przestrach na jej twarzy, Wesley zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów przed nią. Zdjął kapelusz i pochylił się, żeby przyjaźnie poklepać Bud-dy'ego. Pies nigdy nie mylił się co do ludzi, więc jego spokój Ally odebrała jako dobry znak. Gdy Wes się wyprostował, Ally po raz pierwszy spojrzała mu w oczy, w których, nawet z tej odległości, zobaczyła ogromny smutek i samotność. Doznała nagle pragnienia, żeby objąć nieznajomego, przytulić i zatrzymać przy sobie na zawsze. Wzięła się w garść i podeszła do niego.

- Dzień dobry panu - odezwała się, przysłaniając dłonią oczy.

Miała miękki, miły głos. Nagle pomyślał o Mar-gie, w pierwszym odruchu chciał odwrócić się i odejść, ale zwykle uczucie głodu i pragnienia okazało się silniejsze niż strach.

- Dzień dobry pani. Czy mógłbym poprosić

o łyk wody?

Gdy zawahała się, uświadomił sobie, że wzbudza w niej lęk. Zrobiło mu się przykro, ale cofnął się kilka kroków, by zrozumiała, że nie miał złych zamiarów.

Ally nie wierzyła własnym uszom. Wysoki, ciemnowłosy obcy mężczyzna wychodzi z lasu i prosi ją o wodę... Zupełnie jak w jej marzeniach.

102

- Chce pan trochę wody?

Wes wzdrygnął się. Uświadomił sobie, że przebywanie w towarzystwie kobiety sprawia mu ból. I choć nieznajoma nie była podobna do Margie, jej obecność bezlitośnie przypominała mu o bolesnej stracie.

- Tak, bardzo proszę.

Ally skinęła ręką, żeby szedł za nią i ruszyła w kierunku werandy. Dopiero wtedy zauważył, że kobieta lekko utyka. Jednak ta mała ułomność była niczym w porównaniu z okaleczeniami, na które musiał kiedyś patrzeć. Wesley przerzucił swój bagaż na drugie ramię i szedł za nią w odległości kilku metrów, a tuż za nim podążał pies.

Ally zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do kuchni i wskazała na krzesło stojące w cieniu werandy.

- Niech pan usiądzie. Przyniosę wodę.

- Dziękuję pani. - Wesley posłusznie usiadł na krześle.

Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego.

- Nazywam się Ally Monroe.

Zniknęła za drzwiami. Buddy po raz kolejny obwąchał buty Wesa, a potem położył się przy nim i zaczął drzemać. Wesley także się odprężył i przymknął powieki. Słyszał, jak Ally krząta się po domu, a pies śpiący przy jego nogach posapuje miarowo. Lecz w tych wszystkich dźwiękach nie było takich, które większość ludzi nazywa odgłosami cywilizacji. Żadnych klaksonów ani wycia syren. Brakowało hałasu silników

103

i ich duszących spalin zatruwających powietrze. Było to coś tak dalece innego od tego, do czego przywykł, że przez moment pomyślał, że tak właśnie musiał wyglądać raj, zanim człowiek go zniszczył.

Nagle do oczu napłynęły mu łzy. Człowiek nie tylko zniszczył raj, lecz posunął się jeszcze dalej, i przemienił go w piekło. — Proszę pana?

Otworzył oczy i wyprostował się na krześle. Chciał nawet odruchowo sięgnąć ręką do kieszeni, w której miał nóż, ale zreflektował się w ułamku sekundy i bardzo zażenowany z powodu tego chwilowego oderwania od rzeczywistości przyjął szklanekę z wodą, wymamrotał słowa podziękowania i zaczął pić.

Ally obserwowała go, udając, że nie widzi jego łez. Spodnie mężczyzny były w jednym miejscu lekko rozdarte, a koszula nosiła ślady potu. Włosy miał już za długie, broda także wymagała przy strzyżeniu. Lecz wygląd jego rąk nasunął jej myśl, że ten mężczyzna nie jest tym, kim wydaje się na pierwszy rzut oka. Miał smukłe i długie palce i, mimo zniszczonych dłoni, czyste i zadbane paznokcie. Ally przyjrzała się jego profilowi i zauważyła wysokie czoło, świadczące o dużej inteligencji. W poprzek jego nosa i przez część policzka biegła ledwo zauważalna blizna. Miał ładnie wycięte, zmysłowe wargi. Kiedy patrzyła z zachwytem na jego wydatną, mocną szczękę, obrócił się

104

nagle i pochwycił jej spojrzenie. Zaskoczona dziewczyna cofnęła się gwałtownie i potknęła. Odruchowo chwycił jej nadgarstek. Gdy tylko odzyskała równowagę, natychmiast puścił jej rękę.

- Przepraszam - powiedział łagodnie. - Bałem się, że pani upadnie.

Ally bezwiednie dotknęła miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą czuła dotyk jego palców i spróbowała uspokoić oddech.

- Dziękuję panu - uśmiechnęła się. - To przez tę moją głupią stopę - dodała.

Wes rzucił okiem na jej delikatną kostkę.

- Moim zdaniem wygląda dobrze - powiedział z przekonaniem, bo widział zbyt wiele okropności, by jej ułomność wywarła na nim wrażenie. Oddał jej pustą szklankę. - Dziękuję, bardzo tego potrzebowałem.

Wzięła od niego szklankę. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Po chwili powoli podniósł się z krzesła. Teraz mnie zabije, przemknęło jej przez myśl. Ogarnęła ją panika. Cofnęła się znowu i skrzyżowała ramiona na piersi. Spojrzał na nią i głęboko westchnął. Jeszcze raz łzy zaszkliły się w jego oczach.

- Czy jest pan głodny?

W chwili gdy zadała mu to pytanie, zdała sobie sprawę, że postępuje wbrew sobie. Co ją w końcu obchodził ten obcy mężczyzna? Jeszcze przed sekundą chciała, żeby sobie poszedł, a jednak robiła wszystko, żeby został dłużej. Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

105

Zakłopotany Wesley spróbował przeczesać palcami włosy i brodę. Przebywając blisko tej kobiety, doznawał niemal fizycznego bólu, gdyż uzmysławiała mu jego stratę. Jednak organizm brutalnie dopominał się o jakiś posiłek.

- Czy chce pan coś zjeść, czy nie? - spytała jeszcze raz.

Wesley zdjął z głowy kapelusz i z zakłopotaniem pogładził jego rondo, po czym skinął potakująco.

- Tak, proszę pani. Jestem głodny.

- Proszę do kuchni. Niech pan usiądzie przy stole, a ja tymczasem coś podgrzeję.

- Nie, proszę pani. Jestem zbyt brudny, żeby siąść przy stole.

Ally po raz kolejny zadziwiła samą siebie. Wskazała nieznanemu niewielką szopę.

- To pralnia, ale jest tam również prysznic. Jeśli pan chce, proszę z niego skorzystać, a ja w tym czasie przygotuję posiłek.

Prysznic wydał mu się luksusem, o jakim nawet nie śmiał marzyć. Upłynęło już wiele dni, odkąd miał okazję porządnie się umyć.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu - powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to lekko i naturalnie. - Niektórzy mężowie nie byliby zachwyceni, widząc obcego mężczyznę w ich łazience.

- Nie mam męża. Jedyne ojca, któremu nie będzie to przeszkadzać, i dwóch braci, których nie obchodzi, co robię, o ile we właściwym czasie postawię przed nimi talerze z jedzeniem.

106

- To nie potrwa długo - zapewnił Wesley i skierował się do szopy.

Ally poczekała, aż zniknie w pralni, po czym wpadła do domu i zaczęła gorączkowo wyjmować jedzenie z lodówki.

Upłynęło tak dużo czasu, że przygotowany przez nią posiłek prawie ostygł, kiedy nareszcie usłyszała kroki mężczyzny na schodach ganku. Wstała od stołu i skierowała się w stronę drzwi. Kręcił się na zewnątrz, spoglądając na nią przez oszklone drzwi, jakby czekał, aż go zaprosi.

- Proszę, niech pan wejdzie! - zawołała.

> Wes zostawił swój wojskowy worek za drzwiami i wszedł do środka. Zdążył wyczyścić buty i zmienić ubranie, które było wprawdzie pomięte, ale czyste. Małe kropelki wody na jego włosach nadawały im hebanowy połysk.

Lecz jego oczy były nadal cudownie niebieskie.

Ally zauważyła to wszystko i nieśmiało przysunęła się do niego.

- Czy pije pan herbatę z cytryną? - zapytała.

Wesley spojrział na biały talerz na stole, porządnie ułożone sztućce i doszedł do wniosku, że tego właśnie spodziewał się po tej kobiecie.

- Wypiję, cokolwiek pani mi poda. Jeszcze raz dziękuję za uprzejmość.

Ally ujęło to, że okazał się prawdziwym dżentelmenem.

- Jest słodka - wyjaśniła, podając mu szklankę z herbatą.

Wes zajęty był napełnianiem swojego talerza

107

- To nie potrwa długo - zapewnił Wesley i skierował się do szopy.

Ally poczekała, aż zniknie w pralni, po czym wpadła do domu i zaczęła gorączkowo wyjmować jedzenie z lodówki.

Upłynęło tak dużo czasu, że przygotowany przez nią posiłek prawie ostygł, kiedy nareszcie usłyszała kroki mężczyzny na schodach ganku. Wstała od stołu i skierowała się w stronę drzwi. Kręcił się na zewnątrz, spoglądając na nią przez oszklone drzwi, jakby czekał, aż go zaprosi.

- Proszę, niech pan wejdzie! - zawołała.

- Wes zostawił swój wojskowy worek za drzwiami i wszedł do środka. Zdążył wyczyścić buty i zmienić ubranie, które było wprawdzie pomięte, ale czyste. Małe kropelki wody na jego włosach nadawały im hebanowy połysk.

Lecz jego oczy były nadal cudownie niebieskie.

Ally zauważyła to wszystko i nieśmiało przysunęła się do niego.

- Czy pije pan herbatę z cytryną? - zapytała.

Wesley spojrział na biały talerz na stole, porządnie ułożone sztuce i doszedł do wniosku, że tego właśnie spodziewał się po tej kobiecie.

- Wypiję, cokolwiek pani mi poda. Jeszcze raz dziękuję za uprzejmość.

Ally ujęło to, że okazał się prawdziwym dżentelmenem.

- Jest słodka - wyjaśniła, podając mu szklankę z herbatą.

Wes zajęty był napełnianiem swojego talerza

107

i ledwie zwrócił uwagę, że podała mu mrożoną herbatę, a potem usiadła naprzeciw niego. Przez dłuższą chwilę w milczeniu obserwowała, jak je, dając mu szansę zaspokojenia pierwszego głodu. Ostatecznie jednak zwyciężyła ciekawość.

- Czy ma pan jakieś nazwisko?

- Tak - odpowiedział Wes i odwrócił wzrok. Ally wydało się, że dzieli ich niewidzialna ściana.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam być wścibska. Czy ma pan ochotę na dokładkę?

- Dziękuję. Zjadłem wystarczająco dużo. - Popatrzył na nią. - Świetnie pani gotuje.

Jestem doprawdy zaskoczony, że żaden mężczyzna nie zdołał pani nakłonić do małżeństwa.

- Nikt nie chce kaleki. Wesley doskonale ją rozumiał.

- Proszę pani - powiedział poważnie. - Są różne rodzaje kalectwa. Niektóre widoczne na pierwszy rzut oka, inne ukryte przed ludzkim wzrokiem. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Nazywam się Wesley Holden.

- Miło mi pana poznać. Skąd pan jest?

- Znikąd.

- Nigdy nie słyszałam o takiej miejscowości. Czy to blisko Nashville?

Wesley uśmiechnął się.

- Bardzo daleko.

- To także niewiele mi mówi - odpowiedziała Ally.

Wesley uśmiechnął się jeszcze szerzej.

108

- Urodziłem się i dorastałem w Montanie. - Nagle wstał. - Najlepiej będzie, jak już pójde. Była pani i tak zbyt uprzejma dla obcego człowieka.

- Nie zapominajcie nigdy o obcych, albowiem możecie nie wiedzieć, że przyjmujecie pod swój dach aniołów.

Wesley popatrzył na nią uważnie.

- To cytat z Biblii - wyjaśniła Ally. Powrócił w myślach do czasów, kiedy, jak

każdy żołnierz, musiał zabijać ludzi.

- Nie jestem aniołem.

- Ani przez chwilę nie pomyślałam, że pan nim jest, ale... nigdy nie wiadomo. Moja nieżyjąca już mama często powtarzała, że Bóg może pojawić się w dowolnej postaci lub kształcie. - Uśmiechnęła się. - Mówiła, że szatan również.

Wes przytaknął.

- Pani mama była mądrą kobietą.

- To prawda.

- Przykro mi, że nie żyje - powiedział cicho, myśląc o własnej matce.

Zobaczyła na jego twarzy ból, zmieniła więc temat rozmowy.

- Zatem pana bliscy są w Montanie? Pewnie się o pana martwią.

- Wszyscy nie żyją - odpowiedział i sięgnął po kapelusz.

W jego oczach znów pojawiły się łzy.

- Przepraszam - powiedziała cicho Ally. Wesley usiłował zachować spokój.

109

- Myślę, że i ja już nie należę do świata żywych.

Ruszył w kierunku drzwi.

- Dokąd pan się wybiera? Już późno. Zatrzymał się niepewnie.

- Właściwie donikąd.

- Na drodze jest teraz niebezpiecznie.

- Wszędzie jest niebezpiecznie.

- Gdyby chciał pan trochę odpocząć... być może przemyśleć kilka spraw, przerwać wędrówkę... Chyba wiem, gdzie mógłby pan się zatrzymać. Niedaleko stąd...

- Nie mam pieniędzy na hotel.

- Nie, nie o to mi chodziło - zaprzeczyła pośpiesznie. - Proszę pójść ze mną.

Wyszli z domu. Po chwili przystanąła.

- Czy widzi pan ścieżkę na lewo od tych bliźniaczych sosen?

Wesley pokiwał głową.

- Około trzech kilometrów stąd stoi pusta drewniana chata. Może pan tam na jakiś czas zamieszkać. Tutejsi ludzie nie są wścibscy, każdy pilnuje własnego nosa. Nie będą się niczemu dziwić ani zadawać niewygodnych pytań.

Wesley patrzył na wąską, krętą ścieżkę, która zdawała się nie mieć końca. Myśl o dachu nad głową i samotności, której pragnął, wydała się kusząca, ale nie umiał tak od razu zaufać nieznajomej.

- Właściciel może nie być zachwycony dzikim lokatorem.

110

- Mieszkał tam starszy brat mojej matki, Doo-ley Brown. Kiedy wujek Doo umarł kilka miesięcy temu, chata stała się moją własnością. Jest do mojej dyspozycji, a ja proponuję panu zamieszkanie tam. Co w tym złego?

- Ale pani mnie nie zna.

- To prawda, nie znam.

- Zatem dlaczego jest pani dla mnie taka... taka miła?

Ally dotknęła jego ramienia. Zrobiła to odruchowo, bez jakiegokolwiek podtekstu, lecz kiedy poczuła, jak się wzdrygnął, natychmiast cofnęła rękę.

- Nie znalazł pan się tutaj przypadkiem. Wes zmarszczył czoło.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Myślę, że to Bóg pana tutaj przywiódł.

- Boga nie ma - odparł. Ally potrząsnęła głową.

- Myli się pan. Bóg jest, to pan się zagubił. Wesley odruchowo napiął mięśnie. Ta uwaga dotknęła go do żywego. Popatrzył na Ally ze złością.

- Kim pani jest? Wszystko, o co prosiłem, to szklanka wody. Nie ma pani prawa wtrącać się w moje życie ani oceniać mnie.

Jego wybuch zaskoczył Ally. Przestraszyła się, lecz mimo to pozostała nieugięta. Tak, wtrącała się w nie swoje sprawy, ale w tym momencie nie mogła okazać mu swojej słabości.

- Przepraszam, jeśli pana dotknęłam - powie-

111

działa. - Życzę panu szczęśliwej drogi, panie Holden. Czy wierzy pan w Boga, czy nie, zapewniam pana, że tylko On może pana ocalić.

- Nie potrzebuję ocalenia - odparł Wesley i ruszył przed siebie.

Ally zauważyła jednak natychmiast, że zamiast drogi, którą przyszedł, obrał ścieżkę, którą mu wskazała. Nie była w stanie nazwać swoich emocji, nie miała też odwagi, by próbować je pojąć.

Chwilowo wystarczała jej świadomość, że nieznajomy nie odszedł za daleko.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wesley szedł ścieżką pod górę. Był zły, choć sam nie wiedział z jakiego powodu. W pewnej chwili jednak zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od długiego czasu doświadczył również pozytywnych uczuć.

Zdołał odgrodzić się od złych myśli z przeszłości i skupił całą uwagę na drodze. Jakiś mały, brązowy ptaszek przeleciał tuż przed nim. Wes zatrzymał się, żeby popatrzeć, jak siada na gałęzi pobliskiego drzewa, potem mości się w gniazdku uwitym z trawy i cieniutkich patyczków.

Nagle poczuł bolesny ucisk w gardle. Nawet taka ptaszyna miała swój dom. Pożałował teraz, że zachował się z taką rezerwą i potraktował nieznajomą zbyt obcesowo.

Pomyślał jeszcze raz o drodze, którą przebył, i zrozumiał, że dokonana się w nim zmiana. Jedyne światło, w którym dotąd żył i który dobrze znał, przeminął. Jeśli ta ścieżka dokądś wiodła, z pewnością będzie to lepsze miejsce niż to,

113

w którym dotąd przebywał. Nie wiedział, co go czeka ze strony tej kobiety. Jak ona ma na imię? Alice? Nie, Ally. Tylko tyle o niej wiedział. Ally Monroe. Zaproponowała mu, żeby został, wskazała miejsce, w którym mógł odpocząć. Nie obraziła się z powodu jego niegrzecznej odmowy. Czy to wszystko przypadek, czy też przeznaczenie celowo popchnęło go na tę górską ścieżkę?

Poprawił kapelusz i jeszcze raz przeanalizował sytuację, tylko tym razem z pozycji człowieka, który patrzy w przyszłość. Cokolwiek znajdowało się przed nim, musiało okazać się lepsze od tego, co zostawił za sobą. Poprawił na ramieniu pas wojskowego worka i ruszył dalej.

Chwilę później wyszedł na przecinkę i to, co zobaczył, przeszło jego wszelkie oczekiwania. Wyobrażał sobie ściany z bali i grożącą zawaleniem werandę, lecz z pewnością nie coś takiego. Wyglądało to jak połączenie muchomora z krótkim, grubym silosem. Kto mógł wybudować takie dziwactwo? - zastanawiał się.

Gdy podszedł bliżej, dostrzegł szary, porośnięty mchem beton pośród płataniny bluszczu i wisterii. Nie był pewien, czy to dom, o którym mówiła Ally, czy raczej porzucona kryjówka elfów. Mimo to atmosfera tego miejsca przemówiła do niego i wywarła na nim pozytywne wrażenie. Uważnie rozejrzał się wokół, by upewnić się, że jest sam, po czym podszedł bliżej. Przy drzwiach wiło się kilka zbłąkanych pnączy. Chwycił je dłońmi, by odsłonić wejście. Był

114

pewien, że domek jest zamknięty, ale gdy tylko dotknął klamki, drzwi otworzyły się.

Powietrze w środku było ciężkie, a pokój ciemny. Pamiętał jednak, że Ally napomknęła o elektryczności. Szedł po omacku wzdłuż ściany w poszukiwaniu włącznika światła, aż wyczuł go pod palcami. Gdy wewnątrz wyłoniło się z ciemności, Wes doznał uczucia déjà vu. Co się dzieje? - zastanawiał się zdezorientowany. Przecież nigdy nie był w Wirginii Zachodniej, a

tym bardziej w miejscu takim jak to. Jednak to uczucie nie tylko nie zniknęło, ale nasilało się z sekundy na sekundę.

Jedna strona kuchni wydawała się okrągła. Dziwaczne szafki ozdobione były motywami liści, a blaty zamontowane niezwykle nisko. Po otwarciu lodówki Wes zobaczył, że jest wyłączona, więc nastawił ją na szybkie mrożenie, po czym ruszył w stronę drzwi po przeciwnej stronie kuchni.

W środku znajdowała się spiżarnia z dużym zapasem smakołyków w puszkach poustawianych na półkach. Wes zastanawiał się, jak daleko jest stąd do miasta i wiedział, że jeśli zdecydowałby się tu zostać trochę dłużej, musiałby znaleźć sobie jakąś pracę.

Przypomniał sobie o pieniądzach regularnie wpływających na konto bankowe Aarona Clancy'ego i zmarszczył brwi. Gdyby teraz wystąpił z roszczeniami, musiałby udać się do sądu i udowodnić, że jest przy zdrowych zmysłach. Nie tylko nie chciał mieć do czynienia z prawnikami

115

i psychiatrami, ale nie wiedział, czy byłby w stanie udowodnić swoją poczytalność. Życie dało mu porządnie w kość, toteż Wes nie kwapił się do rozmów z przemądrzałymi lekarzami, którzy najpewniej orzekliby, że nadal wymaga fachowej opieki.

Zamknął drzwi spiżarni i skierował się z powrotem do salonu. Na półce przy drzwiach frontowych znalazł pęk kluczy, które odruchowo schował do kieszeni.

Kiedy wszedł do pokoju po lewej stronie, poczuł się jak w jaskini. Zaokrąglony sufit był tak niski, że Wes musiał pochylić głowę. Przy ścianie stało łóżko, również bardzo niskie, ale przynajmniej normalnych rozmiarów.

Położył worek na podłodze i otworzył szafę wnękową. Drażki na ubranie również zamocowano bardzo nisko. Drugie drzwi prowadziły do łazienki. Tutaj wszystko wyglądało przeciętnie, no może oprócz prysznic, znów dostosowanego do potrzeb kogoś o bardzo niskim wzroście.

Kiedy wyszedł z łazienki, zauważył na komodzie jakąś fotografię. Przedstawiała Ally i niskiego, starego człowieka, z pewnością jej wuja Doo. Miał długie, siwe włosy i równie długą brodę. Jedną ręką obejmował Ally w talii, w drugiej trzymał laskę. Ubrany był w kombinezon i dzinsową koszulę z długimi rękawami, nie mógł mieć więcej niż metr dwadzieścia wzrostu. Wuj Doo był karłem. Wes zrozumiał teraz, dlaczego ten dom wydał

116

mu się tak znajomy. Jedną z ulubionych bajek Mikeya była Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków, a ich mała chatka bardzo przypominała dom wuja Ally. Lekko oszołomiony nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Mikey byłby tym domkiem oczarowany, lecz Wesley miał poważne wątpliwości, czy będzie mógł mieszkać w miejscu przypominającym mu wszystko, co utracił.

Ogarnął go znajomy, przenikający na wskroś i rosnący z każdym oddechem ból, gdy nagle jakiś gwałtowny ruch przykuł jego uwagę. Wesley zobaczył przez okno małą, rudą wiewiórkę. W tym samym momencie został spostrzeżony przez zwierzątko. Wyraz zaskoczenia na jej pyszczku rozbawił go. Wesley zaśmiał się głośno.

- O, litości - wyszeptał i szybko ukrył twarz w dłoniach.

Śmiał się, on się naprawdę śmiał...

Co do licha, co się z nim dzieje? Jak to możliwe, że czuje się tak lekko, choć utracił wszystkich, których kochał?

Skierował się ku drzwiom, pragnąc jak najszybciej opuścić to zwariowane miejsce, zanim do reszty sprzeniewierzy się przeszłości, jednak kiedy wyszedł na zewnątrz, zatrzymał się.

Zobaczył przed sobą sielankową scenerię z wysokimi drzewami opromienionymi słońcem, poczuł intensywny zapach kwiatów. Nie było sensu dłużej z sobą walczyć. Wrócił do domku, włączył wentylator, przekręcił klucz w zamku i zgasił światło. Z łatwością odnalazł drogę do sypialni,

117

włączył kolejny wentylator i wsunął się do łóżka. Pościel była cokolwiek nieświeża i pachniała kurzem, ale było mu wszystko jedno. Sięgnął po poduszkę, złożył ją i przytulił się do niej.

Przyszedł tutaj i cholernym głupim śmiechem zdradził bliskich, pozwolił sobie zapomnieć o bólu, sprzeniewierzył się załobie.

W wyobraźni przywołał twarz żony i synka.

- Przepraszam - wyszeptał, wtulił twarz w poduszkę i gorzko zapłakał.

Kiedy już nie miał siły dłużej płakać, przymknął opuchnięte powieki i zasnął.

Nadeszła noc, lecz Ally nie mogła usnąć. Od kilku godzin myślała o mężczyźnie, którego wpuściła pod swój dach, choć знаła jedynie jego imię. Jej ojciec byłby wściekły, gdyby wiedział, co zrobiła, ale nie przejmowała się tym. Chatka, którą oddała do dyspozycji nieznajomego, była wyłącznie jej własnością.

Zastanawiała się, z jakiego powodu w oczach przybysza skrywało się tak wiele bólu. Powiedział, że jego bliscy nie żyją. W żaden sposób nie mogła wyobrazić sobie, jak czułaby

się po stracie wszystkich, których kochała. Mężczyzna niósł na plecach wojskowy worek, więc zapewne był żołnierzem.

Gdy cyfrowy zegar obok jej łóżka wyświetlił pierwszą trzydzieści, Ally wciąż jeszcze nie spała. Jakaś sowa pohukiwała za oknem, a Buddy od-

118

powiadał jej głębokimi pomrukami. Ali uśmiechnęła się. Buddy nie lubił, gdy mu przeszkadzano.

Ostatnio pies zrobił się jeszcze bardziej leniwy. W zasadzie ograniczył wszelkie czynności do jedzenia i spania. Nic dziwnego, miał już czternaście lat i powoli zbliżał się do kresu życia. Biedny staruszek. Z pewnością zasłużył na to, by ostatnie lata spędzić we względnym spokoju.

Pomimo włączonej klimatyzacji w pokoju było duszno. Ally pomyślała, że być może uda jej się zasnąć, gdy zaczerpnie świeżego powietrza. Odrzuciła pościel i wstała z łóżka. Twarde deski podłogi chłodziły jej bose stopy, gdy szła korytarzem, na którym rozlegało się chrapanie trzech śpiących mężczyzn. Jej ojciec chrapał przy każdym wdechu i wydechu, a dźwięk, jaki wydawał, przypominał odgłosy towarzyszące płukaniu gardła. Porter chrapał tylko w pozycji na wznak, a Danny ograniczał się do delikatnego poświstu. Teraz te znajome dźwięki nie przeszkadzały jej, wręcz przeciwnie, koły rozedrgane nerwy. Wzięła z lodówki puszkę gazowanego napoju i wyszła z domu. Buddy usłyszał skrzypnięcie zawiasów drzwi i po kilku sekundach był już przy niej, przyjaźnie trącając Ally delikatnie zimnym i wilgotnym nosem.

- Witaj, piesku - powiedziała cicho i usiadła w wiklinowym fotelu.

Otworzyła puszkę i napiła się. Zawsze lubiła charakterystyczny syk przy otwieraniu oraz moment, kiedy silnie musujący płyn delikatnie

119

łaskotał jej usta. Pociągnęła łyk, po czym odchyliła się do tyłu, rozkoszując się nocną ciszą i delikatnym powiewem wiatru.

Sowa, która zakłóciła Buddy'emu wypoczynek, musiała gdzieś odlecieć, ponieważ Ally nie usłyszała jej więcej. Odezwały się natomiast świerszcze i żaby, a z oddali słychać było żalosne wycie psa. Wszystkie te odgłosy doskonale znała i nawet lubiła, bo były częścią jej życia. Zaczęła się zastanawiać, jak reaguje na nie tajemniczy nieznajomy. Właściwie dlaczego nieustannie o nim rozmyśla? Był przecież tylko zbłąkaną duszą, która potrzebowała jej pomocy. A ona mu ją zaoferowała. To, czy z niej skorzystał, nie powinno dalej zaprzętać jej myśli.

Mimo to postanowiła upiec na śniadanie herbatniki i usmażyć steki. Już od tygodnia planowała spacer do małego domku po wuju Doo, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale wciąż to odkładała. Postanowiła, że wybierze się tam jutro, a przy okazji zanieśe nowemu lokatorowi coś do jedzenia.

Wypiła pośpiesznie napój, pogłaskała Bud-dy'ego i wróciła do domu. Wyrzuciła do śmieci pustą puszkę i umyła ręce. Tym razem, gdy tylko wtuliła głowę w poduszkę, zapadła w głęboki sen.

Gideon zdążył zamieszać łyżeczką kawę, gdy Ally podała do stołu.

120

- Upiekłaś maślane herbatniki - stwierdził oczywisty fakt.
- Już prawie skończyło się jasne pieczywo - odparła tonem wyjaśnienia. - Nie wystarczyłoby na grzanki.
- W takim razie zrobię zakupy w drodze z pracy - zaproponował.
- Nie trzeba, wybieram się do sklepu.
- Nie ma potrzeby, żebyś specjalnie jeździła do miasta, kiedy ja tam będę. Zrób listę zakupów, a ja wszystko załatwię.

Wzruszyła ramionami, nie kryjąc niezadowolenia. Ilekroć planowała jakiś wypad samochodem, choćby tylko do miasteczka, ojciec zawsze ją zniechęcał. Nie wiedziała, czy wolał, by nie pokazywała się zbyt często w miejscach publicznych, bo wstydził się jej ułomności, czy chodzi o coś innego. Może po prostu chciał w pełni kontrolować jej życie, co zresztą było równie frustrujące.

Porter i Danny miewali dziewczyny na stałe, ale od jakiegoś czasu rzadko umawiali się na randki. Ojcu nigdy nie podobała się żadna kobieta, którą zapraszali do domu. Ally nie była pewna, czy spotykają się z jakimiś dziewczynami, ale po prostu nie zapraszają ich do domu, czy też poddali się woli ojca i całkowicie zrezygnowali z życia prywatnego.

Gideon Monroe nie lubił zmian, chciał, by wszystko toczyło się tym samym, ustalonym rytmem. Ally była bardzo ciekawa, jak zareagowałby na pojawienie się nieznajomego.

121

Podczas gdy pielęgnowała w sercu swój mały sekret, Gideon zmagał się z własnymi problemami. Freddie Joe Detweiller został naprawdę fatalnie potraktowany przez Ally podczas niedzielnego obiadu. Gideon złożył to oczywiście na karb nieobycia córki, która nie miała dużego doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Ally nie umiała rozmawiać z kimś pokroju Freddiego, czyli z mężczyzną przyzwyczajonym do bardzo uległych kobiet.

Gideon wiedział, że Detweiller jest zdesperowany, nie miał jednak pojęcia, jak bardzo. Freddie samotnie wychowywał troje dzieci i sytuacja zaczęła go przerastać. Potrzebował kobiety, która by mu pomogła. Oprócz tego był po prostu spragniony kobiecego towarzystwa. Ułomność Ally nie robiła na nim wrażenia. Chora stopa nie przeszkadza w spełnianiu małżeńskich obowiązków.

Gdyby Gideon Monroe wiedział, jak mało uwagi Freddie Joe przywiązuje do przymiotów kandydatki na żonę, pewnie nie robiłby z tej kwestii takiego problemu. Jednak chciał mieć pewność, że ktoś zaopiekuje się Ally po jego śmierci. Odkąd skończyła szesnaście lat, zawsze była pod opieką ojca lub braci. Według niego córce brakowało przygotowania do samodzielnego życia.

Nękanie troską o przyszłość córki ponownie zaprosił Freddiego, tym razem z dziećmi. Według niego obie strony powinny jak najszybciej przywyknąć do swego towarzystwa. Być może starsze dzieci wciąż tęskniły za zmarłą matką, ale im

122

wcześniej przyzwyczajają się do innej kobiety, która ją zastąpi, tym lepiej.

Gideon zjadł kilka plasterków szynki i napił się kawy. Pokrzepiony w ten sposób poczuł się na siłach wygłosić następujące oświadczenie.

- W piątek będziemy mieli gości na kolacji. Jest jeszcze dużo czasu, ale powinnaś wiedzieć o tym wcześniej, żebyś mogła przygotować coś ekstra.
- A kogo? - spytała podejrzliwie.
- Rodzinę Detweillerów. Freddiego Joego z trojgiem dzieci. To cztery osoby więcej przy stole. Porter przyniesie z szopy więcej krzeseł, a ty dokładnie je oczyścisz.
- Zrobi się, tato - odpowiedział usłużnie Porter, nakładając grubą warstwę owocowej galaretki na herbatnik.

Ally przez chwilę słuchała cierpliwie, jak układają plany na najbliższe dni, a przy okazji również planują jej przyszłość. Postanowiła przystąpić do kontraktacji i jasno wyrazić swe zdanie w tej kwestii.

- Nie życzę sobie zalotów Freddiego - oświadczyła z mocą.

Gideon na chwilę zaniemówił.

- Widzisz, córeczko - rzekł po chwili. - Nie będę żył wiecznie, a ty nie możesz oczekiwać, że twoi bracia będą opiekować się tobą całe życie. Pewnego dnia ożenią się, a większość kobiet nie toleruje innej pod swoim dachem. Każda chce niepodzielnie rządzić w domu i...

123

Ally poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

- Opiekować się mną?
- No cóż, może nie wyraziłem się...
- Porter i Danny się żenią? Czy wybrałeś im już żony?

Gideon aż sapnął ze złości.

- Nie bądź bezczelna.
- No to nie traktuj mnie jak idiotki, której musisz się jak najszybciej pozbyć.

Gideon otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Nigdy nie wątpiłem w twoją inteligencję i zdrowy rozsądek.
- No tak, ale nie jestem zupełnie normalna, bo kuleję... Prawda, tatusiu?

Milczał, unikając jej wzroku.

Zagryzła wargę, żeby powstrzymać się od płaczu, wstała, odsunęła krzesło od stołu i odniosła talerz do zlewozmywaka.

- Prawie nic nie zjadłaś - zauważył ojciec.
- Straciłam apetyt - odparła Ally oschle. Gideon wiedział, że powinien ją przeprosić, ale nie zdobył się na to. Zamiast tego ponownie przypomniał jej o gościach na piątkowej kolacji.
- Już mi to mówiłeś!

Danny modlił się, by ojciec wreszcie zamilkł. Czuł się nieswojo, widząc złość i rozzalenie siostry.

- Tato, daj już spokój. Nie ma sensu kłócić się o kogoś takiego jak Freddie Joe.
- Zaprosiłem gości i nie chcę słyszeć ani słowa sprzeciwu. Koniec dyskusji - powiedział stanowczo-

124

czo ojciec i wstał od stołu. Włożył kapelusz, wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Danny uściśnął siostrę, Porter bez słowa podniósł się i wyszedł z pokoju.

Ally wzruszyła ramionami.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła brata. - Wiem, że dla ojca jestem tylko ciężarem. No tak, on nie jest w stanie pojąć mojego punktu widzenia. Nigdy nie wyjdę za mąż za kogoś, kogo nie kocham. - Rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie. - A ty masz jakąś dziewczynę?

Danny speszył się.

- Może... - wybąkał. Ally uśmiechnęła się.
- Nie czekaj zbyt długo, mój drogi, bo życie przejdzie ci koło nosa.

Danny pokazał w uśmiechu wszystkie zęby i ujął ją pod brodę.

- Głowa do góry, Ally. W piątek będzie po wszystkim.

Ally zabawnie wywróciła oczy.

- Powiem ci, co będzie w piątek. Marzenia Freddiego legną w gruzach.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- No, no siostrzyczko, ale z ciebie zadziorna kotka. — Potem wrzasnął w głąb korytarza: - Porter, jedziesz ze mną do miasta?

- Po co? - odpowiedział mu Porter. - Ojciec wszystko załatwi.

- Tak, ale słyszałem, że w punkcie skupu w Blue Creek potrzebują ludzi do pracy.

125

- Nie obchodzi mnie to. Nie mam nastroju do rozmów o pracy - oznajmił Porter. - Wybieram się na polowanie.

- No to do zobaczenia - pożegnał go Danny i wsiadł do swojego samochodu, a Porter sięgnął po czapkę, zabrał strzelbę i wyszedł.

Ally szybko poskładała naczynia, zapakowała jedzenie, zmieniła buty i pośpiesznie opuściła dom.

Wesley obudził się zlany zimnym potem, z rękami oplecionymi wokół szyi jakiegoś irackiego żołnierza, którym okazała się stłamszona poduszka. Westchnął ciężko, odsunął ją od siebie i odesłał wszystkie nocne koszmary do diabła. Przerzucił nogi poza łóżko i chrząknął zdumiony, gdyż omal nie uderzył podbródkiem o własne kolana. Zapomniał, że łóżko jest takie niskie. Zapalił światło i skierował kroki do łazienki. Nie było gorącej wody, ale umył się dokładnie w zimnej, co bardzo go odświeżyło. Po kąpieli spojrzał krytycznie na swoją twarz w lustrze. Związał długie włosy z tyłu głowy sznurowadłem, następnie przetrząsnął szuflady w poszukiwaniu nożyczek. Pozbycie się brody zajęło mu około trzydziestu minut. Najpierw skrócił ją nożyczkami, dokończył dzieła maszynką do golenia. Przypomniał sobie, jak mały Mikey golił się pierwszy i zarazem ostatni raz w życiu. Bezsilnie opadł na kolana i zacisnął mocno zęby, żeby nie wybuchnąć płaczem. Opanował się jednak i dokończył golenia, choć chwilami drżenie rąk utrudniało mu zadanie.

126

Następnie przekopał bagaż w poszukiwaniu czystego ubrania. Żołądek znowu przypomniawszy mu o swoich prawach. Chociaż Wes zjadł wczoraj w domu Ally dość obfity posiłek, a potem, po drodze, przygotowane przez nią kanapki, wcześniej nie miał nic treściwego w ustach przez dwa dni. Gdy tylko się ubrał, poszedł do kuchni. Chociaż dostrzegł wczoraj niezwykłość tego domku, w świetle dnia zwrócił uwagę na mnóstwo innych osobliwych rzeczy, których nie zauważył wcześniej. W korytarzu znajdowała się niewielka półka z płaskorzeźbą

przedstawiającą psa, w którym Wes rozpoznał Buddy'ego. Wes długo oglądał dzieło, pełen podziwu dla twórcy. Półki w salonie były pełne książek. Kilka z nich traktowało o faunie i florze Stanów Zjednoczonych, obok stało sporo powieści Toma Clancy'ego, jak widać ulubionego pisarza wuja Doo. Lecz kiedy Wes dostrzegł stertę ułożonych pedantycznie komiksów o Spidermanie, uśmiechnął się szeroko. Starszy pan musiał być nietuzinkowym człowiekiem.

1 z całą pewnością bardzo sympatycznym.

Żołądek Wesa znowu przypomniał mu, że czas najwyższy na posiłek. Postanowił zatem obejrzeć domek później i udał się do kuchni. Właśnie szukał kawy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Przestraszył się nie na żarty. A jeśli to miejscowy szeryf, który zaraz oskarży go o bezprawne wtargnięcie na teren cudzej posesji? Uspokoił się, gdy usłyszał znajomy głos.

- Panie Holden? To ja, Ally Monroe.

127

Jego pierwszą myślą było, że dziewczyna zmieniła zdanie i przyszła mu powiedzieć, by jak najszybciej stąd zniknął. Poczul żal i rozczerowanie, co niepomiernie go zdumiało. Wyszedł z kuchni i pośpieszył otworzyć drzwi.

Gdy Ally zobaczyła Wesa, zapomniała o słowach powitania, które sobie wcześniej przygotowała i kilkakrotnie powtórzyła. Jego gładko ogolona twarz, bez maskującej rysy brody, oraz jasnoniebieskie oczy wywarły na niej ogromne wrażenie. Po chwili na szczęście odzyskała głos i wręczyła Wesowi mały wiklinowy koszyk.

- Śniadanie - powiedziała krótko i przeszła obok, nie czekając na zaproszenie. - Miałam nadzieję, że pan tu zostanie. Pokażę panu, jak działają niektóre urządzenia, a potem postanowi pan, czy chce tu zostać na dłużej.

Wesley wciąż stał z koszykiem w ręku, chłonąc upojny zapach świeżego pieczywa i smażonego mięsa. Tymczasem Ally weszła do kuchni. Zatrzymała się w przejściu pod łukowatym sklepieniem i obróciła w stronę Wesa. Podążył za nią, przekonany, że podda mu kilka pomysłów na zagospodarowanie wolnego czasu. Jednak przede wszystkim nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zatopi zęby w smakowitym jedzeniu przygotowanym przez Ally.

- Zapakowałam też puszkę kawy - oznajmiła. - Mam nadzieję, że pija pan czarną, bo nie przyniosłam ani mleka, ani śmietanki.

- Lubię czarną - zapewnił ją, stawiając koszyk

128

na stole. - Nie spodziewałem się czegoś takiego

- wymamrotał szczerze wzruszony.

Ally nasypała kawy do ekspresu, naląła wody do zbiornika i włączyła.

- Pewnie. Wczoraj poprosił pan o szklankę wody, a ja zaproponowałam panu lokum, a dzisiaj przyniosłam śniadanie. - Wskazała na koszyk.

- Proszę rozpakować. Kawa zaraz będzie gotowa.

Wes Holden był wysoki, a w malutkim domku sprawiał wrażenie olbrzyma.

- Niech pan nie myśli, że będę pana tak obsługiwać co rano - powiedziała Ally i uśmiechnęła się. - Dzisiaj po prostu chciałam powitać nowego sąsiada. Czasami człowiek spodziewa się jednego, a dostaje coś zupełnie innego. Proszę nie czuć się zobowiązanym do żadnego rewanżu.

Wesley ze zrozumieniem pokiwał głową i poczęstował się herbatnikiem.

- Znakomite - pochwalił i sięgnął po następny.

- Dziękuję. Mama często mówiła, że mam rękę do pieczenia. Cieszę się, że panu smakują.

- Naprawdę pyszne. - Wes poczęstował się kolejnym.

- Kawa gotowa - oznajmiła Ally. Napełniła jego filiżankę i rozpoczęła przeszukiwanie spiżarni.

Po dłuższej chwili wychyliła się i krzyknęła:

- Czy umie pan gotować?

- Trochę - odpowiedział z pełnymi ustami. Pokazała mu, jak uruchomić piecyk gazowy w łazience, jak obsługiwać zmywarkę do naczyń i suszarkę.

129

- Proszku wystarczy na kilka prań. Potem trzeba będzie uzupełnić zapas. Czy ma pan jakieś pieniądze?

Zaskoczony bezpośredniością pytania, odpowiedział szczerze, że jest bez grosza.

- Czy coś panu dolega?

- Co proszę?

- No wie pan, kłopoty z kręgosłupem, słuchem, inne problemy...

Wes był ciekawy, czy stan bliski szaleństwa należałoby uznać za „inne problemy”, o których wspomniała Ally, ale wołał nie poruszać z nią tej kwestii.

- Nie, nic podobnego - odrzekł spokojnie.

- Słyszałam, że potrzebują pracownika w punkcie skupu w Blue Creek.

- Blue Creek?

- Nie szedł pan przez miasto?
- Nie.
- No to jak pan tutaj dotarł?
- Nie wiem. Szedłem główną drogą, w pewnym momencie zboczyłem i wszedłem do lasu. Pani dom był pierwszym, który napotkałem.
- Szedł pan przez te wszystkie pagórki?
- Na to wygląda - odpowiedział skromnie Wesley.
- Boże, zlituj się - westchnęła przejęta Ally.
- Bóg nie zna litości - skomentował oschle, odwrócił się od niej i sięgnął po kawę. Mimo że niepokoił ją jego stosunek do Boga, Wes wciąż wzbudzał w niej sympatię.

130

- W każdym razie - ciągnęła - punkt skupu w Blue Creek potrzebuje pracownika. Słyszałam, jak Danny rozmawiał o tym z Porterem, tylko że Porter nie wykazał najmniejszego zainteresowania tą sprawą.
- Danny to pani brat?
- Tak. Porter też. Gideon to mój ojciec. Pracuje w tartaku.
- Więc pewnie Danny już stara się o tę robotę?
- Raczej nie. Pracował tam kiedyś, ale pokłócił się z właścicielem.
- Zatem dlaczego pani myśli, że ze mną byłoby inaczej? - spytał Wesley.

Ally wzruszyła ramionami.

- No cóż, po pierwsze ma pan przewagę psychiczną nad Haroldem Jamesem, czyli właścicielem. Danny jest okropnie porywczy, więc często wdawał się w niepotrzebne dyskusje. Pan natomiast robi wrażenie nadzwyczaj opanowanego człowieka. Opinia Ally na temat jego temperamentu rozbawiła Wesleya. Z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Więc myśli pani, że nie jestem typem mężczyzny, który na agresję odpowiada agresją?

Ally spojrzała mu w twarz, 'a potem na jego ręce.

- Myślę, że gdyby pan chciał, pokonałby pan każdego - powiedziała i skierowała się do drzwi.

Wesley, na przekór sobie, postępował za nią krok w krok.

131

- Dokąd pani idzie?
- Do domu. Przystanął.

- Teraz?

Zatrzymała się i odwróciła do niego.

- Chce pan mi coś powiedzieć? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Ja chyba też o niczym nie zapomniałam. Zatem miłego dnia, panie Holden.

- Tak, nawzajem. Aha, dziękuję za wszystko.

- Bardzo proszę - powiedziała uprzejmie i skierowała się do wyjścia.

Wesley pośpiesznie podążył za nią.

- Chwileczkę... Chodzi mi o Blue Creek.

- Tak?

- Czy to daleko stąd?

Wskazała na krętą drogę, którą przed chwilą przysła.

- Osiem kilometrów. Ośmiuset czterdziestu sześciu mieszkańców, ale kiedy Georgia Lee urodzi swoje siódme dziecko, będzie ośmiuset czterdziestu siedmiu. Niech pan powie Haroldowi, że to ja pana przysłałam.

- Dobrze, jeszcze raz dziękuję.

- Proszę bardzo - rzuciła na odchodnym. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pójść za dziewczyną, która coraz bardziej go fascynowała i przyciągała niczym magnes, ale szybko się opamiętał. Zawrócił do domku w kształcie muchomora i wszedł do kuchni. Dokończył śniadanie, które mu przyniosła, po czym postanowił

132

ruszyć w drogę. Jeszcze nie podjął decyzji, czy tylko zwiedzi Blue Creek, czy także porozmawia z Haroldem Jamesem w sprawie pracy. Zastanowi się, gdy już dotrze do miasteczka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Roland Storm do końca swych dni będzie wspominał dzień, w którym szczury doświadczalnie próbowały przegryźć pręty klatki, żeby wydostać się na wolność. Zdarzyło się to sześć miesięcy temu. Dzisiaj, gdy wszedł do laboratorium, żeby przeprowadzić testy, zorientował się, że jego doświadczenia stoją pod znakiem zapytania. Kilkanaście szczurów leżało w klatkach brzuskami do góry. Były martwe. Ich ciała pokryły dziwne rany, których pochodzenia nie sposób było na razie wyjaśnić. Klatki ze szczurami zostały rozmieszczone wzdłuż ściany, jedna przy drugiej, ale zwierzęta były od siebie odizolowane. Oglądał uważnie ich ciała, próbując dociec, dlaczego przednie łapy większości zwierząt są zakrwawione i

okropnie okaleczone. Niektórym w ogóle brakowało kończyn. Gdy Roland odnalazł łapę w sąsiedniej klatce, doznał szoku. Co, u diabła, miało tutaj miejsce?

Doznany szok zmienił się w prawdziwe przera-

134

żenie, gdy nagle szczur, który zdawał się martwy, dostał drgawek, potem przewrócił się na bok i po kilku sekundach zdechł.

- Cholera - zaklął Roland. - Co tu się dzieje?

Storm skończył biologię, uzyskał także tytuł doktora inżynierii genetycznej oraz nauk chemicznych. Miał ogromne doświadczenie w prowadzeniu badań laboratoryjnych, ale coś tak potwornego widział po raz pierwszy w życiu.

Po latach eksperymentów uzyskał pewność, że opracował formułę doskonałego środka odurzającego, uzależniającego o wiele bardziej niż heroina. Łatwy w uprawie, niewymagający i dający wysokie plony. Była to genetyczna hybryda, trudna do zidentyfikowania, ponieważ rośliny różniły się zarówno wysokością, jak i kolorem. Tylko Storm znał tajemnicę jej uprawy, co zapewniało mu pozycję monopolisty na rynku.

Z lotu ptaka pole upraw jawiło się jak ugór zarosły chwastami, pole niezbyt pracowitego farmera. Ludzie z Agencji ds. Walki z Narkotykami nie marnowaliby czasu na przyglądanie się tym szarozielonym badyłom. Roland Storm nazwał roślinę NPN, co miało oznaczać „niebo i piekło narkomana”.

Nigdy nie zrealizowałby swych marzeń, gdyby nie ten kawałek ziemi i dom na odludziu odziedziczony po przyszywanym wuju. Tak, to był prawdziwy dar niebios. Storm mógł tutaj urządzić mieszkanie i idealne laboratorium, z dala od wścibskich sąsiadów. W tej chwili uprawiał

135

zmodyfikowaną roślinę na dwustu hektarach, a przy okazji uzyskał sposobność nieskrępowanych żadnymi rygorami i przepisami zabaw z genetyką.

Mieszkał i pracował samotnie, zadowolony, że jego dom jest ostatnim położonym przy drodze prowadzącej do odległego o trzynaście kilometrów miasteczka Blue Creek. Nikt z wyjątkiem listonosza nie zapuszczał się w tę okolicę.

Obserwując ostatniego szczura, zastanawiał się, w którym miejscu popełnił błąd. Rozczarowanie pogłębiło się, gdy uświadomił sobie, że będzie musiał przeprowadzić sekcję wszystkich padłych gryzoni.

Zaklął pod nosem, włożył kitel, położył pierwsze zwierzę na stole i sięgnął po skalpel.

Trzy dni i dwanaście sekcji później Roland Storm doszedł do porażającej konkluzji. Jego nowy, cudowny narkotyk miał poważny mankament, który ujawił się dopiero teraz. Nie mogło być mowy o pomyłce, zdobył wystarczające dowody na poparcie tej tezy.

Narkotyk doskonale sprawdzał się jako środek o działaniu halucynogennym, lecz jego wadą było to, że... świetnie się wchłaniał i na stałe zalegał w organizmie. Stężenie narkotyku w wątrobie zdechłych szczurów przyprawiało o zawrót głowy.

Ta cecha powodowała silne uzależnienie już po przyjęciu pierwszej dawki, ale równocześnie nisz-

136

czyła niektóre organy wewnętrzne. Wątroby i mózgi przebadanych szczurów przypominały przeżutą papkę. Wyglądało to tak, jakby włókna nerwowe organizmu uległy odkształceniu, choć było to niemożliwe.

Storm stał przez kilka minut, zastanawiając się, co robić dalej. Najlogiczniejszym wyjściem wydawało się zniszczenie upraw i rozpoczęcie eksperymentu od nowa. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeśli chodzi o skuteczność, jego narkotyk spełnił zadanie, bo uzależniał po pierwszym zażyciu. Jednak środek, który zabija każdego, kto po niego sięgnie, raczej nie odniósłby sukcesu handlowego.

Storm być może zdobyłby rynek zbytu, ale traciłby klientów równie szybko, jak ich pozyskiwał.

Popatrzył w zadumie na okaleczone ciała ostatnich szczurów, następnie wrzucił je do pojemnika na odpady, w którym po chwili wyładowały też jego rękawice chirurgiczne. Przerzucił kitel przez oparcie krzesła i wyszedł z laboratorium. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, by spokojnie przeanalizować sytuację.

Gdy tylko znalazł się przed domem, zaczął usilnie zastanawiać się nad przyczyną niepowodzenia. Uważał, że los obszedł się z nim wyjątkowo niesprawiedliwie. Tyle zmarnowanych lat ciężkiej pracy. Wszedł na ścieżkę wiodącą w pola, nagle zatrzymał się i zawrócił do szopy po kanister z benzyną.

137

Kiedy zbliżył się do łąki, zobaczył rośliny o długich, podobnych do paproci liściach w kolorze kojarzącym się z zielenią mchu, które kołysały się i pochylały niczym egzotyczne tancerki, pragnące skusić swymi wdziękami bogatych turystów.

Pociemniało mu w oczach, gdy pomyślał

O zmarowanym dorobku wielu lat. Nie mógł się z tym pogodzić. Jego wcześniejsze badania nad rakiem, które prowadził w Lackey Laboratories na przedmieściach Pittsburgha, były niedoceniane, a fundusze umożliwiające dalszą pracę często obcinane przez przełożonych. Czuł się tym wysoce dotknięty i nigdy nie krył oburzenia. Gdy dano mu do zrozumienia, że powinien poszukać sobie innej posady, doznał ulgi, chociaż pozostał bez środków do życia. Pewnego dnia uzmysłowił sobie, że mógłby zrobić wielkie pieniądze, gdyby udało mu się opracować formułę nowego narkotyku. Miał już pewne dokonania na tym polu, aczkolwiek nie mógł pozbyć się uczucia strachu związanego z tak dużym ryzykiem. Roland uważał się za wartościowego członka społeczeństwa

I perspektywa spędzenia kilkunastu lat w więzieniu, w przymusowym odosobnieniu przerażała go. A na myśl o ewentualnych współtowarzyszach z celi dostawał gęsiej skórki. Gdy dowiedział się o spadku w Wirginii, uznał to za oczywisty znak od Boga.

Zaszył się w niewielkim domu, położonym na górskim stoku nieopodal Blue Creek i zaczął lizać

138

rany. Lecz jego złość i rozgoryczenie wcale nie malały, przeciwnie, rosły w miarę upływu czasu. Tak długo planował zemstę, że wypaczyło to jego postrzeganie rzeczywistości. Żal do dawnych pracodawców stopniowo przeradzał się w nienawiść do całej ludzkości.

Gdy tak rozglądał się po okolicy, zaświtał mu w głowie pewien pomysł. Musiał spojrzeć na wszystko pod innym kątem. Wynałazł silnie uzależniający narkotyk i wycofanie się na tym etapie byłoby po prostu kosmiczną głupotą. Żadnych szans na odwyk, żadnych środków ułatwiających wyjście z nałogu... nic. Wyzwoleniem byłaby jedynie śmierć. Co z tego, że wypuści w świat śmiercionośną bestię? Co z tego, że każdy, kto sięgnie po jego specyfik, umrze? Sytuacja na rynku narkotyków ulegnie radykalnej zmianie, pozostali handlarze będą mogli zwinąć interes, a to położy kres krwawym porachunkom. Roland utwierdził się w przekonaniu, że jest jednym z najzdolniejszych i najbardziej błyskotliwych naukowców na świecie, będzie niewyobrażalnie bogaty. Czy wystarczy mu odwagi, by podjąć takie ryzyko? Czy udźwignie ten ciężar? Jakkolwiek by na to nie patrzeć, stanie się przecież największym masowym mordercą w dziejach ludzkości. Z drugiej strony, dlaczego miałby zaprzętać sobie głowę losem narkomanów? Są bezużyteczni zarówno dla swoich rodzin, jak i dla społeczeństwa. Właściwie wyświadczyliby im przysługę, bo jedynie śmierć mogła wyzwolić ich z uzależnienia.

139

Patrzył na pole, trzymając kanister z benzyną, i bił się z myślami. Wystarczyło tak niewiele, by wszystko poszło z dymem.

Jednak im dłużej analizował sytuację, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że gdyby zniszczył uprawy, postąpiłby jak skończony głupiec. Oto straciłby szansę na zyskanie sławy, o której zawsze marzył. Czy nie lepiej byłoby przejść do historii jako człowiek, który definitywnie rozwiązał problem narkomanii?

Gdy tylko skończy się zapotrzebowanie na jego narkotyk, zniszczy uprawy i laboratorium i zacznie korzystać z pieniędzy, które zawczasu ulokuje na koncie w jakimś szwajcarskim banku. W pewnym momencie ludzie zorientują się, jakie skutki powoduje NPN i wtedy będzie musiał zwinąć interes.

Podjąwszy decyzję, poczuł olbrzymią ulgę. Gdy rozpoczynał karierę naukową, marzył o naprawie świata i niesieniu pomocy, teraz planował zagładę wielu istnień. Cóż, właściwie nie ma w tym żadnej sprzeczności, bo świat bez narkomanów stanie się lepszym i bezpieczniejszym miejscem do życia. Wrócił do szopy, odstawił kanister z benzyną, a potem posprzątał laboratorium. Nadszedł czas rozpoczęcia następnego etapu, zbioru plonów, a to rodziło kolejny problem. Musiał wynająć kogoś do pomocy, oczywiście osobę godną zaufania, czyli taką, która umiała trzymać język za zębami.

Niestety, uporczywie izolując się od mieszkań-

140

ców Blue Creek, popełnił duży błąd. Z wyjątkiem sporadycznych wycieczek do sklepu spożywczego, unikał kontaktu z otoczeniem, właściwie nikogo tu dobrze nie znał. Nadszedł czas, żeby zmienić taktykę.

Zmienił koszulę i buty i skierował się w stronę ciężarówki.

Wesley podcinał właśnie pędy winorośli, które zasłaniały okna i drzwi, gdy usłyszał samochód jadący drogą z góry. W pierwszym odruchu chciał się ukryć, gdyż nie miał ochoty poznawać nowych ludzi. Jednak kiedy przekonał się, że kierowca nie zdradza najmniejszych oznak zainteresowania jego osobą, uspokoił się i powrócił do swoich czynności.

Postanowił zostać w tym miejscu, i to już w chwili, gdy Ally Monroe zapukała do drzwi z koszykiem pełnym smakołyków. Przyniosła mu jedzenie, zaproponowała dach nad głową i przyjaźń, czyli dokładnie tyle, ile akurat był w stanie przyjąć. Mimo to zdawał sobie sprawę, że nie może normalnie funkcjonować bez pieniędzy, więc gdy tylko skończył prace domowe, postanowił udać się do Blue Creek i rozejrzeć się za pracą.

Roland Storm nie wierzył własnym oczom. Ktoś zamieszkał w starym domu Dooleya Browna. Kiedy tamtędy przejeżdżał, zauważył jakiegoś mężczyznę.

Od samego początku nie przepadał za Brownem.

141

Odnosił wrażenie, że ten mały, śmieszny człowiek przejrzał go na wylot. Konsekwentnie unikał Doo-leya, dopóki nie spotkał go na zagonie swojego pola. Zobaczył, jak staruszek zrywa liście jego roślin i wkłada je do plastikowej torebki. Zaniepokojony, udał się za nim drogą w dół, prowadzącą wprost do jego dziwnego domku.

Kiedy Dooley odwrócił się i zobaczył Storma, wcale się nie przestraszył. Przeciwnie, uprzejmym gestem wskazał mu kanapę.

- Niech pan usiądzie, sąsiedzie - zachęcił miłym tonem.

Zaskoczony Storm zawahał się przez sekundę, po czym zwrócił się do gospodarza.

- Pan ma coś, co należy do mnie - powiedział i wskazał na plastikową torebkę, której róg wystawał z kieszeni Dooleya.

- Co? Czy to? - Dooley sięgnął ręką po torebkę. - To zioła. Właśnie miałem zamiar je zaparzyć - wyjaśnił.

Roland zatoczył się ze zdumienia.

- Zaparzyć?!

Dooley przytaknął i wskazał na swoje zniekształcone kolana.

- To na mój artretyzm.

Przez kilka sekund Storm rzeczywiście wierzył, że mały człowiek mówi prawdę, lecz nie mógł ryzykować.

- Przepraszam pana. - Wyrwał mu torebkę z rąk. - Robi pan poważny błąd.

Zmiał ją w rękę i wsadził do kieszeni, lecz

142

zamiast wyjść, zamknął frontowe drzwi. Gdy odwrócił się, Dooleya nie było.

Roland zawahał się, a potem zbiegł do piwnicy i skutecznie przeszkodził Brownowi w ucieczce. Zabił go, pozorując wypadek. O ile złamanie karku ofierze nie sprawiło mu trudności, złamanie ręki okazało się trudniejsze. Któż mógłby przypuszczać, że wskutek jakiejś anomalii genetycznej mięśnie Dooleya Browna były twarde niczym stal? Roland poradził sobie z tym jakoś, następnie ułożył ciało u podnóża schodów. Wszyscy powinni pomyśleć, że starzec potknął się, upadł i skrzył sobie kark. Cóż, zdarza się...

Było to wiele miesięcy temu, jednak teraz, kiedy zauważył jakiegoś mężczyznę przed domkiem Dooleya, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wprawdzie nie zdołał nawiązać przyjaznych kontaktów z sąsiadami, ale doskonale orientował się, jak się nazywają i gdzie

mieszkają. Zatem mężczyzna sprzed domu Dooleya Browna musiał zawitać w te strony niedawno.

Storm nie ufał obcym, a poza tym nie miał pewności, czy nieznajomy nie okaże się wścibskim i kłopotliwym człowiekiem. Tak, trzeba będzie mieć go na oku, ale tym zajmie się później. Teraz musi znaleźć sobie pomocnika.

Twarz Danny'ego Monroego była tak czerwona jak jego włosy, gdy ciężkim krokiem wychodził z miejscowego baru. Znał Maca Frienda całe życie. Razem wstąpili do skautów, potem grali

143

w tej samej drużynie baseballowej w szkole średniej. Cztery lata temu, kiedy ojciec Maca nagle zmarł, chłopak stał się wyłącznym właścicielem jedyne w całym Blue Creek baru z grillem. Teraz mieszkał w murowanym domu z trzema sypialniami, jeździł nowiutkim dodge'em z napędem na cztery koła i nosił wystrzałowe buty kowbojskie sporządzone ze skóry pytona i strusia. Fakt, że mógł mieć każdą dziewczynę, której zapragnął, wkurzał Danny'ego, jednak teraz bardziej rozwścieczyło go co innego. Mac miał czelność nie przyjąć go do pracy...

Danny wciąż nie mógł w to uwierzyć. Mac szukał bramkarza do swojego lokalu, zamieścił nawet ogłoszenie w lokalnej gazecie. Danny był pewien, że dostanie tę robotę, lecz Mac powiedział mu bez ogródek, że jest zbyt niski i posłał go na drzewo, jakby Danny był jakimś przybłądą żebrzącym o jałmużnę.

Danny nawet nie próbował ukryć wściekłości. Wsiadł do samochodu, trzasnął drzwiami i odjechał, zostawiając na asfalcie ślady opon.

Roland Storm jadł właśnie lunch w przybytku Maca Frienda i był świadkiem przykrego zajścia. Gdy Danny opuścił bar, Roland zapłacił za posiłek i również wyszedł. Nie miał jeszcze stuprocentowej pewności, ale coś mówiło mu, że to człowiek, którego potrzebuje.

Wesley z przyjemnością wracał do małego domu Dooleya. Powoli zaczął oswajać się z myślą

144

że zostanie tu na dłużej. Zejście osiem kilometrów w dół do Blue Creek zabrało mu co prawda o wiele mniej czasu niż droga pod górę, lecz czuł, że odzyskuje kondycję i siły, które utracił w szpitalu.

Gdy za zakrętem dostrzegł dom Monroe'ów, poczuł nieprzepartą chęć zobaczenia gospodyni. Kiedy ujrzał ją w fotelu na werandzie, zwolnił kroku i przystanął.

Buddy leżał na drodze, nieopodal skrzynki na listy. Wes uśmiechnął się, widząc, że stary pies jedynie leniwie otworzył ślepią i nawet nie zadał sobie trudu, by się poruszyć czy choćby unieść łeb.

- Hej, hej! - zawołał Wes. - Wygląda na to, że ma pani najlepsze zajęcie w całym miasteczku. Buddy wydał na powitanie niskie, gardłowe szczeknięcie, a Ally podniosła głowę. Wes pomachał do niej.

- Dzień dobry - odparła, podchodząc do ogrodzenia. - Widzę, że był pan na zakupach - zagadnęła, patrząc na jego wypchaną torbę.

Skinął głową, zastanawiając się, dlaczego w obecności tej kobiety wypowiedzenie jakiegokolwiek słowa przychodzi mu z taką trudnością. Złożył to na karb swojego nawyku z czasów służby wojskowej, kiedy to ograniczał się do wydawania rozkazów żołnierzom.

- Dostałem tę pracę - oznajmił. Ally uśmiechnęła się radośnie.

- To wspaniale. Gratuluję.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, bo to pani zasługa - oznajmił.

145

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona.

- Ponieważ facet nie poświęciłby mi ani minuty, gdybym nie wspomógł się pani nazwiskiem. Kiedy dowiedział się, że zatrzymałem się w domu pani wuja, szybko się dogadaliśmy.

- To małe środowisko. Ludzie tutaj są trochę skryci, to prawdopodobnie pozostałość z czasów prohibicji. W każdym razie bardzo się cieszę, że ma pan tę robotę.

Wesley skinął głową, jednocześnie zadając sobie w myślach pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie odczuwać prawdziwą radość.

Ally wyczuła, że coś go dręczy, więc zrećnie zmieniła temat rozmowy.

- Nie chcę pana zatrzymywać, ale najpierw proszę mi obiecać, że da mi pan znać, jeżeli będzie pan czegoś potrzebował.

- Obiecuję i jeszcze raz dziękuję.

- Za co tym razem?

- Za pomoc i życzliwość. Chciałbym zapewnić, że gdy tylko otrzymam wypłatę, zacznę pani płacić za wynajem.

- Nie ma takiej potrzeby, naprawdę - oznajmiła pośpiesznie.

- Ależ jest, od razu lepiej się poczuję — odpowiedział Wesley i skinął jej ręką na pożegnanie.

W jego głosie było coś, co zapadło w jej serce i co słyszała długo po tym, jak zniknął w lesie.

Wesley był około półtora kilometra od domu, kiedy usłyszał za plecami nadjeżdżający samo-

146

chód. Nie oglądając się, zszedł na trawiaste pobocze w przekonaniu, że kierowca nie zwróci na niego uwagi. Lecz kiedy zorientował się, że samochód zwalnia i hamuje, natychmiast zmobilizował wszystkie siły. Nie zwalniając kroku, obrócił się nagle, zwinnie niczym kot, na skutek czego przestraszony Roland Storm zahamował o wiele gwałtowniej, niż zamierzał. Zdawało się, że na krótką chwilę czas stanął w miejscu.

Wes instynktownie wyczuł bijącą od mężczyzny wrogość, choć nie umiał dociec jej przyczyny. Niemal w tej samej sekundzie Roland zrozumiał, że trafił na silniejszego od siebie. Gdy zobaczył, jak nieznajomy kładzie na ziemi torbę z zakupami i sięga do kieszeni, był pewien, że wyjmie z niej broń. Gwałtownie dodał gazu, zostawiając Wes-leya w tumanach kurzu.

Dopiero po chwili Wes zauważył, że trzyma w ręku sprężynowy nóż Aarona Clancy'ego. Spojrzał na dwudziestopięciocentymetrowe ostrze śmiertelności narzędzia, złożył je spokojnie, podniósł z ziemi torbę z zakupami i skierował się w stronę domu.

Ten incydent był zaskakujący, ale jeszcze dziwniejsze było to, że obudził w Wesleyu wolę życia.

Wrogość nieznajomego uświadomiła mu, że nie jest gotowy na śmierć.

Tym razem nie wszedł od razu do środka, tylko okrążył cały przyległy teren, by upewnić się, że nikt tam na niego nie czyha. Gdy już znalazł się

147

w domku, omiótł badawczym spojrzeniem wszystkie zakamarki, po czym zamknął drzwi na klucz.

Dręczyło go przecucie, że gdzieś w tych górach czai się śmiertelne niebezpieczeństwo. Instynkt nakazywał mu niezwłocznie opuścić to miejsce, ale nie lubił działać pod wpływem trudnych do wytłumaczenia emocji. Gdyby kierował się takimi doznaniem, musiałby przyznać, że jest nie tylko nieudacznikiem, lecz także słabeuszem, który prędzej rezygnuje z planów, niż zmierzy się z własnym strachem. Nie, takie zachowanie nie leżało przecież w jego naturze, nigdy się nie poddawał, zawsze walczył do końca.

Najpierw powinien się nad tym wszystkim zastanowić. Przede wszystkim musi zdobyć informacje na temat tego mężczyzny i dowiedzieć się, z jakiego powodu nieznajomy zainteresował się nim. Ale to później. Tymczasem postanowił przyrządzić sobie porządną posiłek, a potem poczytać którąś z książek Dooleya i po prostu odpocząć.

Gdy otworzył puszkę gulaszu i włączył kuchenkę, jego myśli znów pobiegły do Ally. Najprawdopodobniej krzątała się teraz w kuchni, przygotowując kolację dla rodziny, śmiejąc się i rozmawiając z nimi o wydarzeniach mijającego dnia. Pomyślał o Margie i spróbował

przywołać jakieś miłe wspomnienia, lecz nic mu nie przychodziło do głowy. Nasunęła mu się natomiast smutna refleksja, że los nie był dla nich zbyt łaskawy. Tak rzadko mieli okazję wspólnie przeżywać smutki i radości. Kochał ją. Mieli razem dziecko. Oddał

148

jej serce, ale swój czas poświęcił krajowi. To był błąd, jeden z tych, których nie da się naprawić. Wes mógł jedynie poprzysiąc sobie, że już nigdy nie zrobi nic równie głupiego.

Nastrój Danny'ego wyraźnie się poprawił, gdy zjechał na drogę prowadzącą do domu. Zaparkował w cieniu drzew i wysiadł z samochodu. Ally siedziała na werandzie, ze szklanką lemoniady w ręce.

- Hej, Ally, gdzie jest Porter?

- Nie wrócił jeszcze z polowania - odpowiedziała. - Co słychać?

- Znalazłem dla nas pracę.

- Także dla Portera?

- Oczywiście - rzekł z dumą Danny. - Dzisiaj wieczorem zanosi się na deszcz, a my mamy zacząć w pierwszym słonecznym dniu.

- Dla kogo będziecie pracować? - zapytała Ally z ciekawością.

Danny uśmiechnął się tajemniczo.

- Znasz tego człowieka, który mieszka na ziemi starego Harmona?

- Mówisz o tym dziwnym, chudym facecie, który wiąże włosy w koński ogon?

- Tak, o nim. Nazywa się Roland Storm. Zgadza się, jest trochę dziwny, ale chce płacić dużą forszę za lekką robotę.

Ally potraktowała tę informację dość sceptycznie, ale nie znalazła na tyle logicznych argumentów, by podjąć dyskusję z bratem.

149

- Co mielibyście robić?

- Uprawia jakieś chińskie zioła i chce, żebyśmy obaj z Porterem zebrali je z pola.

Tym razem Ally nawet nie próbowała ukryć zdziwienia.

- Chińskie zioła w Wirginii Zachodniej?

- Tak powiedział.

- Ile zapłaci?

- Pięć tysięcy dolarów dla każdego. Ally złapała się za głowę.

- To dziesięć tysięcy! Za zbieranie ziół? Dan-ny, coś ty znowu wymyślił! Czy nie widzisz, że to jakaś podejrzana sprawa? Śmierdzi na kilometr.

Zauważyła irytację Danny'ego, lecz mimo to mówiła dalej.

- Nie rób tego, Danny. Przeczuwam jakieś kłopoty. Mówię serio, nie żartuję.
- Do jasnej cholery, Ally. Myślałem, że przynajmniej ty się ucieszysz. Wiesz, jak ciężko tu o pracę. Nie widziałem jeszcze pola i mówiąc szczerze, nawet gdyby to była marihuana, i tak bym jej nie rozpoznał. Dla mnie każde zielsko wygląda tak samo. Wykonam tę robotę najlepiej jak umiem, zainkasuję pieniądze, a reszta mnie nie obchodzi.

Szybkim krokiem skierował się do środka, lecz przy drzwiach przystanął na chwilę i odwrócił się do niej.

- Będę ci bardzo zobowiązany, jeśli zachowasz to dla siebie i nie powiesz nic ojcu.

Ally spojrzała na niego z wyrzutem. - Nie bądź śmieszny. Dobrze wiesz, że nie

150

donoszę ojcu. Nie robiłam tego, kiedy byliśmy dziećmi, i nie zamierzam robić tego teraz. Tata i tak się dowie, lepiej sam mu o tym powiedz, zanim będzie za późno.

- Idę poszukać Portera. Ally wzruszyła ramionami.
- Cóż, znasz moje zdanie w tej kwestii.
- Nie spodziewałem się tego po tobie - wymamrotał Danny, wszedł do domu i ze złością trzasnął drzwiami.

Odebrała to niczym uderzenie w policzek. Opadły jej ręce. Natychmiast przypomniały się jej słowa przepowiedni Babci Devon, które odnosiły się do niej samej i braci. Lecz Babcia mówiła również o człowieku czyniącym zło. O mężczyźnie, który był uosobieniem zła. Czyżby chodziło o Rolanda Storma? A może o nieznanego, któremu pozwoliła wtargnąć do ich uporządkowanego, spokojnego życia?

Roland uznał, że wynajęcie Danny'ego i Portera Monroe'ów było mistrzowskim pociągnięciem. Przede wszystkim z uwagi na jego fascynację ich siostrą Ally. Być może dzięki temu nareszcie poznają nieco bliżej. Jego niepokój wzbudzał jednak mężczyzna przebywający w domu należącym kiedyś do Dooleya Browna.

Roland był nerwowy i z pewnością nadpobudliwy. Zaszedł za daleko, zaznał zbyt wielu rozczarowań, by teraz zawrócić z obranej drogi. Nie pozwoli, by intruz pokrzyżował mu plany. Ten

151

mężczyzna musiał odejść, ale Roland potrzebował czasu, by się go pozbyć. Zrozumiał, że tym razem nie pójdzie mu tak łatwo jak z Dooleyem.

Zrobił sobie kanapkę, sięgnął po gazetę, którą kupił w miasteczku i usiadł przy stole. Potem pomyśli, co zrobić z nowym sąsiadem.

Tego wieczoru przy stole Monroe'ów panowało milczenie. Ally czuła się winna, bo wiedziała o czymś, o czym jej ojciec nie miał pojęcia. Bała się, że bracia wpakują się w koszarne kłopoty. W dodatku w domu wuja Doo, na jej wyraźną prośbę, zamieszkał tajemniczy nieznajomy. Sytuacja coraz bardziej jej ciążyła.

Danny opowiedział o wszystkim Porterowi i teraz obaj co chwila spoglądali na siebie nerwowo i udawali, wymieniając znaczące półuśmieszki, że nic szczególnego się nie dzieje. Dzięki Bogu Gideon pozostawał w błogiej nieświadomości. Był tak zaabsorbowany własnymi myślami, że nie zwracał uwagi, co dzieje się wokół. Wkrótce nadejdzie piątek, Freddie Joe i jego dzieci zasiądą przy tym stole do uroczystej kolacji. Ally zrozumie, jak bardzo jest jej potrzebna rodzina i spojrzy przychylnym okiem na Freddiego. A wtedy pozostanie już tylko ustalenie daty ślubu. W ten sposób Gideon wypełni ostatnią wolę żony, zapewni szczęśliwą przyszłość ich jedynej córce.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wes obudził się kwadrans po pierwszej w nocy. Powoli przyzwyczajał się do świata Dooleya Brow-na. Przez ostatnie dwa dni podczas wstawania z łóżka ani razu nie uderzył podbródkiem o kolana. Wprawdzie wciąż miał problem z korzystaniem z prysznicy, bo po takiej gimnastyce trochę bolał go kręgosłup, lecz była to niewielka cena za możliwość schronienia się w tym domu.

Zajął się układaniem ubrań, pamiętając, że nie może nazajutrz spóźnić się do pracy. Przez cały czas nie opuszczała go jednak myśl o mężczyźnie spotkanym na drodze. Nie wiedział, kim jest ten człowiek ani gdzie mieszka, ale ponieważ nadjechał z góry, najlepiej będzie ruszyć w tamtym kierunku i sprawdzić, dokąd prowadzi droga. Wyciągnął z szafy najciemniejsze ubranie i ubrał się pośpiesznie. Wsunął do kieszeni nóż i wyszedł z domu. Zamknął drzwi na klucz i przystanął przy ścianie domku, kryjąc się za pędami dzikiego wina. Czekał, aż jego wzrok przyzwyczai się do

153

ciemności, której nie rozświetlał słaby blask księżyca. Oddychał powietrzem, które niesło zapachy nocy i było tak wilgotne, jakby zanosilo się na deszcz. Słyszał słaby szum przejeżdżających samochodów dobiegający z odległej autostrady. Przypominały mu one o istnieniu świata, z którego dobrowolnie zrezygnował. A jednak właśnie ten świat, pełen agresji i brutalności, nauczył go wszystkiego, co może się teraz przydać. Nauczył go sztuki przetrwania.

Okrażył dom, po czym ruszył w górę, uważając, żeby trzymać się z dala od szosy. Zauważył, że im wyżej się wspinał, tym mniej drzew rosło wokół. Kierując się srebrną poświatą

księżycą, Wesley nie obawiał się, że zgubi szlak. Coś ogromnego niemal bezszelestnie przeleciało tuż nad jego głową, zapewne sowa. Przypomniało mu się pewne polowanie, na które zabrał go ojciec, kiedy był jeszcze chłopcem. Siedzieli na drzewie w oczekiwaniu na jelenia i patrzyli, jak poranny brzask rozdziera ciemny płaszcz nieba. Chłód poranka dotkliwie ziębił mu koniuszki palców i czubek nosa, z jego ust przy każdym głębszym oddechu wydobywały się kłęby pary, ale był nieskończenie szczęśliwy. Zrozumiałby go jedynie ktoś, kto sam przeżył podobne chwile.

Nagle Wes usłyszał za sobą trzask gałązki. W jednej sekundzie wykonał trzy czynności: obrócił się, wyjął z kieszeni nóż i otworzył go. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył przemykającego wśród zarośli szopa pracza, który właśnie wynu-

154

rzył się z gąszczu. To błahе zdarzenie uświadomiło mu, że powinien zachować najwyższą ostrożność i zimną krew.

Wesley Holden znów stał się komandosem.

Gdy przeszedł kilka metrów, zauważył pierwsze martwe zwierzę, małą sarenkę.

Zdumiony, że żaden drapieźnik jej nie pożarł, ominął ją i udał się w dalszą drogę. Po pewnym czasie natknął się na kolejne martwe zwierzę. Tym razem była to wiewiórka. Leżała pod krzakami i Wes zauważył ją tylko dlatego, że to miejsce było rozświetlone blaskiem księżyca. Co ciekawe, żaden drapieźnik nie poślakomił się również na tę padlinę.

Wreszcie jego oczom ukazał się budynek. Zorientował się, że dom należy do interesującego go mężczyzny, ponieważ rozpoznał jego ciężarówkę, teraz zaparkowaną nieopodal werandy.

Wesley stał w miejscu przez kilka minut, próbując policzyć wszystkie drzwi wejściowe, a równocześnie rozglądał się za psem lub innym zwierzęciem, które mogłoby wszcząć alarm. Po chwili zauważył oposa, który wylazł spod ciężarówki i skierował się na zaplecze domu. Nigdzie ani śladu psa.

Uspokojony Wes podszedł bliżej, żeby obejrzeć samochód, lecz nie udało mu się go otworzyć. Obszedł dom, by sprawdzić, czy nie zainstalowano jakichś urządzeń alarmowych. Znalazł jedynie pojedynczą linię zasilania elektroenergetycznego.

155

Wszystkie okna były zasłonięte, co Wesley uznał za dość dziwne. Było bardzo ciepło i bardzo cicho. Dom znajdował się na końcu drogi, u podnóża góry, po co więc zasłaniać okna? Być może mieszkający tu mężczyzna był odludkiem, być może jednak miał coś do ukrycia. Intuicja podpowiadała Wesleyowi, że chodzi o to drugie, ale jedynym sposobem, by to sprawdzić, było wejście do środka.

Bez wahania skierował się na tyły domu, cicho otworzył zamek w drzwiach i wszedł do kuchni. W pomieszczeniu unosił się zapach smażonego tłuszczu i kawy. Blaty wytarto do czysta, w zlewozmywaku nie było żadnych brudnych naczyń.

A zatem ten mężczyzna lubił porządek. Po lewej stronie Wes zobaczył lekko uchylone drzwi. Popchnął je delikatnie i stwierdził, że prowadzą do piwnicy.

Wślizgnął się do środka, zamknął za sobą drzwi i ostrożnie zszedł na dół. Po chwili wahania włączył małą latarkę. W powietrzu unosił się odór rozkładu, chociaż pokój wydawał się czysty i uprzątnięty.

Gdy zobaczył sprzęt laboratoryjny i puste klatki, jego ciekawość jeszcze wzrosła. Zauważył leżące na stole notatki, więc przejrzał je pobieżnie w nadziei, że pomogą mu zorientować się, o co tutaj chodzi, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Kiedy wszedł na schody, dostrzegł wepchnięty pod nie olbrzymi pojemnik na śmieci. Zaczął przewracać jego zawartość, aż natrafił na jakiś rachunek.

156

Mężczyzna nazywał się Roland Storm.

Wesley już miał zamiar wrzucić rachunek z powrotem do pojemnika, gdy odkrył, że ciemna plama, którą początkowo wziął za rozlany atrament, to zakrzepła krew. Rozchylił leżące w koszu papiery i wtedy jego oczom ukazały się szczątki gryzoni.

A więc stąd pochodzi ten potworny odór. Ale... dlaczego?

Cholera. Czy to sadysta, który lubi maltretować zwierzęta, czy też kryje się za tym coś więcej?

Po dokonaniu bardziej szczegółowych oględzin już znał odpowiedź na swoje pytanie. Szczury zostały poddane sekcji.

Z odrazą wepchnął pojemnik z powrotem pod schody, powoli wspiał się na nie, zgasił latarkę i wsunął się do kuchni. Zaczął znowu nadśłuchiwać, ale ku jego zadowoleniu wokół panowała cisza, a zatem Roland Storm nie wykrył jego obecności. Wesley ruszył w kierunku korytarza. Był on długi i wąski, z licznymi drzwiami po obu stronach. Ta wyprawa była bardzo ryzykowna, jednak Wes czuł potrzebę zmierzenia się z wrogiem twarzą w twarz.

Szedł, trzymając się blisko ściany. Nareszcie znalazł się przy drzwiach, które były niedomknięte, i zza których słychać było delikatne pochrapywanie. Wesley wstrzymał oddech, zdając sobie sprawę, że przyszła pora na najważniejsze działania. Delikatnie popchnął ręką drzwi, modląc się w duchu, by udało mu się uchylić je bezgłośnie.

157

W półmroku panującym w pokoju ujrzał zarys sylwetki śpiącego mężczyzny. Wentylator kierował strumień świeżego powietrza bezpośrednio na łóżko. Jego szum maskował inne słabe dźwięki, dzięki czemu Wes zyskał wystarczająco dużo czasu na obranie właściwej strategii. Wyteżył wzrok.

Storm był bardzo wysokim mężczyzną. Kanciaste rysy jego twarzy upodabniały go do szkieletu, lecz ponieważ miał zamknięte oczy, nie sposób było powiedzieć cokolwiek o jego osobowości. Wes zauważył jego długie, ciemne włosy, które związane w koński ogon i przerzucone przez prawe ramię, sięgały piersi.

Wes poczuł przemożną chęć obudzenia Stor-ma. Wiedział doskonale, jak wyciągnąć informacje z najbardziej opornego człowieka, jak zmusić do mówienia największego milczka. Jednak teraz nie był na wojnie i nie mógł zachowywać się jak zawodowy zabójca. Niestety musiał zadowolić się tym, czego dowiedział się do tej pory i wyciągnąć odpowiednie wnioski. Nagle Storm zakrztusił się przez sen i obudził. Wesley cofnął się bezszelestnie niczym kot, pchnął delikatnie drzwi i wyszedł na korytarz. Szybko, nie czyniąc hałasu, wydostał się z domu, znowu przez kuchnię. Oczywiście nie zapomniał o ponownym zamknięciu drzwi na klucz. Światło zapaliło się najpierw w sypialni, a po chwili w kuchni. Gdy otwały się drzwi, Wes cofnął się na wszelki wypadek jeszcze o krok, chociaż był

158

pewien, że w miejscu, w którym się ukrył, nie zostanie zauważony.

Roland Storm, ubrany jedynie w slipy, zszedł ze schodów werandy na brudny piasek.

- Jest tam kto?! - zawołał, ale odpowiedziało mu słabe echo jego własnego głosu.

Skupił wzrok na lesie otaczającym dom i po raz pierwszy od czasu sprowadzenia się tutaj poczuł się raczej jak w pułapce niż jak w bezpiecznej kryjówce. Potem skierował wzrok na pole, zastanawiając się, czy ewentualny intruz nie buszuje w jego uprawach. Cóż, jeśli zrobi użytek z ziół, które ukradnie, czeka go bardzo niemiła niespodzianka. Ta myśl sprawiła Stormowi tak dużą przyjemność, że aż uśmiechnął się do siebie.

- Gorzko tego pożałujesz! - krzyknął, odwrócił się i wrócił do domu. Chwilę później światła w domu pogasły.

Wesley nie mógł zapomnieć o tym, co zobaczył w piwnicy. Wyczuwał intuicyjnie, że ten człowiek stanowi zagrożenie, chociaż nie umiałby racjonalnie uzasadnić tego przeczucia. Miał już dość atrakcji, dlatego ruszył w drogę powrotną do domu.

W pewnym momencie usłyszał nadjeżdżający z tyłu samochód. W jednej chwili zrozumiał, że nie docenił Rolanda Storma. Błyskawicznie oszacował odległość, jaka dzieliła go od domu. Musiał tam dotrzeć, zanim Storm go dostrzeże.

Nie zastanawiając się dłużej, zaczął biec co sił w nogach. Usłyszał, że silnik ciężarówki Storma zwalnia obroty. Zapewne Storm zbliżył się do ostrego zakrętu szosy. Nie było to wiele, ale mogło dać Wesleyowi nieznaczną przewagę.

Potrącane stopami Wesa kamienie spadały bezładnie w dół, gałęzie chłostały mu twarz. Wystraszone króliki chowały się do nor, a spłoszone sowy porzucały swe ofiary i wzlatywały w niebo. Dwa razy Wesley potykał się, padał i jeszcze szybciej wstawał.

Biegł prawie równolegle do ciężarówki, którą słyszał po swojej prawej stronie. Serce biło mu jak szalone. Przestał zachowywać wszelkie środki ostrożności. Albo wygra ten wyścig, albo zostanie zdemaskowany.

Kiedy wybiegł z lasu, właściwie pogodził się z porażką. Przecinał właśnie podwórko przy chacie Dooleya, gdy reflektory ciężarówki Rolanda Storma zaczęły omiatać podjazd. Wesley wyszedł z domu frontowymi drzwiami, lecz jeśli nie chciał zostać zauważony, musiał wejść w inny sposób. Drzwi kuchenne nie były zamykane na klucz, lecz miały skobel od wewnątrz, który oczywiście był teraz zasunięty. Musiał spróbować dostać się do domu przez piwnicę. Szarpnął drzwi, wpadł do środka, potknął się o ostatni stopień i odzyskawszy z trudem równowagę, wbiegł na schody prowadzące do kuchni. Znalazł się w niej w momencie, gdy Roland zatrzymał samochód na podwórku. Serce waliło mu jak młotem, z trudem chwycił

oddech. Bez wahania zerwał z siebie koszulę, wyskoczył z butów i spodni, kopnął to wszystko pod kuchenny stół, po czym podbiegł do zlewozmywaka.

Odkręcił wodę, pochylił się i pospiesznie zmył ślady zadrapań. Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Wytarł się, wciągnął spodnie i wbiegł do salonu. Potem ruszył powoli ku drzwiom, jako że pukanie stało się głośniejsze i bardziej natarczywe.

Uspokoił oddech i zaczął celowo hałasować.

- Kto tam, do cholery? - spytał podniesionym głosem. Postanowił udawać zaskoczonego i lekko przestraszonego.

Dłuższa chwila ciszy, jaka nastąpiła po tym pytaniu, upewniła Wesleya, że jego obecność w domu zaskoczyła Storma. Storm był pewien, że ktoś złożył mu nieproszoną wizytę i zapewne podejrzewał o to Wesleya. Wes uśmiechnął się zadowolony, wyciągnął z kieszeni nóż, a następnie uchylił drzwi.

Roland Storm nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie tylko zastał nieznajomego w domu, w dodatku ten przywitał go w niekompletnym stroju i z nożem w ręku.

- Hm... Jestem...

- Wiem, kim pan jest. - Wesley obrzucił spojrzeniem jego samochód. - Jest pan tym świrem, który omal nie zepchnął mnie z drogi dziś po południu. A o co chodzi tym razem? Chrapałem za głośno?

161

Roland nie wiedział, co powiedzieć. W starciu z tym mężczyzną byłby bez szans, dlatego nie zamierzał dążyć do otwartej konfrontacji.

- Ktoś włamał się do mojego domu dzisiaj w nocy. Myślałem...

Wes zaklął soczyście.

- Panie... Gdyby ktoś włamał się do mojego domu, powiadomiłbym odpowiednie organa ścigania, a nie niepokoił moich sąsiadów.

- Tak, no właśnie... Chciałem się tylko upewnić, że to nie był, nie było...

Wesley zatrzasnął mu drzwi przed nosem i wstrzymał oddech w oczekiwaniu, kiedy Roland Storm odjedzie.

Nieproszony gość wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Dopiero wtedy Wesley zamknął drzwi na klucz, oparł się o nie plecami i osunął się ze zmęczenia na podłogę.

Udało się.

Upłynęło wiele minut, zanim trochę doszedł do siebie i mógł się poruszyć. Dopiero ciepły prysznic przyniósł ulgę obolałym mięśniom. Wes wyszedł z łazienki, nastawił budzik i położył się. Sądził, że spał zaledwie kilka minut, gdy rozległo się natarczywe dzwonicie. Był półprzytomny, ale nie mógł spóźnić się do pracy, zwłaszcza pierwszego dnia. Z ciężkim westchnieniem wstał z łóżka.

Harold James nadal nie wiedział, co go pod-kusiło, żeby przyjąć do pracy zupełnie obcego

162

faceta. Nie obiecywał sobie zbyt wiele po nowym pracowniku, a jednak ten pojawił się przed frontowymi drzwiami magazynu, zanim zegar wybił ósmą. Harold z przyjemnością przyjrzał się szerokim ramionom Holdena i jego szczupłej sylwetce. Potem zatrzymał wzrok na długich, sięgających karku włosach. Nieznajomy sprawiał miłe wrażenie, jednak w wyrazie jego twarzy było coś, co kazało mieć się na baczności. Zdenerwowany swoją podejrzliwością, Harold James w końcu machnął ręką. Jeśli Ally Monroe poręczyła za tego człowieka, to wszystko powinno być w porządku. Byle tylko nowy przykładał się solidnie do roboty.

- Dzień dobry, Holden - powitał go James. Wes skinął głową.

- Gdzie zaparkowałeś samochód? Zapomniałem ci powiedzieć, że parking dla pracowników jest na tyłach budynku.

- Nie mam samochodu - odpowiedział Wesley. - Kiedy zaczynamy?

Harold zdumiał się.

- Nie masz samochodu?
- Nie mam.
- No to jak się tutaj dostałeś?
- Przyszedłem na piechotę. Harold zrobił wielkie oczy.
- Człowieku, to dobre osiem kilometrów.
- Nie wiem czy dobre, ale z pewnością osiem. James spojrzał z nieukrywanym szacunkiem na

nowo najętego pracownika. Jeśli ktoś nie waha się przebyć tylu kilometrów na piechotę, to z całą

całą

163

pewnością zależy mu na pracy. Tak, będzie miał pociechę z tego pomocnika.

- Jak wiesz, prowadzę skup i sprzedaż produktów rolnych. Około dziewiątej przyjedzie ładunek karmy dla kurcząt. Trzeba uporządkować palety i zrobić miejsce na nowy towar. Aha, co rano musisz najpierw nakarmić Scooby'ego.

- Kto to jest ten Scooby?
- Cholernie łowny kot, a w takim miejscu jak to, potrzeba dobrego kota. Jednakże ten drań upodobał sobie tuńczyka z puszki. Nie zaczyna polowania na myszy, dopóki nie dostanie swojego przysmaku. Tak więc najpierw musisz znaleźć Scooby'ego. Puszki z tuńczykiem są na zapleczu.
- Tuńczyk - powtórzył Wesley i ruszył do magazynu.

Wesley szybko odnalazł Scooby'ego i przekonał się, że ten zwierzak jest wyjątkowo sprytny i... przekupny. Duży, szary kocur ocierał się o nogi Wesleya, dopóki nie dostał tuńczyka. Potem przestał się przymilać, ba, przestał nawet zauważać Wesa.

Karma dla kurcząt dotarła z Charlestonu o czasie, tak więc o godzinie dziewiątej Wesley Holden zaczął zarabiać na życie. Po rozładowaniu czterech ton ziaren, czyli przeniesieniu sześćdziesięciu czterech worków miał wrażenie, że mięśnie jego ramion spłoną zaraz żywym ogniem. Mimo to fizyczny wysiłek bardzo dodatnio wpływał na jego samopoczucie. Resztę przedpołudnia spędził na ładowaniu lub wyładowywaniu worków klien-

164

tów, których przysyłał do niego Harold. Wesley liczył się z tym, że jako obcy na tym terenie wzbudzi niezdrowe zainteresowanie, lecz ku jego zaskoczeniu spotkał się z miłym przyjęciem i licznymi dowodami sympatii.

Dochodziło południe, kiedy Harold zjawił się w magazynie.

- Dwunasta - zakomunikował gromkim głosem. - Masz godzinę na lunch. Kawiarnia „U Kasi” po drugiej stronie ulicy to w zasadzie jedyny możliwy wybór. Jeśli zadowolisz się zimnym napojem i słodyczami, to na rogu jest stacja benzynowa, a kilka kroków stąd znajduje się sklep spożywczy.

Świadom skromności swych funduszy, Wes postanowił oszczędzać.

- Dziękuję, ale dzisiaj wytrzymam bez lunchu - odrzekł spokojnie.

Harold James skrzywił się z dezaprobatą.

- Posłuchaj, Wes. Przerzuciłeś mnóstwo ciężarów. Nie chcę, żebyś padł jak mucha.

- Nie padnę - zapewnił go Wesley. Harold pomyślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Jak chcesz - powiedział i już miał odejść, gdy nagle coś wpadło mu do głowy. Wyjął z kieszeni kilka dwudziestodolarówek i wręczył je Wesleyowi. - Pomyślałem, że mogą ci się przydać, zanim dostaniesz wypłatę.

Wes postanowił zapomnieć o dumie. Przyjął pieniądze i podziękował skinieniem głowy.

165

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony - powiedział.

- Pamiętaj, że płacę zawsze pod koniec tygodnia, nie wcześniej.

- Oczywiście - odpowiedział Wesley i schował pieniądze do kieszeni. Następnie zdjął robocze rękawice i przygładził palcami włosy. - Do zobaczenia za godzinę - rzucił szefowi i skierował się do łazienki, żeby się umyć.

Harold patrzył za nim z uznaniem. Ten facet prędzej umarłby z głodu, niż poprosił o pieniądze, na które jeszcze nie zapracował. Harold zachodził w głowę, co taki niezwykle dumny człowiek porabia w tych stronach. A może po długiej tułaczce odnalazł wreszcie swoje miejsce na ziemi? Dzwonek w drzwiach przerwał te rozmyślenia i Harold pospieszył do magazynu.

Gdy dzień pracy dobiegał końca, niebo wyraźnie pociemniało. Harold skrzywił się na odległy odgłos grzmotu od strony gór.

- Wygląda na to, że będziemy mieli deszcz.

Wes spojrzął za okno, po czym powrócił do sprzątania. Nie zdołałby zliczyć, ile razy w życiu przemókł do suchej nitki. Na szczęście teraz było lato, a on obawiał się jedynie zimowych deszczy, które niebezpiecznie wyziębiały organizm. Wykorzystując chwilę przerwy, po południu Wesley skrócił włosy. Tak było wygodniej i praktyczniej.

Harold myślał o ośmiu kilometrach, które musiał pokonać jego nowy pracownik, żeby dostać

się do domu. Tymczasem Wes odstawił szczotkę i otrzepał ręce z kurzu.

- Pozamiatałem najlepiej, jak umiałem - zameldował szefowi. - Czy mam zrobić coś jeszcze?

- Nie. Już dość się dzisiaj napracowałeś - odparł Harold. - Naprawdę. Idź do domu. Może zdążysz przed deszczem.

- Nie boję się deszczu, nie jestem z cukru. Harold uśmiechnął się szeroko.

- Cholera, chłopie, chyba nie widziałem większego twardziela od ciebie.

Wesley roześmiał się i wzruszył ramionami.

- Przepraszam, chciałem tylko powiedzieć, że nie mam zwyczaju rozczulać się nad sobą.

- Tak, już to udowodniłeś. A teraz zasuważ do domu - powiedział Harold.

- Dzięki, do jutra! - pożegnał się Wes.

- Do jutra!

Wesley wyszedł na ulicę i głęboko zaczerpnął powietrza. Było mu gorąco, był potwornie zmęczony i bolały go mięśnie pleców i ramion, ale też nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się taki spokojny i radosny. Popatrzył na niebo. Harold miał rację; zanosilo się na deszcz.

Odruchowo potarł dłonią obolały kark, który jeszcze niedawno przysłaniały włosy. Nagle usłyszał pisk opon hamującego samochodu, a potem krzyk kobiety. Sekundę potem rozległ się głośny zgrzyt metalu i syk pary wydobywającej się z rozbitej chłodnicy.

Zanim ciężarówka wyładowana drewnem zdo-

łała wyjść z poślizgu i zahamować, Wes biegł już z całych sił w tamtym kierunku. Kierowca samochodu został uwięziony przez kłody. Kilka z nich wybiło tylne okno kabiny i wsunęło się do środka, kilka poturlało się na jezdnię. Kałuża rozlanego paliwa powiększała się z sekundy na sekundę, grożąc wybuchem i pożarem.

Wes przeskoczył przez kłodę, żeby dostać się do samochodu, następnie wsunął się do kabiny przez rozbite okno od strony pasażera. Najpierw musiał sprawdzić, w jakim stanie znajduje się kierowca. Na szczęście mężczyzna żył.

- Pomoc jest już w drodze - uspokoił go i powstrzymał przed gorączkowymi próbami uwolnienia się spod kłód. - Nie ruszaj się, dobrze? Rozumiesz?

Kierowca chyba nie był w zbyt dużym szoku, bo natychmiast się uspokoił. Kiedy Wesley wysunął się z rozbitej kabiny, na miejscu stało już około pół tuzina gapiów, którzy patrzyli na wszystko z żywym zainteresowaniem.

- Karetka jest w drodze - krzyknął ktoś. - Gaśnicę! Prędko! Pali się silnik - wrzasnął ktoś inny.

- Pomocy! - zawołał kierowca ciężarówki. - Wyciągnijcie mnie stąd! Nie pozwólcie, bym spłonął żywcem!

Przez ułamek sekundy twarz mężczyzny stała się tak czerwona, jakby była zalana krwią.

- Wyciągniemy cię - próbował go uspokoić Wesley. - Pomoc już nadchodzi.

Ponownie wsunął się do kabiny i odchylił

168

połamana kierownicę. Nic więcej nie mógł na razie zrobić.

Kierowca patrzył na Wesa szeroko otwartymi oczami i było jasne, że za chwilę ponownie wpadnie w panikę. Tym razem Wesley nie zwracał na to uwagi, zaczął szarpać pocięte drzwi, próbując je otworzyć. Nagle zobaczył cienkie języki płomieni wydobywające się spod deski rozdzielczej. Palił się silnik, a zważywszy na powiększającą się kałużę paliwa pod samochodem, znajdowali się w pułapce, która w każdej chwili mogła przeistoczyć się w płonąca mogiłę. Kierowca ciężarówki zaczął płakać. Wes najchętniej poszedłby w jego ślady. Gdy już stracił nadzieję, dostrzegł pędzący na sygnale stary wóz strażacki. Od razu zauważył, jak bardzo to wyposażenie odbiega od nowoczesnego sprzętu, którym dysponowały jednostki z dużych miast, i westchnął z rezygnacją. Oby tutejsi strażacy mieli przynajmniej nożyce do rozcinania blachy, bo inaczej temu biedakowi uwięzionemu w kabinie pozostanie jedynie liczyć na cud.

Nagle ktoś zawołał Wesleya po imieniu. To Harold James wkroczył na scenę dramatycznych wydarzeń. Sekundę potem rzucił w kierunku Wesa gaśnicę, którą ten zręcznie złapał. Wesley skierował silny strumień piany pod maskę, podczas gdy strażacy obficie oblewali samochód wodą.

Jeden ze strażaków uruchomił piłę, by skrócić kłodę, która zablokowała kierowcę w kabinie ciężarówki.

169

Gdy największe niebezpieczeństwo zostało zażegnane, strażacy zajęli się rozlanym paliwem. Akcja przebiegała sprawnie, na miejsce wypadku dotarły też służby medyczne, Wesley uznał zatem, że najwyższy czas zająć się własnymi sprawami. Na twarzy miał świeże, drobne skaleczenie, na przedramieniu bliznę po oparzeniu, ale w zasadzie nie odczuwał żadnych przykrych dolegliwości. Wiedział doskonale, że znajduje się w środku miasteczka, które nazywa się Blue Creek, ale myślami błędził daleko stąd.

Dym, krzyki, hałas... Znów był pod obstrzałem, znów patrzył bezsilnie na płonącego Black Hawka, słuchał krzyków umierających w płomieniach żołnierzy, którzy nadaremnie wzywali Boga.

Zasłonił rękami oczy, ale obraz nie zniknął. Poczuł, że zalewa go fala obezwładniającej paniki. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana. Wycie syreny samochodu policyjnego tylko spotęgowało koszmar, w którym pogrążył się umysł Wesa.

Nagle ktoś mocno chwycił go pod ramionami i pomógł mu wstać.

- Wes, Wes! Spójrz na mnie, człowieku!

Głos był znajomy. Wes spojrzał na twarz podtrzymującego go mężczyzny. Wyrazista, niemal kwadratowa szczęka, długi nos...

- Wes! To ja, Harold.

Wesley drgnął. Znał tego mężczyznę, ale przecież nie służył z żadnym Haroldem. Powoli wy-
170

ciągnął rękę. A więc nie było to złudzenie, ten mężczyzna istniał naprawdę. Wes oprzytomniał.

- Harold?

Dopiero teraz Harold James zdał sobie sprawę, kogo przypomina mu Wesley. Tak samo zachowywali się żołnierze powracający z Wietnamu.

- Chodź, chłopie. Wrócimy do magazynu i doprowadzimy się do porządku, dobrze?

Wes potrząsnął gwałtownie głową, jak pies otrząsający się z wody, i zakrył rękami twarz. Harold James patrzył na niego z przejęciem i spokojnie czekał. Rzeczywiście, po chwili Wes wziął się w garść. Opuścił ręce i rozejrzał się wokół.

- Zawiodłem, prawda? - szepnął.

Harold skrzywił się i wyciągnął rękę w stronę zniszczonej ciężarówki.

- Człowieku, ocaliłeś mu życie.

Wesley na chwilę przymknął oczy i znów pogrążył się we wspomnieniach.

- Widać było dym, być może wybuchł pożar... słyszałem jakieś krzyki. Kto mógł wiedzieć... - mamrotał niewyraźnie pod nosem.

Harold położył rękę na jego ramieniu.

- Gdzie służyłeś?

- W oddziale do zadań specjalnych.

- Dlaczego wróciłeś do Stanów?

Wes próbował odpowiedzieć, ale ku jego przerażeniu słowa uwięzły mu w gardle. Harold poklepał Wesleya po plecach.

- To bez znaczenia - powiedział uspokajająco. - To dotknęło nas wszystkich.

171

Na ziemię spadła pierwsza kropla deszczu.

- Popatrz, mówiłem ci, że będzie padać - rzekł Harold i zaraz dodał: - Chodź ze mną.

Wesley był zdezorientowany. Słyszał głos Harolda, ale miał wrażenie, że dźwięk dobiega z tunelu.

- Gdzie idziemy? - zapytał w końcu.

- Zawiozę cię do domu. Myślę, że należy ci się solidny wypoczynek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zanim przebyli połowę drogi, deszcz rozpadał się na dobre. Harold zerknął nerwowo na swojego pasażera, po czym skupił się na prowadzeniu. Nawet przy najlepszej pogodzie ta dwukierunkowa droga polna nie była najbezpieczniejsza. Podczas burzy zamieniała się w najeżony niespodziankami tor przeszkód i wymagała od kierowcy dużej koncentracji.

- Chcesz pogadać? - zapytał Harold. Wesley aż się wzdrygnął. Z trudem oddychał i przełykał ślinę, jakim cudem miałby zmusić się do mówienia?

Potrząsnął przecząco głową.

Jednak Harold nie zamierzał tak łatwo ustąpić. Jeszcze raz obrzucił Wesleya uważnym spojrzeniem, próbując odgadnąć jego wiek.

- Byłeś oficerem, prawda? Wes zdołał skinąć głową.

- Dostałeś medal za odwagę na polu walki? - W ten zakamuflowany sposób Harold próbował

dowiedzieć się, czy Wes odniósł rany podczas działań wojennych.

Wesley odchylił głowę i przymknął oczy.

Harold pomyślał, że ten gest jest bardziej wymowny niż jakiegokolwiek słowa.

Wes nawet nie zwrócił uwagi, kiedy przejechali obok domu Monroe'ów, dopiero gdy Harold zatrzymał ciężarówkę, zorientował się, że dotarli do celu podróży.

- Jesteśmy na miejscu - zakomunikował cicho Harold.

Wes wyprostował się na fotelu i otworzył oczy. Na miejscu? Ten dziwaczny przerośnięty muchomor z pewnością nie był jego domem. Przecież on nigdzie nie miał swojego miejsca, wszędzie był obcy.

- Dziękuję za podwiezienie - zwrócił się do Harolda i wysiadł z samochodu.

- Jeśli deszcz nie przestanie padać, nie przychodź jutro do pracy - zawołał Harold. - Na drodze będzie potworne błoto, lepiej zostań w domu.

Wes, pogrążony w głębokiej zadumie, nie odpowiedział, po prostu szedł powoli w kierunku domu. Krople deszczu boleśnie smagały go po twarzy. Miał ochotę biec, lecz nie miał dokąd. Słyszał, jak Harold zawraca. Grzeczność wymagała, żeby pożegnał go choćby skinieniem

ręki, ale Wes nie mógł się do tego zmusić. Gdy doszedł do frontowych drzwi, trzykrotnie wkładał klucz do zamka, zanim udało mu się je otworzyć.

174

Dopiero w środku uzmysłowił sobie, że nagle przestał moknąć.

Zaczął trząść się z zimna. Mały dom wyglądał dokładnie tak, jak pozostawił go rano. Gdyby tylko mógł powiedzieć to samo o sobie... W powietrzu unosił się delikatny zapach kawy i smażonych jajek, które rano przyrządził sobie na śniadanie, bujne pędy dzikiego wina tłumiły nieco szum deszczu.

Wesley zapalił światło, zdjął mokre rzeczy i rzucił je w kąt pomieszczenia. Było mu niedobrze, fala mdłości podchodziła do gardła. Zdażył dobiec do łazienki, ale ciało miał pokryte zimnym potem. Z przyjemnością wzięłby prysznic, jednak nie był pewny, czy wytrzyma pod nim dostatecznie długo, żeby dokładnie się umyć. Zamiast tego, oddał się wspomnieniom. Kiedy jeszcze był żołnierzem, często po skończonej akcji ogarniało go deprymujące poczucie utraty czegoś ważnego, jakiejś części własnego człowieczeństwa.

Chciał umrzeć. W końcu zapadł w błogosławiony, przynoszący zapomnienie sen. Nie zdażył już podejść do łóżka. Oparty plecami o ścianę, osunął się i zanim znalazł się na podłodze, ogarnęła go ciemność.

Harold w drodze powrotnej do domu zmagał się z potężnym poczuciem winy. Dręczyły go wyrzuty sumienia, bo dobrze wiedział, że Wes jest w złym stanie i potrzebuje pomocy. Jak powinien zareagować? Pójść za Wesem do domu,

175

spróbować z nim porozmawiać? Przecież byli sobie zupełnie obcy. Nie mógł przestać o tym myśleć i dlatego postanowił wpaść po drodze do Monroe'ów. Skoro Ally poleciała mu Holden, musiała chociaż trochę go znać. Może ona będzie wiedziała, jak mu pomóc.

Harold nie był wścibski, nie lubił wtrącać się w sprawy innych ludzi, ale Wes Holden od razu przypadł mu do serca. Uznał, że to bardzo wartościowy człowiek, którego nie powinno zostawiać się samemu sobie. Sam nie rozumiał, dlaczego Wesley wywarł na nim tak ogromne wrażenie.

Ally wyjmowała z piecyka placek z wiśniami, gdy usłyszała zatrzymujący się na podjeździe domu samochód. Spojrzała na zegar i ze zdziwienia uniosła brwi. Było za wcześnie na powrót ojca, a ponieważ lało, Danny i Porter nie podjęli jeszcze pracy u Rolanda Storma, zresztą dzisiaj pojechali do Charlestonu. Przełożyła placek na tackę i właśnie wycierała ręce, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Idę - zawołała, podbiegając, żeby otworzyć.

— O, pan James. Niech pan wejdzie. Bardzo proszę. Mamy prawdziwą ulewę.

Harold zdjął kapelusz, lecz pozostał na progu.

- Dzięki, Ally, ale trochę spieszę się do domu.

- W tym momencie zaczął żałować, że tu przyszedł. Niepotrzebnie się wtrąca w nie swoje sprawy. Czy nie miał dość własnych kłopotów? - Widzisz, może nie powinienem o tym mówić, ale

176

pomyślałem sobie... Jeśli wynajęłaś dom twojego wuja Holdenowi, to chyba... Jesteście przyjaciółmi, prawda?

Ally poczuła, że się rumieni, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Tymczasem Harold mówił dalej.

- Dzisiaj w mieście zdarzył się naprawdę paskudny wypadek i...

Pod Ally ugięły się nogi. Musiała wiedzieć, teraz, natychmiast...

- Co z nim?

Harold szybko ją uspokoił.

- Och, nie, nie... jemu nic się nie stało. Holden pospieszył z pomocą innym.

Ally westchnęła z ulgą.

- Bogu dzięki. Ale pan mnie przestraszył. Harold miał w rękach kapelusz. Był wyraźnie zakłopotany.

- Przepraszam. Nie chciałem.

- Zatem nic mu się nie stało? - zapytała na wszelki wypadek.

Może jej się tylko wydawało, a może rzeczywiście Harold jeszcze bardziej się zmieszał.

- No właśnie o to chodzi... Nie wszystko z nim w porządku. Co właściwie o nim wiesz?

- Niewiele - odrzekła Ally. - Chyba nie ma żadnej rodziny. Pewnego razu zapytałam go o to i powiedział mi, że wszyscy nie żyją.

- Był oficerem w jednostce do zadań specjalnych. Pewnie dlatego bez wahania rzucił się na ratunek, działał bardzo sprawnie i do końca

177

zachował zimną krew. Podpytywałem go później, przyznał, że był komandosem. Widzisz, on wiedział, co robić, działał zupełnie odruchowo. Ugasił ogień, zapobiegł eksplozji paliwa i w ten sposób uratował życie obu kierowcom biorącym udział w kraksie. Tylko że po tym wszystkim zupełnie się rozkleił, a właściwie odleciał... Ally przestraszyła się nie na żarty.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Harold spojrzał uważnie na Ally.

- Słyszałaś o ZSPU?

- Zaburzenia wskutek stresu pourazowego? Przytaknął.
- Nie jestem lekarzem, ale widziałem mnóstwo takich przypadków w Wietnamie. Nie wiem, co mu się przytrafiło, ale według mnie dzisiejszy wypadek przypominał mu o jakimś koszmarze z przeszłości.
- Co powinnam zrobić? - zapytała przejęta. Harold wzruszył ramionami.
- Nie mówię, że powinnaś coś zrobić. Nie ponosisz za niego żadnej odpowiedzialności, ale jeżeli jesteście przyjaciółmi, lepiej, żebyś o tym wiedziała.

Ally przyznała mu w duchu rację.

- Dziękuję panu, panie Haroldzie. Dobrze, że pan mi o tym powiedział - szepnęła. - Niech pan uważa w drodze do domu. Ten deszcz utrudnia widoczność.
- Tak, dzięki.

Ally patrzyła, jak odjeżdża. Dopiero gdy straci-

178

zachował zimną krew. Podpytywałem go później, przyznał, że był komandosem. Widzisz, on wiedział, co robić, działał zupełnie odruchowo. Ugasił ogień, zapobiegł eksplozji paliwa i w ten sposób uratował życie obu kierowcom biorącym udział w kraksie. Tylko że po tym wszystkim zupełnie się rozkleił, a właściwie odleciał... Ally przestraszyła się nie na żarty.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Harold spojrzał uważnie na Ally.
- Słyszałaś o ZSPU?
- Zaburzenia wskutek stresu pourazowego? Przytaknął.
- Nie jestem lekarzem, ale widziałem mnóstwo takich przypadków w Wietnamie. Nie wiem, co mu się przytrafiło, ale według mnie dzisiejszy wypadek przypominał mu o jakimś koszmarze z przeszłości.
- Co powinnam zrobić? - zapytała przejęta. Harold wzruszył ramionami.
- Nie mówię, że powinnaś coś zrobić. Nie ponosisz za niego żadnej odpowiedzialności, ale jeżeli jesteście przyjaciółmi, lepiej, żebyś o tym wiedziała.

Ally przyznała mu w duchu rację.

- Dziękuję panu, panie Haroldzie. Dobrze, że pan mi o tym powiedział - szepnęła. - Niech pan uważa w drodze do domu. Ten deszcz utrudnia widoczność.
- Tak, dzięki.

Ally patrzyła, jak odjeżdża. Dopiero gdy straci-

178

ła go z oczu, pobiegła do kuchni i wyłączyła piecyk. Postanowiła podgrzać duszone mięso, bo ojciec mógł w każdej chwili wrócić do domu.

Drgnęła, gdy zadzwonił telefon, ale szybko podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Ally, to ja. - Ojciec usiłował nadać swojemu głosowi naturalne brzmienie.

- Właśnie zastanawiałam się, kiedy wrócisz do domu.

- Dlatego dzwonię. Muszę zatrzymać się na jakiś czas w mieście. Jeden z moich kolegów miał wypadek.

- Och, kto?

- Pete Randall. Zderzył się z ciężarówką przewożącą drewno. To zdarzyło się w samym centrum miasta. Jadę teraz do szpitala, żeby dowiedzieć się, jak miewa się Pete i przy okazji pogadam z jego bliskimi.

- Jasne - odpowiedziała Ally.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Aha, nie czekaj na mnie z kolacją, zjem coś w mieście.

Bogu dzięki, pomyślała Ally, a głośno powiedziała:

- Pozdrów ode mnie Randallów.

- Dziękuję, pozdrowię - odpowiedział Gideon i odwiesił słuchawkę.

Ally potrzebowała samochodu, ale jeden wziął ojciec, drugi bracia. Nie powinna wspinać się pod górę po drodze pełnej śliskiego błota, ostatecznie nie była w pełni sprawną osobą. Nagle
179

przypomniała sobie o czterokołowym traktorku Portera. Cóż, przemoknie do suchej nitki, ale przynajmniej dotrze bezpiecznie na miejsce.

Nie zastanawiając się dłużej, pobiegła do sypialni, żeby się przebrać. Włożyła solidne skórzane buty, jedną z nieprzemakalnych peleryn myśliwskich Danny'ego i poszła do stodoły. Po kilku minutach jechała już drogą, rozpryskując kołami wodę i błoto. Nie myślała o tym, co zastanie na miejscu i jak przyjmie ją Wes Holden.

Pomimo deszczu i wiatru drogę do chaty wuja Doo pokonała w ciągu kwadransa. Zatrzymała traktor przy ganku, schowała kluczyk do kieszeni i schyliła się pod niskim zadaszeniem. Zanim zapukała, pomyślała, że może odbyła tę wycieczkę na próżno. Jeżeli drzwi będą zamknięte na klucz, a Wes nie zareaguje na jej pukanie, nie będzie mogła dostać się do środka. Wprawdzie miała jeszcze jeden klucz, ale w pośpiechu zapomniała go zabrać.

Modląc się w duchu, żeby Wes był w domu, zapukała do drzwi. Żadnego odzewu. Zapukała powtórnie. Oczekiwanie na jakąś reakcję zdawało się trwać całą wieczność. Gdy dotknęła klamki, okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Ally odetchnęła z ulgą i nieśmiało weszła do środka. - Panie Holden! Jest pan w domu? - zawołała głośno. Żadnej odpowiedzi, więc

spróbowała jeszcze raz. - Panie Holden? Wes? W domu panowała absolutna cisza. Ally zdjęła przemoczoną pelerynę i zabłocone

180

buty i ruszyła w głąb pomieszczenia, cały czas nawołując Wesleya.

Pierwszym miejscem, do którego zajrzała, była kuchnia. Zobaczyła stertę mokrych ubrań rzuconych obok drzwi prowadzących do spiżarni i zatrzymała się. A więc Wes był w domu. Ale gdzie on się podziewa? Obróciła się i popatrzyła w głąb korytarza.

- Wes, to ja, Ally. Pan James martwi się o pana. Był u mnie i prosił, żeby... - słowa zamarzy jej na ustach, gdy przez otwarte drzwi do łazienki zobaczyła go, nagiego i skulonego, na podłodze. Podbiegła i uklękła przy nim.

Chociaż w domu było duszno i gorąco, skóra Wesa była zimna w dotyku. Ally podłożyła mu rękę pod głowę, lekko ją unosząc.

- Wes, to ja, Ally Monroe. Przyszłam ci pomóc. Wes...

Nie odpowiedział, ale gdy go dotknęła, poczuła lekki skurcz mięśnia pod skórą. Szybko podniosła się i przebiegła przez korytarz, zapalając wszędzie światła. Wróciła do łazienki z narzutą zdartą z łóżka.

Dość świeże, a także niemal wygojone blizny na jego plecach i nogach wyglądały przerażająco, ale szrama biegnąca od prawego ramienia do środka kręgosłupa była wyjątkowo paskudna. Wes musiał być kiedyś bardzo poważnie ranny. To niesprawiedliwe, by tak doświadczony przez los człowiek musiał znowu cierpieć, pomyślała z rozpaczą.

181

Starła się owinąć go narzutą, ale musiałyby go podnieść, żeby następnie doprowadzić do łóżka. Po raz pierwszy pożałowała, że nie powiedziała niczego ojcu. Na pewno zrobiłby jej niezmierną awanturę, ale teraz mogłaby liczyć na jego pomoc. Niestety musiała poradzić sobie sama. Z całej siły pociągnęła Wesa za rękę.

- Wes, musisz wstać. Słyszysz? Musisz się podnieść!

Chyba coś do niego dotarło, bo lekko drgnął.

- Potrafisz to zrobić, postaraj się, proszę - nalegała, ciągnąc go ze wszystkich sił.

Wesley ukląkł, podpierając się rękami. Ally pomagała mu, jak mogła.

- Dalej! - zachęcała. - Wstawaj. Podnieś się, proszę!

Próbował się skoncentrować. Głos, który coraz wyraźniej docierał do jego świadomości, nakazywał mu wstać.

Ze wszystkich sił usiłował wykonać polecenie. Widząc to, Ally chwyciła mocniej jego rękę i pociągnęła do góry. Wesley wstał, lecz narzuta zsunęła się z jego ramion na podłogę.

Ally podniosła ją i ponownie zarzuciła mu na ramiona. Potem objęła Wesleya w talii.

- Dobra robota. Poradziłeś sobie! Teraz tylko jeszcze kilka kroków i będziesz w łóżku. Oprzyj się o mnie. Będzie dobrze.

Oprzyj się o mnie? Zakłopotany Wes nie wiedział, jak zareagować.

Ally wydawała mu się niezwykle krucha, jed-

182

Starła się owinąć go narzutą, ale musiałaby go podnieść, żeby następnie doprowadzić do łóżka. Po raz pierwszy pożałowała, że nie powiedziała niczego ojcu. Na pewno zrobiłby jej niezmierną awanturę, ale teraz mogłaby liczyć na jego pomoc. Niestety musiała poradzić sobie sama. Z całej siły pociągnęła Wesa za rękę.

- Wes, musisz wstać. Słyszysz? Musisz się podnieść!

Chyba coś do niego dotarło, bo lekko drgnął.

- Potrafisz to zrobić, postaraj się, proszę - nalegała, ciągnąc go ze wszystkich sił.

Wesley ukląkł, podpierając się rękami. Ally pomagała mu, jak mogła.

- Dalej! - zachęcała. - Wstawaj. Podnieś się, proszę!

Próbował się skoncentrować. Głos, który coraz wyraźniej docierał do jego świadomości, nakazywał mu wstać.

Ze wszystkich sił usiłował wykonać polecenie. Widząc to, Ally chwyciła mocniej jego rękę i pociągnęła do góry. Wesley wstał, lecz narzuta zsunęła się z jego ramion na podłogę.

Ally podniosła ją i ponownie zarzuciła mu na ramiona. Potem objęła Wesleya w talii.

- Dobra robota. Poradziłeś sobie! Teraz tylko jeszcze kilka kroków i będziesz w łóżku. Oprzyj się o mnie. Będzie dobrze.

Oprzyj się o mnie? Zakłopotany Wes nie wiedział, jak zareagować.

Ally wydawała mu się niezwykle krucha, jed-

182

nak dokonała niezwykłej rzeczy. Jakoś dowlokła go do łóżka i położyła w pościeli. Wesley zaczął powoli odzyskiwać świadomość. Dopiero teraz zauważył swoją nagość i wpadł w zakłopotanie. Owinął się ciasniej narzutą i powoli usiadł na łóżku.

- Czy nie uważasz, że nie powinieneś jeszcze wstawać? - zapytała z niepokojem.

- Uważam, że pani nie powinna tu przychodzić. Ally poczuła się tak, jakby została spoliczkowana. Wyprostowała się i odwróciła.

- Przepraszam za najście. Nie miałam żadnych złych zamiarów.

W tym momencie Wesley uzmysłowił sobie, jak bardzo ją zranił. Była to ostatnia rzecz, którą powinien był zrobić.

- Pani Monroe... Ally... Zaczekaj.

Ally zatrzymała się, nie patrząc na niego.

- Czy zechciałabyś, proszę, poczekać w salonie? Zaraz...

Wyszła z pokoju bez słowa, lecz gdy nie usłyszał otwieranych i zamykanych drzwi frontowych, uznał to za dobry znak. Szybko włożył czyste spodnie i koszulę.

Ledwo trzymał się na nogach i był tak wyczerpany, jakby przebiegł kilkanaście kilometrów, ale najgorsze miał już za sobą. Odgarnął włosy z czoła i wszedł do pokoju.

Stała blisko okna. Usłyszała jego kroki i podniosła wzrok. Wes zobaczył łzy spływające po jej policzkach i zrobiło mu się bardzo przykro.

183

- Och, błagam, nie płacz - wykrztusił.

Ally otarła łzy. Zobaczył, że drżą jej ręce i nerwowo przygryza wargę.

- Nie chciałem być nieuprzejmy - powiedział skruszony. - Tylko że jestem... ja... Nie wiem, jak sobie z tym poradzić... Tak mi trudno, nie umiem...

- Przestań - powiedziała łagodnie. - Nie masz za co przepraszać. Pan James martwił się o ciebie, wpadł, żeby ze mną o tym pogadać, a ja postanowiłam coś zrobić. To ja powinnam przeprosić ciebie. Obiecuję, że nie będę ci się narzucać, zostawię cię w spokoju. - Spuściła głowę i spojrzała gdzieś w dal, a potem prosto w jego oczy. - To się już więcej nie powtórzy.

Wes ciężko westchnął. Nie chciał, żeby zostawiała go samego.

- Czy to oznacza, że już nigdy nie będę miał okazji spróbować twojego chleba? Żadnych więcej herbatników?

Ally zatrzepotała powiekami ze zdziwienia. Czyżby z niej beczelnie kpił? Co to właściwie miało znaczyć?

Chociaż bał się bliskości, bez wahania podszedł do Ally, lecz gdy zobaczył wyraz jej oczu, zatrzymał się i wyciągnął rękę.

- Rozejm?

Ally spojrzała najpierw na jego rękę, potem na jego twarz.

- Nie jesteś na mnie wściekły?

Wesley nie odpowiedział od razu na pytanie.

184

Zakłopotany patrzył na jej drżący podbródek i odczuwał coraz większe wyrzuty sumienia. Jak mógł doprowadzić tę sympatyczną i życzliwą dziewczynę do takiego oplakanego stanu? Boże, okazał się bezdusznym potworem. Wreszcie westchnął i powiedział:

- Nie, nie jestem na ciebie wściekły, raczej na siebie. Dla mężczyzny takiego jak ja pewne rzeczy są bardzo trudne. Na przykład przyznanie się do słabości. Nie wiem, czy to rozumiesz, po prostu...

- Byłeś żołnierzem, prawda?

- Tak.

- Czy ty...

- Nie jestem niebezpieczny, to znaczy dla nikogo oprócz siebie - Wes pośpieszył z odpowiedzią. - Ale jeśli się mnie boisz, odejść.

Ally zmarszczyła czoło i chwyciła go za rękę.

- Boję się wielu rzeczy na tym świecie, ale nie ciebie - odparła szorstko. - Nie opuścisz tego domu, dopóki nie wrócisz do zdrowia. Potem sam zadecydujesz, co dalej. Czy to jasne?

Twarz Wesleya pojaśniała.

- Tak, proszę pani. Jasne jak słońce. Zażenowana swoim zachowaniem Ally zarumieniła się.

- W porządku - powiedziała ledwo słyszalnym głosem, a potem obrzuciła Wesa uważnym i zarazem nieustępliwym spojrzeniem.

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Skinął głową.

185

- Zatem jadę do domu. Proszę, wybacz mi jeszcze raz to najście.

Już sięgała do klamki, gdy Wes ponownie ją zatrzymał.

- Ally?

- Tak?

- Dziękuję ci za troskę.

- Tak, jasne, nie ma o czym mówić. Jeśli zamierzasz tu zostać, lepiej przywyknij do mojego wścibstwa.

Na wargach Wesleya pojawił się uśmiech.

- Obiecuję, proszę pani.

Ally włożyła buty i sięgnęła po pelerynę. Wes pomógł jej się ubrać.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. - Wes sprawdził, czy peleryna dobrze leży, a potem spojrzał z uśmiechem na Ally.

Otworzyła drzwi. Na zewnątrz wciąż lało jak z cebra. Dopiero teraz Wesley docenił w pełni jej poświęcenie. Ally nie dbała o takie szczegóły jak pogoda, miała dość hartu ducha, by sprawdzić, jak sobie radzi jej nowy znajomy.

- Nie wiedziałem - odezwał się nieśmiało.

- Czego nie wiedziałeś? - spytała zaskoczona.

Nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową. Nagle ujrzał ją w zupełnie nowym świetle. Miała wysunięty podbródek, świadczący o niezłomnym charakterze i uporze.

- Jesteś twardsza, niż na to wyglądasz, wiesz o tym?

186

Ally, zaskoczona jego spostrzeżeniem, tylko wzruszyła ramionami.

- Masz w sobie wiele z dobrego żołnierza. Jedź ostrożnie - powiedział jej na pożegnanie.

Kiwnęła mu głową i wyszła na zewnątrz, gdzie przywitała ją ściana deszczu.

Wesley stał na podjeździe i patrzył za nią, dopóki nie zniknęła wśród drzew.

Już miał wejść do domu, gdy nagle odczuł dziwny niepokój. Obrócił się gwałtownie, omiatając wzrokiem teren. Nic nie zauważył, ale jego wyostrzone poprzez specjalne szkolenie zmysły rzadko go zawodziły. Zawsze potrafił wyczuć niebezpieczeństwo. Dlatego teraz nie miał wątpliwości, że ktoś go obserwuje. Najpierw pomyślał o Ally, wracającej samotnie do domu przez kompletne odludzie. Zaczął żałować, że nie ma telefonu. Chętnie upewniłby się, czy dotarła bezpiecznie do domu.

Wszedł do środka, zamknął na klucz frontowe drzwi, a potem te prowadzące na tyły domu. Przystanął na chwilę, bo przypomniał sobie o piwnicy. Zamknął również te drzwi i dopiero wtedy uznał, że wreszcie może odpocząć. Gdyby ktokolwiek z zewnątrz próbował dostać się do środka, na pewno by mu się udało, ale narobiłby przy tym sporo hałasu. To dałoby Wesleyowi czas na przygotowanie się do spotkania z intruzem.

Zaburzało mu w żołądku. No tak, od dawna nie miał nic w ustach. Po krótkim namyśle zdjął z półki w spiżarni puszkę zupy.

187

Roland Storm aż dygotał z wściekłości. Gdy zobaczył Ally na traktorze, popuścił wodze fantazji i wyobraził sobie, że dziewczyna jedzie do niego. Potem, gdy zboczyła z drogi i skierowała się w stronę domu zajmowanego przez obcego, nie wierzył własnym oczom. Czatował od jakiegoś czasu pod tą dziwną chatką, ale ostatnią osobą, którą spodziewał się tu ujrzeć, była Ally.

Gdy weszła do środka, jakby oczekiwała miłego przyjęcia, natychmiast zaczął sobie wyobrażać, co też tych dwoje będzie wyprawiać. Niestety, ten cholerny przybłąda był

znakomicie zbudowany i bardzo przystojny. Storm aż do dzisiaj uważał, że Ally Monroe bardzo różni się od innych kobiet, a w kwestii zasad moralnych korzystnie wybija się na tle otoczenia. Cóż, widocznie był w błędzie. Ostatecznie to nie pierwsza pomyłka, jaka mu się przytrafiła.

Im dłużej stał na drodze, w błocie i w zimnym deszczu, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że Ally i nieznajomy oddają się obrzydliwym, grzesznym igraszkom.

Zaklął szpetnie. Jeżeli ona jest taka hojna, to i on chętnie z tego skorzysta.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wes otworzył puszkę i właśnie przelewał zupę do rondla, gdy mocniejsza struga deszczu, popychana wiatrem, uderzyła z łoskotem o kuchenne okno. Odstawił puszkę i pochylił głowę, popadając w zadumę. W żadnym wypadku nie wolno mu było zlekceważyć przecucia. Ktoś był na zewnątrz, a on powinien sprawdzić, czy intruz stanowi duże zagrożenie. Dlatego dopóki nie przekona się, że Ally Monroe bezpiecznie dotarła do domu, nie odzyska spokoju ducha.

Westchnął zrezygowany, wyłączył palnik i włożył mokre ubrania, w których przyszedł z pracy.

Ciuchy oczywiście przykleiły się do skóry i przez chwilę zdawały się jeszcze bardziej mokre. Poszukał w kieszeni noża sprężynowego i włożył na głowę kapelusz. Wiedział, że musi działać szybko.

Jeszcze raz sprawdził, czy wszystkie drzwi są zamknięte, i wyszedł na zewnątrz przez piwnicę.

189

Powoli zaczął okrążyć teren. Jeśli nawet były tu jakieś ślady, deszcz z pewnością je zmył, lecz Wes znał inne sposoby, jak wytropić intruza. Obrął szlak wśród drzew, a następnie zmienił kierunek, żeby wyjść po drugiej stronie drogi.

W powietrzu przetoczył się ciężki odgłos grzmotu. Wes drgnął i skulił się, ale opanował się, próbując skoncentrować myśli na Ally.

„Oprzyj się o mnie”, powiedziała, a on pozwolił jej wracać samej do domu. Naraziła się na kłopoty, a może nawet niebezpieczeństwo, bo miała zbyt miękkie serce.

Wes spotkał na tym odludziu wroga. Nie wiedział dlaczego, ale wiedział przynajmniej, kto to jest. Nie pozwolił temu człowiekowi skrzywdzić Ally. Jeśli Roland Storm zaplanował jakąś paskudną akcję, by w ten sposób, poprzez Ally, osiągnąć Wesa, to grubo się przeliczył.

Ciężkie krople bębniły o ziemię, co Wesowi natychmiast nasunęło skojarzenie z odgłosami strzelaniny. Otrząsnął się z ponurych wspomnień. Wiedział, że jeśli się mocno skoncentruje,

pokona frustrację. Patrzył na ziemię, szukając śladów butów, na drzewa i krzaki, obok których przechodził, oglądał dokładnie poszycie lasu, wszystko, co potwierdziłoby jego przypuszczenia. Jednak przy tej pogodzie znalezienie jakiegokolwiek tropu wydawało się niemożliwe. Właśnie miał zamiar zrezygnować z poszukiwań, gdy zobaczył wśród liści metaliczny błysk.

Było to kółko z kluczykami samochodowymi.

190

Przyglądał im się przez moment, a potem schował do kieszeni. Znalazł je na drodze prowadzącej do jego domu, ale to jeszcze nie był żaden dowód. Ciekawe, jak długo tu leżały i kto był ich właścicielem. Metal nie zardzewiał ani nie zaśniedział, a to sugerowałoby, że zostały zgubione niedawno. Zaczął schodzić ze wzgórza wzdłuż drogi, przemykając cicho pomiędzy drzewami. Kilka razy wydawało mu się, że słyszy odgłos pracy silnika, ale silny wiatr i deszcz utrudniały rozeznanie. Gdy powoli zaczął dochodzić do wniosku, że wszystko jest w porządku, tylko wyobraźnia spletała mu paskudnego figła, coś poruszyło się między drzewami. Przykucnął i przycisnął się w gęstych zaroślach. Z miejsca, w którym się znajdował, zobaczył wyraźnie plecy człowieka ubranego w ciemną kurtkę z kapturem. Był pewien, że to mężczyzna. A skoro krył się wśród drzew i wyraźnie obserwował drogę, raczej nie wybrał się na niewinną przechadzkę.

Mężczyzna poruszał się w bardzo dziwny, charakterystyczny sposób, z pochylonymi ramionami i rękami zwisającymi luźno wzdłuż boków. Nagle Wes usłyszał rżenie jakiegoś silnika, bez wątpliwości traktora, którym jechała Ally. Czy ugrzęzła w błocie? A może stoczyła się do rowu? Może coś jej się stało? Zapominając o podejrzanym mężczyźnie, wybiegł na drogę.

I wtedy ją zobaczył. Pomimo jej wysiłków, traktor nieustannie ześlizgiwał się z drogi na jeszcze bardziej błotniste pobocze, niebezpiecznie

191

kołysząc się na boki. Wes po raz kolejny zbeształ się w myślach za to, że pozwolił jej wyruszyć w tę podróż. Rozsądny mężczyzna nalegałby, by zaczekała, aż burza ucichnie, ale on widać dawno temu zapomniał, jak postępują normalni, dobrze wychowani ludzie. Zaczął biec w kierunku Ally, gdy nagle mężczyzna z lasu pojawił się na skraju drogi, około pięćdziesięciu metrów przed nim. Wesley zobaczył, że tamten podniósł rękę, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę Ally. Gdy ruszył w jej stronę, Wes przestraszył się nie na żarty. Nie wiedział, jakie tamten ma zamiary, czy chce pomóc dziewczynie, czy może zamierza ją skrzywdzić.

Gdzieś niedaleko rozległ się huk piorunu. Wes skrzywił się i z trudem powstrzymał przed padnięciem na ziemię.

To nie jest bomba, weź się w garść, powtarzał sobie gorączkowo w myślach, próbując rozluźnić kurczowo zaciśnięte dłonie i opanować szcęknięcie zębów.

Mężczyzna biegł cały czas i był coraz bliżej Ally. Wes patrzył na to jak zamurowany. Nagle koła pojazdu złapały przyczepność i traktor ruszył z miejsca. Prowadząc go ostrożnie, tak żeby nie wypadł z głębokich kolein, Ally dodała gazu i ruszyła w dół drogi.

Odległość pomiędzy Ally a mężczyzną stale się powiększała. W pewnym momencie mężczyzna pośliznął się i upadł na twarz. Gdy się podniósł, traktora nie było w zasięgu wzroku.

192

Zadowolony, że Ally jest chwilowo bezpieczna, Wes skupił uwagę na mężczyźnie. Gdy podnosił się z błota, Wesleyowi udało się dojrzeć jego twarz.

Nie był zaskoczony swoim odkryciem. Tak jak przewidywał, nieznajomym okazał się Roland Storm. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości, z ust wydobywał się potok siarczastych przekleństw. Pogroził zaciśniętą pięścią niebu, po czym, ślizgając się i potykając na pełnej wybojów drodze, ruszył w stronę pobliskich drzew. Wesley początkowo postanowił się ukryć, ale po namyśle zmienił zamiar.

Przy każdym kroku woda chlupotała mu w butach. Od stóp do głów był pokryty błotem. Znowu nie udało mu się dopaść Ally, ale nie zamierzał rezygnować. Teraz, gdy odkrył jej prawdziwą naturę, nie będzie dłużej udawać miłego i nieśmiałego adoratora. Pora pokazać, kim jest i o co mu chodzi.

Ze złością wytarł ręce o przód marynarki i pochyliwszy głowę, żeby choć trochę osłonić twarz przed zacinającym deszczem, podjął wędrówkę do miejsca, gdzie zostawił ciężarówkę. Nie wiedział, że Wesley idzie za nim, dopóki nagle nie zobaczył go tuż przed sobą. Stłumił okrzyk zaskoczenia i gorzko pożałował, że nie ma przy sobie broni.

- Pan mnie śledził - powiedział oskarżającym tonem.

193

- A ty śledziłeś Ally.

Roland skrzywił się. Nie lubił, gdy go atakowano i musiał się bronić, nie lubił tracić przewagi, wołał występować w roli napastnika.

- Śledziłem? Kogo? - zapytał niewinnym tonem i zdobył się na uśmiech.

W ręku Wesleya błysnęło ostrze noża, tego samego, którym niedawno powitał Rolanda na progu swego domu. W tym momencie Roland Storm podziękował niebiosom za obfity deszcz, bo dzięki temu nie było widać, że spod nogawki jego spodni wycieka stróżka moczu.

- Zostaw ją w spokoju - powiedział Wes tak spokojnym tonem, że Storm zaczął się trząść.

- Niczego nie zrobiłem - wybelkotał, cofając się powoli. - To jest wolny kraj, i...

Wesley przerzucił nóż z lewej ręki do prawej.

- Trzymaj się od niej z daleka.

Przerażony Roland skupił wzrok na ostrzu noża, na którym rozpryskiwały się krople wody.

Wreszcie odważył się spojrzeć Wesleyowi w oczy.

- Kim jesteś? - spytał.

- Jeśli spadnie jej z głowy choćby jeden włos, możesz pożegnać się z życiem.

Słowa Wesa ogłuszyły Rolanda niczym grad

ciosów.

- Ktoś cię tutaj przysłał, żeby mnie szpiegować, prawda? - burknął zgryźliwie, cofając się kilka kroków.

- Słyszałeś, co powiedziałem - rzekł Wes

194

z zabójczą słodyczą w głosie i wskazał na szczyt wzgórza. - A teraz zabieraj się stąd, zanim się rozmyślę.

Roland zaczął biec, nie oglądając się za siebie. Trząśł się jeszcze wtedy, gdy już siedział bezpiecznie w kabinie swojej ciężarówki. Sięgnął do kieszeni po kluczyki, ale, ku narastającemu przerażeniu, jego palce natrafiły na próżnię.

— Niech to szlag!

Zaczął gorączkowo przeszukiwać kieszenie kurtki i spodni, ale kluczyków nigdzie nie było.

Dokładnie przeanalizował drogę, którą przebył, pomyślał o szaleńcu z nożem i doszedł do wniosku, że na razie zrezygnuje z poszukiwań kluczyków. Wysiadł więc z ciężarówki i puścił się biegiem w kierunku domu. Kiedy w końcu dotarł na miejsce, zamknął drzwi na klucz i zaczął przemierzać pokój wielkimi krokami, próbując ogarnąć myślami wszystko, co się wydarzyło.

Obecność tego obcego mężczyzny była zagrożeniem dla wszystkiego, na czym mu zależało. Im dłużej chodził, tym bardziej się denerwował. Rozmyślał o latach, kiedy wykorzystywano go w Lackey Laboratories. O latach pełnych frustracji i niepowodzeń. Potem udało mu się opracować formułę narkotyku i zyskał szansę na odmianę losu. Dooley Brown mógł pokrzyżować jego wspaniałe plany, dlatego należało go unieszkodliwić. Na szczęście to

zadanie okazało się wyjątkowo proste. A teraz zjawiał się przeklęty przybłęda, który zagrażał nie tylko jego planom,

195

lecz również życiu. Trudno, upora się z tym problemem. Gdy spotkają się następnym razem, będzie znacznie lepiej przygotowany.

A co się tyczy Ally Monroe, Roland postanowił rozprawić się z nią we właściwym czasie. Nie teraz, teraz musiał skupić się na pracy. Gdy tylko poprawi się pogoda, Danny i Porter Monroe zgłoszą się do pracy. Oni zajmą się zbiorami, a on odnowi kontakty, które zdążył nawiązać w mieście. Kiedy jego cudowny narkotyk pojawi się na rynku, nic i nikt nie powstrzyma lawiny przerażających zdarzeń.

Ally nareszcie wjechała traktorem do stodoły. Wciąż jeszcze trzęsła się jak osika. Jazda powrotna nie była łatwa, ale to nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się w chacie wuja Doo. Wesley Holden dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie zbyt bliskości. Powolnym, cięższym niż zazwyczaj krokiem podeszła do węża ogrodowego, rozwinęła go i odkręciła wodę, by zmyć błoto z opon traktora. Porter nie miałby nic przeciwko temu, że posłużyła się jego pojazdem, ale wpadłby w złość, gdyby nie zostawiła wszystkiego w idealnym porządku.

Kiedy skończyła, przykryła pojazd brezentem, tak jak robił to Porter, po czym znów odkręciła wodę i spłukała błoto ze spodni i butów. Zwinęła starannie wąż i z ociąganiem udała się do domu.

Gdy była dzieckiem, uwielbiała bawić się w stodole, zawsze pełnej kotów. To było jej

196

zaczarowane miejsce, kryjówka i azyl. Dokazywała na belach siana, a bracia przemycali dla niej z domu ciastka i butelki z zimnymi napojami, pomimo ostrzeżeń mamy, że po takiej uczcie mała nie tknie obiadu. Były to cudowne i beztrudne lata.

Ally spojrzała w kierunku strychu i zamyśliła się. Jej marzenia, tak samo jak tamten szczęśliwy czas, przeminęły. Uważała się za kobietę nie pierwszej młodości, skazaną na życie na górskim odludziu. Wyglądało na to, że nigdy nie wyjdzie za mąż, lecz dawno przestała się tym przejmować. W miarę dorastania przyzwyczajała się coraz bardziej do samotności.

Nie zwracając uwagi na deszcz, który zalewał jej twarz, wciąż stała przed domem, wahając się, czy wejść do środka.

Wes obserwował, jak Ally wychodzi ze stodoły. Szła wolno, z pochyloną głową. Woda w kałużach sięgała jej po kostki, ale Ally zdawała się na to nie zważać. Cała jej postać wyrażała

rezygnację i apatię, którą dostrzegł u niej po raz pierwszy. Było mu przykro, winił siebie za taki stan rzeczy, dręczyły go wyrzuty sumienia.

Jednak pojawił się problem o wiele poważniejszy niż zranione uczucia Ally. Wes nie wiedział, co zrobiłby Roland Storm, gdyby udało mu się dopaść Ally, lecz miał złe przecucia. Wyczytał to z oczu tego drania, poznawał po drzeniu kącików jego ust. Uznał Storma za nie-

197

obliczalnego, niezrównoważonego emocjonalnie człowieka.

Wes ciężko westchnął. Przyganiał kocioł garnkowi. Znał dobrze swoje wady i wiedział, jak trudno było ostatnio dojść z nim do ładu. Poza tym, kiedy opuścił niezbyt gościnny apartament swojego przyrodniego brata, ostatnią rzeczą, o jakiej marzył, było jakiegokolwiek emocjonalne zaangażowanie. Nie chciał się nikim opiekować, nie chciał ponosić odpowiedzialności za drugiego człowieka. Był taki czas, że nie zależało mu na kolejnym oddechu. Ale wszystko zmieniło się z powodu jednej kobiety, która, kierowana odruchem serca, użyła mu schronienia.

Ally potknęła się, ale udało jej się złapać równowagę. Kiedy zostawiła na werandzie pelerynę i buty, zamknęła za sobą drzwi domu i zapaliła światło, Wesley nareszcie odetchnął swobodniej. Pomyślał, że jest bezpieczna, ale niemal natychmiast zganił się za głupotę i brak wyobraźni. Nie zaśnie dzisiejszej nocy, jeśli nie ostrzeże jej przed Rolandem Stormem. Nie będzie w stanie zapewnić jej ochrony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w dodatku Ally spędzała większość czasu w domu, zazwyczaj samotnie. Była więc znakomitym i łatwym celem dla tego

szaleńca.

Nie namyślając się dłużej, podszedł do drzwi

i zapukał.

Ally właśnie zdejmowała przemoczone rzeczy,

198

gdy usłyszała kroki na werandzie. Przestraszona sięgnęła po jedną z wyprasowanych wcześniej koszul ojca. Ledwo się ubrała, ktoś zapukał do drzwi. Na szczęście koszula ojca sięgała jej kolan i równie dobrze mogła uchodzić za sukienkę.

Gdy zobaczyła na ganku Wesleya, serce podskoczyło jej do gardła. Odruchowo poprawiła koszulę, po czym odezwała się cichym, niepewnym głosem:

- O co chodzi?

- To ja, Wes. Muszę z tobą porozmawiać

- odezwał się pośpiesznie.

- Nie powinieneś wychodzić z domu przy takiej pogodzie. Jeszcze nie doszedłeś do siebie

- odparła Ally.

- Bardziej męczy mnie brak zdrowego rozsądku niż gorączka - wyrzucił z siebie.

Ally roześmiała się i otworzyła drzwi. Zaskoczył go widok jej gołych nóg i stóp. Stał nierachomo, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

- No to wchodzisz czy nie? - zapytała.

- Pobrudzę podłogę.

Spojrzała na rozlewającą się kałużę wody wokół jego stóp i uśmiechnęła się.

- Pobrudzisz.

- Przepraszam - zaśmiał się w odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że to szczere przeprosiny

- zażartowała. - Przypuszczam, że skoro przyszedłeś tu podczas takiej ulewy, musisz mieć bardzo ważny powód. Co się stało? Pół godziny temu niemal wyprosiłeś mnie z domu.

199

Woda z mokrych włosów ściekała jej na koszulę. Wilgotny materiał przylgnął do ciała niczym druga skóra. Krażę kształty AUy przyprawiły Wesa o zawrót głowy. Nagle boleśnie zapragnął poszukać ukojenia w kobiecych ramionach. Już po chwili zawstydził się. Gdy myślał w ten sposób o innej kobiecie, to jakby zdradzał Margie. Ode-gnął te niebezpieczne myśli i wyjawiał Ally powód swej wizyty.

- Znasz Rolanda Storma?

Pytanie padło znienacka, ale Ally nie wydawała się zbytnio zdziwiona.

- Tak, ale tylko z widzenia. Wiem, jak wygląda i gdzie mieszka. Moi bracia wkrótce będą u niego pracować.

Wesleyowi stanęło przed oczami laboratorium, martwe zwierzęta w lesie i pokrojone podczas sekcji szczury.

- Co to za praca?

- Wynajął ich do zebrania jakichś ziół.

- Co to za ziola? - dociekał Wesley.

Ally już dawno martwiła się tą sprawą, a pytania Wesa jeszcze dołały oliwy do ognia.

- Podobno jakieś chińskie, tak twierdzi Storm. Zaproponował moim braciom po pięć tysięcy dolarów na głowę, o ile wywiążą się z umowy.

Wes od początku podejrzewał typa o jakieś brudne, sprzeczne z prawem interesy, a informacje uzyskane od Ally tylko utwierdziły go w tym przekonaniu.

Ally zmarszczyła czoło.

200

- Skąd to nagłe zainteresowanie Rolandem Stormem?
- Przyłapałem go, jak cię śledził. Coś mi się wydaje, że to nie było pierwszy raz. Nigdy nie zauważyłaś?

Ally pobladła, a Wes pożałował swej obceso-wości.

- Co masz na myśli? Zachowywał się jak... podglądacz?

Skinął głową.

- Kiedy? - Starła się opanować drżenie rąk, a Wesley był pełen uznania dla jej spokoju.
- Dzisiaj. Patrzyłem, jak odjeżdżasz i w pewnym momencie wyczułem, że jesteśmy obserwowani. Wymknąłem się z domu i szybko przekonałem się, że tak jest w istocie. Prawdopodobnie Storm najpierw długo krążył wokół domu, a kiedy wyszłaś, natychmiast ruszył twoim śladem. Z jego zachowania wnioskuję, że chodziło mu właśnie o ciebie, a nie o mnie.

Ally zachwiała się z wrażenia, na szczęście Wes podtrzymał ją, i nie upadła. W tym momencie dotarło do niego, że Ally ma na sobie jedynie tę wilgotną i niezbyt długą koszulę. Zmieszany, próbował jak najprędzej odwrócić wzrok.

Ally zaczęła płakać, ale był to przejaw nie tyle żalu, co narastającej złości.

- To takie żalosne - powiedziała. Wes zamrugał ze zdziwienia.
- Co masz na myśli?

201

Wysunęła się z jego ramion, pragnąc zachować dystans.

- Nie mogę w to uwierzyć. Choć jasno dałeś mi do zrozumienia, co o mnie myślisz, jesteś pierwszym mężczyzną, który wywarł na mnie tak duże wrażenie. Czuję się okropnie, bo zrobiłam z siebie idiotkę.

Gdy zobaczyła dziwną minę Wesleya, dodała pośpiesznie:

- Och, nie musisz się obawiać. Nie będę ci się narzucać ani błagać, byś spojrzał na mnie nieco przychylniejszym okiem. Jakby tego było mało, mój ojciec próbuje mnie wyswatać z pewnym nieudacznikiem, ponieważ myśli, że nikt inny mnie nie zechce. Freddie Joe jest podłym, leniwym człowiekiem. Wszyscy wiedzą, że znęcał się nad żoną. Zmarła w zeszłym roku, a Freddie Joe został wdowcem z trójką dzieci. Ponieważ jestem kulawą starą panną, większość zapewne uznałaby, że małżeństwo z nim to najlepsza rzecz, jaka może mi się przytrafić.

Otarła łzy i uniosła ręce, coraz bardziej zła i zdenerwowana.

- Teraz ty mówisz mi, że depcze mi po piętach jeszcze jeden dziwak i nieudacznik. Cóż, mój ojciec nie miał racji. Jednak znalazł się kolejny mężczyzna, któremu wpadłam w oko. Pan Podglądacz. Może powinnam być mu wdzięczna za okazane zainteresowanie? Storm mnie śledzi, ale to pestka w porównaniu z perspektywą, że miała-

202

bym poślubić takiego zdegenerowanego łajdaka jak Freddie Joe, prawda?

Wes poczuł się, jakby ktoś zniecka zdzielił go pięścią w splot słoneczny. Nie był w stanie zdecydować, co bardziej go poruszyło. Czy wizja Ally, dzielącej małżeńskie łóżce z jakimś prymitywnym łajdakiem, czy też odkrycie, że śledził ją osobnik pokroju Storma, z pewnością szalony i niebezpieczny. A może najbardziej wyprowadził go z równowagi fakt, że Ally wyjawiała mu, co do niego czuje, a on nie wiedział, jak zareagować? Jakkolwiek było, serce mu się krajało na widok jej zapłakanej buzi.

- Bardzo cię przepraszam - wykrztusił zdesperowany.

- Nie przepraszaj - odparła Ally, po czym podniosła głowę, nieświadoma, że wygląda to tak, jakby przygotowywała się do przyjęcia kolejnego ciosu.

- Nienawidzę, gdy ktoś okazuje mi litość. Wesley zmrużył oczy.

- Ja też, dlatego nigdy nie robię niczego z litości - warknął. - Chciałem tylko, żebyś była świadoma zagrożenia i zachowała szczególną ostrożność.

Ally westchnęła.

- Oczywiście, powinnam podziękować ci za ostrzeżenie. Potraktuję je z należytą powagą. Przepraszam, że się uniosłam. Moja złość nie była wymierzona w ciebie, po prostu wściekłam się na to moje żałosne i smutne życie.

- Jesteś piękna - powiedział miękko. - Tutejsi

203

mężczyźni muszą być głupi i ślepi, skoro tego nie dostrzegają.

Ally zareagowała zdziwieniem pomieszanym ze złością. Nie miała ochoty wysłuchiwać frazesów.

- No cóż, bardzo dziękuję za komplement, ale tutejsi mężczyźni są zbyt ostrożni, wręcz bojaźliwi, żeby ożenić się z kobietą, która może urodzić im dziecko z wadą genetyczną.

Słowo „dziecko” podziało na Wesleya jak cios poniżej pasa. Usiłował złapać oddech, ale z jego piersi wydobył się dźwięk podobny do szlochu. To było ponad jego siły. Spojrzał na Ally i gwałtownie się odwrócił.

W tym samym momencie Ally zorientowała się, że powiedziała coś bardzo nie na miejscu, i podbiegła do niego.

- Co się stało? Co takiego powiedziałam? Jeśli cię w jakiś sposób uraziłam, to bardzo przepraszam. Nie chciałam...

Wesleyem wstrząsnął dreszcz. Pod wpływem impulsu Ally objęła go i przytuliła głowę do jego pleców.

- Proszę, wybacz mi.

W milczeniu, które zapadło, Wes zaczął powoli dochodzić do siebie. Uświadomił sobie, że nie tylko on cierpi. Jego ból był świeży, podczas gdy całe życie Ally to pasmo rozczarowań i wstydu, na które w żadnym wypadku nie zasługiwała. Gdy rozluźniła uścisk rąk, obrócił się do niej i mocno przyciągnął ją do siebie, rozkoszując się miękkością jej ciała.

204

mężczyźni muszą być głupi i ślepi, skoro tego nie dostrzegają.

Ally zareagowała zdziwieniem pomieszanym ze złością. Nie miała ochoty wysłuchiwać frazesów.

- No cóż, bardzo dziękuję za komplement, ale tutejsi mężczyźni są zbyt ostrożni, wręcz bojaźliwi, żeby ożenić się z kobietą, która może urodzić im dziecko z wadą genetyczną.

Słowo „dziecko” podziało na Wesleya jak cios poniżej pasa. Usiłował złapać oddech, ale z jego piersi wydobył się dźwięk podobny do szlochu. To było ponad jego siły. Spojrzał na Ally i gwałtownie się odwrócił.

W tym samym momencie Ally zorientowała się, że powiedziała coś bardzo nie na miejscu, i podbiegła do niego.

— Co się stało? Co takiego powiedziałam? Jeśli cię w jakiś sposób uraziłam, to bardzo przepraszam. Nie chciałam...

Wesleyem wstrząsnął dreszcz. Pod wpływem impulsu Ally objęła go i przytuliła głowę do jego pleców.

- Proszę, wybacz mi.

W milczeniu, które zapadło, Wes zaczął powoli dochodzić do siebie. Uświadomił sobie, że nie tylko on cierpi. Jego ból był świeży, podczas gdy całe życie Ally to pasmo rozczarowań i wstydu, na które w żadnym wypadku nie zasługiwała. Gdy rozluźniła uścisk rąk, obrócił się do niej i mocno przyciągnął ją do siebie, rozkoszując się miękkością jej ciała.

204

- Byłem żonaty. Mieliśmy synka.

Ally znieruchomiała. To ona była winna zaistniałej sytuacji. Zbliżyła się zanadto do mężczyzny, którego w ogóle nie знаła. Może i wykazała się brakiem taktu, ale musiała i

chciała wiedzieć, dlaczego jest taki smutny. Teraz jednak bała się usłyszeć odpowiedź. Zamknęła oczy i czekała w milczeniu.

Wes przytulił policzek do jej włosów i zaczął mówić.

- Margaret... Moja żona miała na imię Mar-garet. Pokochałem ją, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Pobraliśmy się, kiedy ukończyłem szkolenie wojskowe.

Ally czuła, jak jego ręce obejmują ją coraz mocniej i wiedziała, że Wes błędzi myślami daleko stąd. Jest w innym miejscu i czasie, z zupełnie inną kobietą. Bolało ją to, ale przecież sama wpakowała się w kłopoty, sama do tego parła.

Wes mówił dalej:

- Szybko przywykła do roli żony żołnierza i świetnie sobie radziła, dopóki nie poszedłem na wojnę. Była śmiertelnie przerażona, ale próbowała tego nie okazywać. Ja jednak wiedziałem swoje. Nasz synek był wtedy taki malutki. Rozumiałem, czego ona się boi. Nie chciała, by nasz syn dorastał bez ojca, nie chciała zostać młodą wdową. Tylko że to nie ja zginąłem. Jeśli Bóg istnieje, ma okrutne poczucie humoru.

- Bóg nie zabija ludzi - powiedziała poważnie. - Robią to inni ludzie.

205

Wesowi nagle zabrakło tchu. Odczuwał potrzebę obarczenia kogoś winą za te wszystkie okropności, których doznał. W bezsilnej złości bluźnił i złorzeczył Bogu, jednak Ally przedstawiła mu zupełnie inny punkt widzenia.

- Gdzie byłaś, kiedy cię potrzebowałem? - wyszeptał bardziej do siebie niż do niej, ale ona go usłyszała. Odchyliła się, żeby widzieć jego twarz.

- Byłam tu, czekałam na twoje przyjscie - odpowiedziała również szeptem.

Uniósł ją i przycisnął do siebie tak mocno, że prawie nie mogła złapać tchu. Kiedy pochylił głowę i jego usta napotkały jej wargi, świat zawirował jej przed oczami. Był to pocałunek, o jakim marzyła całe życie, a zarazem najgorszy, jaki mógł jej się przytrafić. Wesley naprawdę całował ją, lecz myślał o kobiecie, która była jego żoną. Nie był takim mężczyzną, na jakiego czekała, ale nie umiała go odepchnąć. Była mu wdzięczna nawet za te nędzne okruchy czułości.

Kiedy w końcu ją puścił, oboje ciężko oddychali i oboje drżeli. Wystarczyło zrobić jeden mały krok, by ta pieszczota przerodziła się w coś więcej. Jednak nawet Ally nie była na tyle zdesperowana, żeby dzielić łóżko nie tylko z Wesem, ale zarazem z duchem innej kobiety. Zakryła rękami twarz i otarła kciukiem drżące wargi.

- Co się z nimi stało, Wes? Westchnął głęboko i zacisnął powieki.

206

- Pamiętasz zamach bombowy w Fort Benning w zeszłym roku?

- Tak. To było okropne. Media mówiły o tym przez kilka miesięcy. - Zorientowała się, do czego zmierza Wes i na chwilę zamarła. - Byli tam? - szepnęła.

Kiedy spojrzała w jego oczy, zobaczyła, że są pełne łez. Bez słowa skinął głową.

Po twarzy Ally przemknął grymas bólu.

- Och, Wes, tak mi przykro.

- Tak, wiem.

Objęła go znowu, lecz tym razem był to jedynie przyjacielski gest, który miał mu dodać otuchy. W końcu uwolnił się z jej uścisku.

- Nie lekceważ Rolanda Storma.

- Dobrze - odpowiedziała posłusznie. - Obiecuję.

Wyraźnie się odprężył.

- Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, stawię się na każde wezwanie.

- Wiesz co? - Właśnie wpadł jej do głowy frapujący pomysł.

- Co?

- Przyjdź na kolację w piątek wieczór.

- Dobrze, ale dlaczego?

- Będziesz miał jeszcze jedną okazję, by spróbować moich wypieków, a poza tym chciałabym, żebyś ochronił mnie przed Freddie.

- Przychodzi do was na kolację? - zdumiał się Wesley.

- Pomimo moich sprzeciwów i na specjalne

207

życzenie mojego ojca. W piątek odwiedzi nas szanowny Freddie i jego troje dzieci.

Wes nie rozmawiał z żadnym dzieckiem od śmierci Mikeya. Nie wiedział, jak sobie poradzi i czy będzie umiał zachować spokój. Jednak był winien Ally przysługę, bo ta dziewczyna zrobiła dla niego dużo dobrego.

- Na pewno chcesz, żebym przyszedł?

- Tak. Bardzo chcę. Nie zamierzam wiązać się z Freddie, jednak ojciec postawił mnie w sytuacji bez wyjścia.

- W takim razie będę - powiedział Wesley. - Ale teraz lepiej już pójdę, zanim twój ojciec wróci do domu. Nie byłby zadowolony z mojej obecności. A gdyby jeszcze zobaczył cię w tej koszuli...

Ally zarumieniła się.

Wes obrzucił ją pożegnaniem czułym spojrzeniem i otworzył drzwi.

- Nie zapomnij zamknąć - rzucił jeszcze na odchodnym.

Kiedy tylko wyszedł, Ally wrzuciła do pralki swoje przemoczone ubrania i koszulę ojca. Gdy wróciła z pralni, starannie zamknęła frontowe drzwi na klucz. Mięso wciąż czekało na kuchence, a wyjęty z piekarnika placek dawno ostygł. Widok jedzenia przyprawił ją o mdłości. Krzątała się po domu, zapalała i gasiła światła w pokojach. Chłód klimatyzowanych pomieszczeń wywoływał gęsią skórę. Poczula przemożną tęsknotę za czymś, czego nawet nie umiała nazwać. Nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy chodzi po domu nago.

208

Ostatnio w jej życiu wreszcie zaczęło się coś dziać, a ona zmieniała się pod wpływem tych wydarzeń. Najpierw ojciec postanowił zmusić ją do małżeństwa z mężczyzną, którego się bała i który wzbudzał w niej obrzydzenie. Zaraz potem dowiedziała się, że niebezpieczny szaleniec śledzi każdy jej krok. W dodatku pojawił się Wes Hol-den, budząc w niej uczucia, jakich nie doznała nigdy przedtem. Najbardziej przykra była świadomość, że bez względu na to, w jakim kierunku potoczą się wydarzenia, ona i tak na zawsze pozostanie godną litości, ułomną i samotną starą panną.

Weszła do łazienki i wzięła prysznic. Stała pod strumieniem wody tak długo, aż poczuła mrowienie na skórze. To przyniosło ulgę jej sercu i duszy, więc zaczęła krzątać się po domu. Pozmywała naczynia, wyszorowała blaty i starła mokre ślady stóp z podłogi. Kiedy już wszystko zrobiła, postanowiła położyć się i odpocząć. Próbowwała nie myśleć o tym, co powiedział jej Wesley, gdy odwiedziła go dzisiaj w domku wujka Dooleya. Jednak im bardziej starała się zapomnieć, tym wyraźniej słyszała jego słowa.

„Uważam, że pani nie powinna tu przychodzić.” - Boże, dopomóż - szepnęła. Wsunęła się głębiej pod kołdrę i przymknęła oczy.

Jakiś czas później Gideon wrócił wreszcie do domu. Burza ucichła, drogi były pełne błota, obmyte liście drzew wyglądały jak pokryte wos-

209

kiem, trawa aż błyszczała. Wysiadł z ciężarówki, z lubością wciągnął chłodne, rześkie powietrze i przeciągnął się leniwie. Jak dobrze znaleźć się w domu.

Pete był już po operacji i jeżeli nie pojawią się żadne komplikacje, szybko wróci do zdrowia. Gideon uzyskał szczegółowe informacje o wypadku i niecierpliwie chciał podzielić się nimi z dziećmi, lecz nagle przypomniał sobie, że Danny i Porter pozostali na noc w Charlestonie. Chociaż Ally zostawiła tu i ówdzie zapalone światło, Gideon wiedział, że córka na niego nie czeka. Odkąd zaczął ją swatać z Freddie, dziewczyna była na niego wściekła, w najlepszym wypadku odnosiła się z chłodną obojętnością. Gideon nie należał do mężczyzn, którzy łatwo

przyznają się do błędów, toteż postanowił doprowadzić całą rzecz do końca. Jeśli zaplanował, że na piątkowej kolacji pojawi się Freddie Joe i trójka jego dzieci, to tak właśnie będzie. Dzieci sprawią, że Ally spojrzy na sprawę inaczej.

Zamknął drzwi na klucz, sprawdził okna, potem zajrzał do pokoju córki. Choć było lato, spała przykryta po samą brodę. Gideon uśmiechnął się. Zawsze zasypiała taka opatulona, bez względu na to, czy było zimno, czy gorąco, czy padał deszcz, czy świeciło słońce. A więc wszystko dobrze, nic się nie zmieniło.

Po chwili zgasło ostatnie światło i niewielki dom pogrążył się w ciemnościach. Buddy zwinął się w kłębek na werandzie w pobliżu frontowych

210

drzwi i spał spokojnie. Nie wyczuł niebezpieczeństwa zbliżającego się od strony gór.

Burza ucichła i słońce zachodziło niespiesznie, jakby napawając się pięknem tej krainy. Wes nie udał się prosto do domu, postanowił najpierw rozejrzeć się trochę po okolicy. Dopisało mu szczęście i wkrótce natknął się na ciężarówkę Storma. Samochód był otwarty, Wes bez przeszkód wsiadł do środka. Gdy okazało się, że znalezione w lesie kluczyki pasują do stacyjki, utwierdził się we wcześniejszych podejrzeniach. Pytanie tylko, czy Storm obserwował jego, czy Ally? Doszedł do wniosku, że chodzi mu o nich oboje. Rozumiał, dlaczego interesuje się Ally. Była przecież śliczną i wolną kobietą.

Ale czego chce ode mnie? - zastanawiał się, marszcząc brwi.

Nie znajdował żadnej sensownej odpowiedzi na to pytanie. Dlaczego pojawienie się Wesa tak bardzo zaniepokoiło Rolanda Storma? Należało to jak najszybciej wyjaśnić.

Spojrzał na drogę, a potem na niebo, wciąż zachmurzone po niedawnej burzy. Wkrótce zapadnie ciemność, najwyższa pora wracać do domu.

Cisnął kluczyki na siedzenie ciężarówki, zablokował zamki i zatrzasnął drzwi. Mimo że szedł szybko, zanim dotarł do domu, zrobiło się ciemno. Otworzył drzwi i natychmiast po wejściu zamknął je na klucz. Zapalił światła, zrzucił buty i zdjął mokre ubranie. Teraz marzył tylko o ciepłym

211

prysznicu. Wreszcie poczuł na ciele kojący strumień wody. Po raz pierwszy nie przeszkadzało mu zbyt nisko zamontowane sitko ani zbyt małe wymiary pomieszczenia. Po prostu rozkoszował się przyjemnym zakończeniem niezwykle męczącego dnia.

Odświeżony włożył czyste spodnie i udał się do kuchni. Rondel z zupą wciąż stał tam, gdzie go zostawił. Zapalił palnik. Czekając, aż zupa się podgrzeje, zrobił sobie kanapkę z szynką, wyjął z lodówki butelkę piwa i postawił to wszystko na stole. Zamieszał zupę, wszedł do

pokoju i zaczął przeglądać półki. Jego uwagę przykuła książka, której nie czytał od lat. Nie miała okładki, pozłacane brzegi stron dawno wyblakły, ale nazwisko autora i tytuł pozostały widoczne.

John Steinbeck, „Grona gniewu.”

Może nie była to najbardziej optymistyczna książka, jaką czytał, ale w tej chwili idealnie pasowała do jego nastroju. Wziął ją ze sobą do kuchni, położył przed talerzem, do którego następnie wlał zupę.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów napawał się panującym wokół spokojem. Był głodny, ale teraz nie musiał się już śpieszyć.

Podczas szkolenia nauczono go jak najlepiej wykorzystywać każdą nadarzącą się okazję do wypoczynku i relaksu. Wesley pozwolił sobie zatem na chwilę odprężenia i przymknął oczy. Czuł miły zapach zupy pomidorowej i ostry zapach musztardy, którą posmarował plasterki szyn-

212

ki na kanapce. Wdychał zapach świeżego chleba i zapach piwa. Wyczuwał też zapach swoich mokrych ubrań i liści, które przykleiły się do podeszwy jego butów.

Słyszał krople wody spadające do zlewu z nie-dokręconego kranu. Z zewnątrz dobiegał go szum drzew, leciutki świst wiatru i szemranie wody spływającej ciurkiem z krawędzi dachu.

To było naprawdę bezpieczne miejsce, zapewniające wygodne schronienie. Zupełnie bez ostrzeżenia w jego piersi zapłonął potworny, trudny do zniesienia ból. On nadal żył, a jego rodzina była martwa.

Chwytał powietrze jak wyrzucona na piasek ryba, nagle otrząsnął się, wziął łyżkę i zaczął jeść. Skurcze żołądka natychmiast ustąpiły. Jadł, łyżka za łyżką, jak gdyby chciał się utwierdzić w przekonaniu, że nadal jest w stanie przełykać.

Otworzył książkę i zaczął czytać. Od czasu do czasu sięgał po kanapkę lub pociągał łyk piwa. Wreszcie odłożył lekturę na bok, pozmywał naczynia i skierował się w stronę łóżka. Pogasił światła i przysunął budzik, żeby mieć go w zasięgu ręki. Właśnie zamierzał się położyć, gdy coś go wyraźnie zaniepokoiło.

Wstał i przeszedł się po domu pogrążonym w ciemności, zatrzymując się przy każdym oknie. Upewnił się, że wszystkie drzwi są pozamykane na klucz i pozasuwane na zasuwki. W domu był bezpieczny, jednak na zewnątrz czaiło się niemal namacalne zło.

213

Dla pewności wyciągnął jeszcze z kieszeni spodni nóż i włożył go pod poduszkę. Położył się i zaczął zapadać w drzemkę, gdy tknęło go przecucie, że zapomniał o czymś niesłychanie

ważnym. Przewrócił się na bok, sięgnął po budzik i nastawił go na godzinę szóstą rano, po czym znów opatulił się kołdrą.

Śniło mu się, że stoi na końcu długiej drogi i patrzy na żonę i synka, spacerujących w oddali. Wołał do nich raz za razem, ale oni tylko odwracali się, machali mu ręką i oddalali się coraz bardziej. Zaczął płakać, a wtedy ktoś wziął go za rękę i powiedział, że już dłużej nie będzie sam. Tą osobą była Ally.

Obudził się z twarzą mokrą od łez.

- Ach, Boże... Jeśli istniejesz, pozwól mi zrozumieć dlaczego.

- Jeszcze nie teraz.

Wes westchnął. Ten głos był tak donośny i wyraźny, że odbił się echem w jego głowie.

- Nie chcę tu być - powiedział cicho.

- Nieważne, czego chcesz. Ważne jest to, co musisz zrobić.

Przez mózg Wesleya przemknęło, że albo właśnie objawił mu się Bóg, albo postradał zmysły.

- Nie wierzę w Ciebie.

- W porządku, synu. Ale ja wierzę w ciebie. Wes nakrył głowę poduszką.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ally od wczesnego rana zrywała pomidory w ogrodzie, by zdążyć przed południowym skwarem. Jutro miała się odbyć kolacja, na którą został zaproszony Freddie Joe. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wszyscy zareagują na widok Wesleya. Czuła się trochę winna, że postawiła go w niezręcznej sytuacji, ale przecież Wes wychodził cało z o wiele gorszych opresji.

Buddy chodził za nią pośród grządek, węsząc zapamiętałe i liżąc od czasu do czasu jej rękę, zwłaszcza gdy zbierała dojrzałe warzywa. Co jakiś czas poklepywała go delikatnie, choć nie ułatwiał jej pracy.

- Rusz się, piesku - powiedziała, lekko go popychając. - Nigdy nie skończę, jeśli będziesz mi przeszkadzać.

Buddy popatrzył na nią i zanim zdążyła się cofnąć, polizał ją po twarzy.

- Buddy, przestań.

Śmiejąc się, wytarła rękawem wilgotną twarz.

215

Pies wydawał się zdziwiony jej zachowaniem i zupełnie nie rozumiał, dlaczego jego pani nie reaguje bardziej żywiołowo na jawną pieszczotę. Ally ze śmiechem poklepała go po łbie i odwróciła się. Zauważyła Wesleya rażno krocącego drogą do miasta.

Dostrzegł ją i radośnie pomachał do niej ręką.

- Nie zapomnij o jutrzejszym wieczorze! - zawołała.

Pokiwał głową i uniósł kciuk.

To krótkie spotkanie wystarczyło, by wprawić ją w doskonały nastrój.

Przez cały ostatni tydzień padały deszcze. Wes-ley źle sypiał, był nieustannie zmęczony i często budził się mokry od łez, czego po prostu nienawidził. Przedtem nigdy nie płakał. Ojciec trzymał go krótko, potem wstąpił do woj ska. Potrafił zachować zimną krew w każdych warunkach, nauczył się nie okazywać uczuć. Przez większą część dnia udawało mu się panować nad emocjami, ale w nocy, kiedy był sam, przychodziły chwile słabości. Niemal na każdym kroku coś przypominało mu Mikeya, uzmysławiało mu potworną pustkę po jego utracie.

On i Margie rozmawiali wielokrotnie o tym, jak wyglądałoby ich życie, gdyby któreś z nich zostało samotnym rodzicem. Zazwyczaj to on udzielał porad żonie, ponieważ to jego życie było nieustannie zagrożone.

Nie pamiętał dobrze, czy kiedykolwiek zastanawiał się nad życiem bez Margie i synka, a jed-
216

nak stało się. Dotarł tutaj po długiej wędrówce. Spotkał mężczyznę, który najchętniej starłby go z powierzchni ziemi, i kobietę, która uzmysłowiła mu, jak bardzo się zagubił. Te myśli towarzyszyły mu najczęściej w drodze do pracy.

Gdy pocałował Ally, zrozumiał, że pragnie o wiele więcej. Jutro wieczorem zasiądzie przy stole z nią i jej rodziną oraz człowiekiem, który z całą pewnością nie zapala do niego sympatią. Będzie to jego pierwsze spotkanie towarzyskie od ponad roku, i na tę myśl, aż się uśmiechnął. Jedno jest pewne. Zapowiadał się niezwykle ciekawy wieczór.

Droga prowadząca w dół do Blue Creek wciąż była pokryta błotem i wszędzie widniały głębokie koleiny. Wes trzymał się pobocza i szedł po trawie. Po wczorajszym ulewnym i ostro zacinającym deszczu świat pachniał czystością i świeżością. Ptaki uwijały się w poszukiwaniu pożywienia.

Gdy przechodził obok posesji Monroe'ów, zauważył, że ktoś jest w ogrodzie. Zwolnił, kiedy zorientował się, że to Ally. Dziewczyna zrywała pomidory i śmiała się z wyczynów psa. Słońce oświetlało jej włosy barwy miodu, które związała żółtą wstążką, dobraną pod kolor bluzeczki. Kiedy się wyprostowała, zobaczył, że jej stare i sprane dżinsy przylegają do kształtnych bioder i długich nóg niczym druga skóra.

Zawstydził się. Nie powinien myśleć o takich rzeczach, przecież był w żałobie. I cóż z tego, że jego bliscy odeszli ponad rok temu?

Pozdrowił ją, a gdy odpowiedziała mu uśmiechem i machnęła ręką na powitanie, zapomniał o wyrzutach sumienia. Wszystko, czego teraz pragnął, to usiąść obok niej i pozwolić, żeby jej spokój udzielił się jego sercu.

Około półtora kilometra dalej hodowca świń nazwiskiem Sylvester Smith, który zdążył poznać Wesleya w punkcie skupu, zaproponował mu podwiezienie. Wes chętnie skorzystał i tym sposobem znalazł się przed magazynem Harolda Jame-sa trzydzieści minut przed czasem.

Harold wciąż jeszcze znajdował się po drugiej stronie ulicy w kawiarni, kiedy zobaczył Wesa siedzącego na frontowych schodach prowadzących do magazynu. Teraz pospiesznie dopił kawę, położył na ladzie pieniądze i wyszedł na zewnątrz.

- Hej, tam - zawołał do Wesa na powitanie. - Wcześniej dziś dotarłeś.

- Tak, Smith mnie podrzucił.

- No, to co? Otwieramy już? Kto wie, może zmienimy porę otwarcia? Co ty na to? - Harold uśmiechnął się szeroko.

- Wolałbym nie, chyba że co rano ktoś będzie mnie podrzucał do miasteczka.

Harold zaśmiał się i tak rozpoczął się kolejny dzień pracy.

Danny i Porter wrócili wreszcie z Charlestonu. Byli bardzo podekscytowani i rozradowani. Natychmiast po wejściu do domu, tuż przy drzwiach,

218

zrzucili z siebie brudne ubrania i od razu dobrali się do gorących ciasteczek, które Ally właśnie wyjęła z piekarnika.

Danny wyszczerzył zęby i mrugnął do siostry, sięgając po kolejne ciasteczko.

Ally uśmiechnęła się wyrozumiale, zresztą nigdy nie umiała gniewać się na Danny'ego. Był niezwykle pogodny i wiedział, jak ją rozbroić.

- Są doskonale-pochwalił siostrę.— Tęskniłaś za mną?

- Mniej więcej tak samo, jak za waszymi brudnymi ubraniami, drogi panie. Zabierz je spod drzwi, bardzo proszę.

Danny zachichotał, ale posłusznie wykonał polecenie siostry.

- Nie wściekaj się. Sami zrobimy pranie.

- Ho, ho, ho! Uważaj, bo jeszcze ci uwierzę - zaśmiała się Ally, nie przerywając swych zajęć.

Wysoki i ciemnowłosy Porter był przeciwieństwem niskiego i rudowłosego Danny'ego. Bracia różnili się nie tylko wyglądem, ale też charakterem. Danny łatwo wpadał w złość i był skory do bijatyki. Porter reagował wolniej, wydawał się bardzo rozważny, ale był o wiele

bardziej nietolerancyjny i bezlitosny dla swoich wrogów. Lecz, podobnie jak Danny, uwielbiał wypieki siostry, dlatego on także sięgnął po ciasteczka.

- Dobrze - rzekł i popatrzył na nią w zamyśleniu. - Coś ci jest?

Wystraszona jego spostrzegawczością zarumieniła się.

219

- A co ma być? Nic - odparła pospiesznie, wkładając do piekarnika kolejną blaszkę czekoladowych ciastek.

Porter obserwował ją cały czas i oczywiście zauważył rumieniec na jej twarzy.

- Wciąż jesteś wściekła na tatę o Freddiego?

- A ty nie byłbyś wściekły? Wzruszył niedbale ramionami.

- Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty - skwitował.

- Wiem, ale ojciec tego nie rozumie. On wciąż traktuje nas jak małe dzieci.

- Prawdopodobnie dlatego, że wszyscy wciąż mieszkamy z nim w jego domu - zasugerował.

Ally była zaskoczona jego obiektywizmem.

- Wszyscy wiemy, dlaczego ja tutaj jestem

— odparła. — Ale dlaczego ty i Danny nie ułożyliście sobie życia? Co stało na przeszkodzie?

Porter uśmiechnął się gorzko.

- Tak, wiem, jesteśmy zbyt wygodni. Stworzyłaś wspaniały dom, dobrze nam tutaj. Wszystko uległoby zmianie, gdybyś postanowiła wyjść za Freddiego.

- Nie licz na to, nigdy do tego nie dojdzie

- powiedziała z mocą. - To okropny człowiek.

Porter patrzył na nią przez chwilę.

- Zgadza się - rzekł.

- Tak? To dlaczego ani ty, ani Danny mnie nie wspieracie? Moglibyście przynajmniej wstawić się za mną u ojca.

To nie takie proste - bronił się Porter. - Kie-

220

dy odczepi się od ciebie, weźmie na celownik mnie i Danny'ego.

- Tchórze - mruknęła.

- Wiem. - Porwał jeszcze jedno ciasteczko, ugryzł je z rozkoszą i mrugnął do niej porozumiewawczo. - Ale kochasz nas, prawda?

- Jednak nie na tyle, żeby was opierać - zażartowała.

Roześmiał się, a Ally doszła do wniosku, że jej starszy brat jest bardzo przystojny.

Kilka minut później, gdy Ally wyciągała z piekarnika ostatnią blaszkę, bracia znów pojawili się w kuchni.

- Idziemy do pracy. Do zobaczenia wieczorem - pożegnał ją Danny.

Ally obróciła się zdumiona.

- Do pracy?

- Tak, Porter i ja zaczynamy dzisiaj robotę u Rolanda Storma.

Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, żeby wyjawić im, co na temat Storma powiedział Wes-ley, ale szybko zmieniła zamiar. Do tej pory nie wydarzyło się nic złego, a oni potrzebowali pracy.

- Trochę późno zaczynacie — zauważyła z przekąsem.

- Musieliśmy poczekać na dobrą pogodę. Storm powiedział, żebyśmy nie przychodzili, dopóki nie skończą się deszcze. Pamiętasz?

Ally powiedziała już Danny'emu, co myśli o tej robocie. Teraz pozostawało jedynie modlić się, żeby bracia nie wpakowali się w kłopoty.

221

- Czy ojciec wie? - spytała.

- Porter powiedział mu o wszystkim. Ally nie dała się zbyć byle czym.

- O wszystkim? To znaczy o czym? Twarz Danny'ego poczerwieniała.

- Cholera jasna, Ally. Rozmawialiśmy już o tym. Po prostu zbieramy zioła. Do zobaczenia na kolacji.

- I nie zapomnijcie, że jutro przychodzi Freddie Joe z dziećmi!

- Naturalnie - rzucił jej na odchodnym.

- Nie przegapimy tego za żadne skarby świata - dorzucił Porter.

- Idźcie już, bo jak na was patrzę, robi mi się niedobrze - pożegnała ich Ally.

Obaj zarechotali. Usłyszała jeszcze, jak trzasnęli drzwiami frontowymi. W tym momencie przypomniała sobie ostrzeżenie Wesleya i zamknęła je na klucz.

Teraz już nie miała nic do roboty. Po wyjściu braci dom wydał jej się nienaturalnie cichy i spokojny, pomimo odgłosów, jakie wydawała pralka pełna brudnych ciuchów. Ally włożyła wszystkie naczynia do zlewozmywaka i rozejrzała się dokoła. Broniła się, jak mogła przed ogarniającym ją nastrojem przygnębienia i rezygnacji. Ludzie wokół przychodzili i odchodzili, ale nie zmieniało to niczego w jej życiu. Często zastanawiała się, co o niej myślą. Czy postrzegają ją jako kalekę, starzejącą się kobietę, która nie podoba się mężczyznom? No tak, interesował się nią Freddie Joe,

222

a teraz jeszcze Roland Storm. To dopiero udani adoratorzy.

Przypomniał jej się pocałunek Wesleya i omal nie wybuchnęła głośnym płaczem. Gdyby nawet powiedziała ojcu, że nici z jego wspaniałych planów, jutro przy tym stole zasiądzie ten cholerny Freddie Joe w otoczeniu swoich dzieci. Będą śledzić każdy jej ruch i wyobrażać ją sobie jako nową matkę, żonę, gospodynię. Skoro musiała się z nimi spotkać, postanowiła przynajmniej pograć im trochę na nerwach.

Roland Storm był na nogach już o świcie. Odszukał zapasowy komplet kluczyków i poszedł po swoją ciężarówkę. Gdy był w połowie drogi, słońce zdążyło już rozjaśnić niebo, lecz to nie poprawiło nastroju Rolanda. Dręczyło go przecucie, że wszystkie jego plany i marzenia legną w gruzach. Musi koniecznie dowiedzieć się, kto zamieszkał w domu Dooleya Browna i skąd się tu w ogóle wziął. Nie sądził, żeby ktokolwiek wpadł na ślad jego nowego narkotyku, ale nie miał co do tego całkowitej pewności. Jeśli zajdzie taka potrzeba, pozbędzie się intruza, tak jak pozbył się Browna.

Nagle gdzieś wśród drzew usłyszał trzask łamanej gałązki. Obrócił się nerwowo, przekonany, że za chwilę znów stanie twarzą w twarz z uzbrojonym w nóż napastnikiem. Chwilę później zobaczył spłoszoną samicę królika, która wybiegła

223

z lasu, przeskoczyła przez drogę i zniknęła po drugiej stronie.

- Cholera - wymamrotał ze złością. By rozładować nieco napięcie, przeszedł w trucht. Im szybciej dostanie się do samochodu i wróci do domu, tym lepiej. Wkrótce dotarł do ciężarówki. Jednak gdy chciał wsiąść do środka, okazało się, że jest zamknięta. Zdumiony posłużył się przyniesionymi kluczami. Zawiasy zaskrzypiały, gdy otwierał drzwi kabiny. Właśnie miał zamiar usiąść za kierownicą, gdy nagle zamarł i odskoczył do tyłu jak oparzony na widok kluczyków leżących na siedzeniu.

Zaczął gorączkowo analizować sytuację. Tych kluczy przedtem nie było, bo musiałby je zauważyć. A zatem znalazł je ktoś, kto szedł jego śladem. Potem wrzucił je do samochodu i złośliwie zatrzaskał w środku.

Drżącą ręką sięgnął po kluczyki, wsunął je do kieszeni i pośpiesznie zamknął drzwi, blokując zamek. Przez jakiś czas siedział nieruchomo, uważnie wpatrywał się w głąb lasu i zerkał we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi.

- Ty skurwysynu - mruczał, wkładając kluczyki do stacyjki. - Nie daruję ci tego.

Jednak doskonale wiedział, że te buńczuczne słowa są jedynie wyrazem jego bezsilności. Odczekał chwilę, włączył silnik i nacisnął pedał gazu. Przez kilka sekund koła obracały się w miejscu na mazi z błota i liści, w końcu samochód

224

wyskoczył na drogę, wpadając od razu w poślizg. Powodowany strachem, że stoczy się do rowu lub ugrzęźnie na poboczu, Storm stracił głowę. Jego próby zapanowania nad samochodem nie przynosiły rezultatu. Na szczęście udało mu się wreszcie wyprostować tor jazdy. Odetchnął z ulgą i ruszył w stronę domu, przez cały czas bacznie obserwując drogę.

Kilka godzin później zjawili się u niego obaj bracia Monroe. Do tego czasu Storm zdołał doprowadzić się do stanu graniczącego z histerią.

Danny i Porter właśnie wysiadali ze swojej ciężarówki, gdy wypadł z domu, jakby ściagała go wataha wilków.

- Kim jest mężczyzna, który zamieszkał w tej chacie podobnej do muchomora? Nie życzę sobie, by mnie szpiegowano! Słyszycie?

Danny natychmiast przypomniał sobie ostrzeżenia siostry. Spojrzał na nabiegłe krwią oczy Storma i ślinę w kącikach jego ust.

Porter zaś poczuł się po prostu dotknięty takim powitaniem.

- Ładuj się z powrotem do samochodu - powiedział do Danny'ego. - Jedziemy do domu.

Roland jęknął. Potrzebował tych ludzi jak cholera. Nie mogli zostawić go na lodzie.

Porter odwrócił się i pewnym krokiem podszedł do samochodu. Danny zawahał się.

Nie, nie mogą odejść.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru obrazić was, chłopcy - rzekł Storm pospiesznie. - Ani

225

oskarżać o cokolwiek. Widzicie, ten człowiek zaczął stwarzać pewne problemy. Danny zmarszczył czoło.

- Kto taki?

- Mężczyzna, który mieszka w tym dziwnym małym domu.

- Nikt tam już nie mieszka - odparł Porter.

- Jak to nie? Widziałem tego mężczyznę dwa razy.

Porter rzucił bratu pełne zdumienia spojrzenie.

- Wiesz coś o tym? Danny pokręcił głową.

- Nie, ale może Ally wie.

Na dźwięk imienia ich siostry, gniew Rolanda stopniał jak wiosenny śnieg.

- Kto to jest Ally? - spytał słodkim głosem, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- To nasza siostra - wyjaśnił Porter. - Ten domek jest teraz jej własnością. Kiedyś należał do jedyne go brata naszej matki. Ally dostała go w spadku po jego śmierci.

Roland poczuł, jak robi mu się słabo. Wuj? Nie miał pojęcia, że byli spokrewnieni, ale mniejsza o to. Teraz miał inne sprawy na głowie.

- Bez względu na to, do kogo należy ten domek, mieszka tam jakiś mężczyzna, który próbuje kraść moje uprawy.

Danny zmarszczył czoło.

- Zioła?

- Tak, zioła - odpowiedział aż nazbyt skwapliwie Roland.

226

Porter zmrużył oczy i spojrzał na Rolanda podejrzliwie. Wątpił w uczciwość tego człowieka od chwili, kiedy dowiedział się, ile zamierzał im zapłacić.

- Ile są warte? - dociekał Porter.

Roland omal nie rzucił się na niego z pięściami.

- Dla mnie dużo - warknął. -1 najwyższa pora zebrać je z pola.

Danny spojrzał na brata. Porter najpierw utkwiał wzrok w Stormie, podniósł znacząco brwi, zerknął na Danny'ego i wzruszył ramionami.

- Co mamy robić najpierw? - zapytał Danny.

- Chodźcie za mną, wszystko wam pokażę - padła sucha odpowiedź.

Poszli za Stormem do stodoły, żeby ocenić przydatność starego traktora i sprzętu, którym mieli się posługiwać.

- Trzeba to i owo nasmarować - powiedział Porter.

- Tutaj - rzekł Roland, wskazując na zakurzone pomieszczenie - będziecie znosić zioła. Trzeba je powiązać w pęki, oczywiście ręcznie, i przenieść do suszarni.

Danny potakiwał skwapliwie, a po chwili wyciągnął parę roboczych rękawic z tylnej kieszeni spodni.

Roland obserwował wyraz ich twarzy. Nie ufał im, ale rozpaczliwie potrzebował kogoś do pomocy. Wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł. Gdyby dał im do zrozumienia, że zioła są trujące, może nie próbowaliby ukraść części zbiorów,

227

powodowani albo niezdrową ciekawością, albo chęcią zysku.

- Musicie być bardzo ostrożni, w takiej postaci roślina jest trująca. Dlatego zawsze powinniście wkładać koszule z długimi rękawami i rękawice. Tak na wszelki wypadek - powiedział.

Porter wyprostował się.

- Zaraz, zaraz - mruknął. - Nikt nas nie uprzedził, że to świństwo jest trujące.

Roland zaklął w duchu. Nie przewidział takich komplikacji. Nie, w żadnym wypadku nie może sobie pozwolić na utratę pracowników. Od razu oznajmiliby w miasteczku, że Roland Storm uprawia jakąś niebezpieczną roślinę.

- Oj, dajcie spokój - rzekł, usiłując zbagatelizować całą sprawę. - Znam się na tym, wierzę mi. Jest mnóstwo rzeczy, które w stanie surowym zawierają truciznę. Opowiednia obróbka neutralizuje groźne substancje. Te zioła nie są żadnym wyjątkiem.

- Na przykład? - Porter nie ustępował. Roland uniósł ręce w geście zniecierpliwienia.

- Pierwsza roślina, jaka przychodzi mi do głowy, to naparstnica. Stosuje się ją jako składnik lekarstw nasercowych. Jednak w stanie surowym jest silnie trująca.

- Ciotka mamy, Phoebe, zbierała naparstnicę i inne zioła — oznajmił Danny.

- Tak, pamiętam - potwierdził Porter.

W serce Rolanda wstąpiła nadzieja. Może uda mu się uspić czujność braci?

228

- Rozumiecie teraz? Nie chodzi o nic nielegalnego. Po prostu jestem ostrożny.

- I te pięć tysięcy wciąż jest aktualne? - upewnił się Danny.

- Tak, tak. Pięć tysięcy - potwierdził Roland skwapliwie.

- Na łeb?

- Tak! Na Boga, tak! Pięć tysięcy dla każdego. Zaczynacie czy nie? - Storm powoli tracił cierpliwość.

Bracia popatrzyli na siebie i niemal jednocześnie wzruszyli ramionami.

- Chyba... tak - zdecydował Porter.

- Jeśli będziecie chronić skórę, nic wam się nie stanie - zapewnił Roland.

Porter spojrzał na Danny'ego.

- Jasne, nic nam nie będzie.

Danny unikał wzroku brata. To on wpakował Portera w tę historię, a teraz wyszło na jaw, że zapomniał ustalić kilka istotnych szczegółów. Jednakże perspektywa zarobienia dziesięciu tysięcy dolarów za dwa tygodnie roboty była zbyt kusząca. Danny westchnął i włożył rękawice.

- W porządku, panie Storm. Niech pan nam pokaże, od czego mamy zacząć.

Dochodziło południe, kiedy w hali magazynu pojawił się Harold.

- Hej, Wes, przynieś z magazynu jedenasto-kilogramowy worek mączki z tuńczyka dla kotów.

Wesley kiwnął głową, przeszedł obok palet, na

229

których leżały worki z paszą i ziarnem, i skręcił w stronę, gdzie piętrzyły się stosy worków z karmą dla psów i kotów. Przerzucił worek przez ramię i ruszył do wyjścia. Gdy wszedł do kantoru, zobaczył stojącą przy ladzie drobną, starszą kobietę.

- Do którego samochodu mam zanieść ten worek? - zapytał uprzejmie.

- Niebieski ford - wyjaśnił Harold. Wesley wyszedł przed magazyn i umieścił worek na ciężarówce. Właśnie wracał do swoich zajęć, gdy starsza kobieta wychodziła z magazynu, prowadzona przez kobietę w zaawansowanej ciąży. Wes zorientował się natychmiast, że staruszką jest niewidoma. Kiwnął głową w stronę ciężarnej kobiety i przytrzymał obu kobietom drzwi.

- Dziękujemy uprzejmie - odezwała się młodsza miłym głosem.

- Proszę bardzo - odpowiedział Wes. Starsza pani przystanąła, przechyliła głowę na bok niczym ptaszek, który wypatruje czegoś na ziemi i odezwała się do niego.

- Nie wierzyłam, że pana spotkam - oznajmiła zagadkowo i wyciągnęła rękę w jego stronę. - Nazywam się Amelia Devon, ale wszyscy tutaj nazywają mnie Babcia, a to moja siostrzenica Charlotte.

Był zaskoczony siłą jej uścisku, lecz zdumiał się jeszcze bardziej, gdy nagle wpadła w jakiś rodzaj transu i zaczęła cicho recytować.

Mężczyzna płacze nad swoim życiem.

230

Stracił synka i piękną żonę. Niebezpieczeństwo wokół niego i nad nim. Myśli, że jego życie się skończyło. Wkrótce znajdzie nową miłość.

Wes stał jak rażony gromem. Zapomniał nawet, że cały czas trzyma w uścisku drobną dłoń staruszki. W pewnej chwili zobaczył, jak kobieta osuwa się na ziemię.

- Proszę mi pomóc - zwróciła się do niego Charlotte.

Wesley zareagował błyskawicznie i delikatnie podniósł panią Devon.

- Tutaj - powiedziała Charlotte, otwierając drzwi samochodu.

- Może wezwiemy karetkę?

- Nie ma potrzeby... To zdarza się jej dość często. Nigdy nie wiadomo, kiedy dozna wizji, lecz zawsze jest potem skrajnie wyczerpana.

Wes był tym wszystkim nieprawdopodobnie poruszony i zdumiony. Patrzył na Charlotte, jakby postradała zmysły.

- Wizje? Charlotte przytaknęła.

- Tak. Widzi pan, Babcia urodziła się niewidoma, ale tak naprawdę potrafi dojrzeć więcej niż ci, co mają zdrowe oczy.

- Ona miewa wizje? - pytał Wesley, niedowierzając.

Charlotte uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak

231

wygląda prawda. Niech pan zapamięta, co panu powiedziała. Ona nigdy się nie myli.

- Tak, proszę pani - powiedział przejęty Wes i zamknął drzwi samochodu.

Wszedł zamyślony na schody i po chwili wkroczył do magazynu.

- Co z Babcią? - zapytał Harold.

- Chyba wszystko w porządku.

- Pewnie miała wizję. - Harold nie wydawał się tym zdziwiony.

Wes spojrział na szefa, ale po namyśle zrezygnował z dalszej dyskusji i wszedł do hali magazynu.

Wziął miotłę i zaczął bezmyślnie zamiatać zupełnie czystą podłogę, aż kot Scooby wyniósł się poszukać jakiegoś spokojniejszego miejsca. Jednak zamiast ukoić rozedrgane nerwy, Wes z każdą chwilą popadał w coraz gorszy nastrój.

Nie mógł zapomnieć o wizji pani Devon. Najpierw mówiła o tym, co się wydarzyło, ale Wes nie chciał już wracać do przeszłości. O wiele bardziej zdenerwowało go to, o czym mówiła potem. Niebezpieczeństwo i nowa miłość... O-wszem, Ally mu się podobała, ale nie zamierzał się z nią wiązać. Bał się zaangażowania. Gdyby znów utracił kochaną osobę, chyba by tego nie przeżył. Tym razem byłoby to ponad jego siły.

Jednakże przez całą drogę z pracy do domu myślał tylko o tym, że jutro zobaczy Ally.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Południowy upał dawał się dotkliwie we znaki. Wiatr był za słaby, żeby przedrzeć się przez gęstwinię drzew otaczających pole, na którym pracowali Danny i Porter. Ich mokre od potu ubrania kleiły się do skóry. W dodatku nie mogli opędzić się od muszek, które całymi chmarami latały nad ich głowami i siadały im na twarzach. Danny nawet zawiązał chustkę, żeby zakryć usta i nos, a Porter zapalił papierosa, żeby dym odpędził dokuczliwe owady. Wykonywali już różne prace, ale ta robota była bez wątpienia najbardziej nudnym i bezmyślnym zajęciem. Na domiar złego co kilka metrów natykali się na martwe myszy, nor-nice i inne małe zwierzęta.

Porter ułożył już okazały stos roślin i właśnie pomagał Danny'emu ładować je na przyczepę ciągnika. Z łądyg rośliny sączył się przezroczysty, kleisty sok, który przyciągał mnóstwo owadów.

Porter rzucił papierosa na ziemię, zdusił go butem i strzepnął całą garść mrówek z koszuli.

233

- Co za cholerna robota — rzucił.

Danny zdjął chusteczkę z twarzy i energicznie wyczyścił nos.

- Nigdy w życiu nie widziałem tyle robactwa na polu - stwierdził z niedowierzaniem.

Porter trzepnął osę brzęczącą mu nad uchem.

- Nie wiem, co to za zioła, ale założę się, że są trefne.

- Taaa... - westchnął Danny na znak potwierdzenia.

- Słuchaj, możemy zabrać się stąd w tej chwili. Olać tę forszę i niech się Storm udławi tym cholernym zielskiem.

- Wiem - westchnął Danny.

Porter popatrzył badawczo na brata. Znał go jak własną kieszeń.

- Ale ty nie masz zamiaru tego zrobić, prawda? - spytał.

Danny zawahał się, lecz w końcu przyznał:

- Nie mogę. To nie byłoby w porządku.

Na twarzy Portera pojawił się cierpki grymas.

- Ponieważ dałeś mi słowo, tak?

- Tak. - Danny wzruszył ramionami. Porter zaklął szpetnie pod nosem i zaśmiał się ironicznie.

- Niech to cholera, Danny. Któregoś dnia ten twój honor doprowadzi do katastrofy.

Danny prawie się obraził.

- Nie mów tak!

Porter zaśmiał się znowu. - Żartuję bracie, tylko żartuję.

234

- Bardzo zabawne - odparł Danny, po czym pochylił się, podniósł następną wiązkę roślin i położył je na platformie przyczepy. - Prawie gotowe - stwierdził z zadowoleniem.

- Dołożę jeszcze trochę tych chwastów i odwiozę wszystko do suszarni - oznajmił Porter.

- Dobrze, ja wrócę do ścinania. Przywieziesz coś zimnego do picia?

- Załatwione - obiecał Porter i chwilę później odjechał, zostawiając brata na polu.

Danny zajął się zbiorem. Gdy pochylił się, poczuł zapach padliny. Rozsunął kilka łądyg i znalazł kolejnego martwego królika.

Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie to, że na tym polu znajdowali martwe zwierzęta z zadziwiającą regularnością. Inną osobliwością było to, że żaden drapieżnik nie ruszył padliny, choć w okolicy było sporo lisów i dziczyńskich kotów. Nie pojawiły się nawet myszolewy, które nie są zbyt wybredne. W pierwszej chwili Danny pomyślał, że martwe zwierzęta musiały zarazić się wścieklizną, dlatego na wszelki wypadek wołał ich nie dotykać. Po niedługim czasie usłyszał powracającego Portera, więc wycofał się z pola ścieżką powstałą po wycięciu kolejnych roślin. Był spragniony zimnego napoju i chwili wytchnienia. Może dlatego zapomniał powiedzieć bratu o nowych odkryciach. Kiedy przypomniał sobie o tym, Porter wyładowywał już przy szopie kolejne wiązki roślin. Danny wskoczył na platformę i pomógł

235

w rozładunku. Potem podszedł do kranu z wodą znajdującego się na podwórku. Storm wyszedł z jednej z szop i wrzasnął na niego.

- Co robisz? To jeszcze nie fajrant.

Upał, zmęczenie, oblepiające spoconą skórę ciuchy i wpadające do nosa wszędobylskie muszki były wystarczającym powodem, żeby Danny stracił cierpliwość.

- Słuchaj no pan! Chciałem tylko zmyć z twarzy te pieprzone owady. Zaraz wracam do roboty, ale jeśli jeszcze raz otworzy pan gębę i wrzaśnie na mnie lub Portera, natychmiast wrócimy do domu i już nas pan więcej nie zobaczy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Rolanda zamurowało. Nie był przyzwyczajony do jakiegokolwiek sprzeciwu, ale z wyrazu twarzy obu braci wywnioskował, że nie żartują.

- Dałeś mi słowo - wymamrotał. Danny ciężko westchnął.

- Tak, wiem, i tylko dlatego wciąż chrzanimy się na tym polu. - Spojrzał na ładunek na przyczepie. - Nie wiem, co to za zioła, ale jeśli ci wszyscy wielbiciele zdrowej żywności rzucą się na nie z równą zachłannością, jak te cholerne owady, to zbije pan majątek.

- Owady? Jakie owady? - Twarz Rolanda stężała w napięciu.

Porter z hałasem wydmuchał nos, po czym odezwał się, wskazując ręką łądygi.

- Do diabła, człowieku, tylko popatrz. Łażą po nich tysiącami.

236

Roland zbladł. Nie brał nigdy pod uwagę możliwości, że owady zaatakują jego rośliny. Patrzył teraz wytrzeszczonymi oczami na muszki kotłujące się wśród łądyg. Jego umysł pracował gorączkowo. A gdzie ich naturalni wrogowie, ptaki, osy, pająki, a później gryzonie? W tym momencie uświadomił sobie, że przecież końcowym ogniwem łańcucha pokarmowego są ludzie. Nie miał nic przeciwko zagładzie wszystkich szumowin, przecież

właśnie z tego powodu nie zrezygnował z uprawiania niebezpiecznych roślin. Nie przewidział jednak, że i on naraża się na niebezpieczeństwo. Czyżby stworzył coś, co doprowadzi do zagłady całej ludzkości? Nie umiał teraz odpowiedzieć na to pytanie, ale dopóki nie przeprowadzi stosownych badań, będzie musiał dokonać pewnych zmian.

- Zastosuję coś w rodzaju kadzideł - powiedział po krótkim zastanowieniu. - Umieścimy je pod stołami w suszarni. Mam nadzieję, że to zadziała. Jeśli tak, rozmieścimy kadzidła również na polu.

- Pszczoły też wykurza się dymem - skojarzył Porter.

- Co? - zapytał Roland, który znał okolicznych pszczelarzy. - O co chodzi? Czy zauważyliście tu pszczoły?

- Nie... Po prostu przypomniały mi się dmuchawy, jakich używają pszczelarze, gdy wybierają miód z uli.

- Och, tak. Oczywiście. Wykurzyć pszczoły,

237

wykurzyć owady... Tak, tak, świetny żart - powiedział Roland i zaśmiał się.

Danny poczuł, jak robi mu się niedobrze. Ten człowiek nie tylko zachowywał się jak szaleniec, on także mówił jak szaleniec, a jego śmiech przywodził na myśl bohaterów filmów grozy.

Porter powrócił do rozładunku, a Danny zdjął rękawice i włożył ręce pod strumień wody płynącej z kranu.

Porter zgarnął kilka wiązek roślin i zaniósł do szopy. Tam rozwiązał je i rozłożył na stołach do suszenia. Później będą musieli ponownie powiązać rośliny i powiesić w suszarni.

Gęsty sok wypływający ze ściętych roślin pobrudził okulary, koszulę i dżinsy Portera. Miał nadzieję, że plamy łatwo się spiorą, chociaż wyobrażał sobie, jak Ally się wścieknie, kiedy zobaczy ich ubrania. Gdy szedł po następny ładunek, coś musnęło mu twarz, machnął więc odruchowo ręką, strącając krople gęstego soku z okularów na policzek.

- A niech to szlag - mruknął, zdjął okulary i skierował się do podwórzowego kranu, z którego przed chwilą korzystał Danny.

Nie zastanawiając się, oblizał palec, którym przed chwilą starł sok z policzka. W tym momencie zdrętwiał ze strachu, przypomniał bowiem sobie ostrzeżenie Rolanda. Przez następną chwilę oczekiwał gwałtownej śmierci, ale gdy nic się nie działo, doznał tak wielkiej ulgi, że najchętniej odtańczyłby taniec radości.

238

Boże, ależ się przestraszył! Sok nie był zatem silną trucizną, miał słodki, nieco mdły smak. Porter czuł mrowienie na koniuszku języka, ale poza tym żadnych niepokojących objawów. Uszczęśliwiony uśmiechnął się szeroko.

- Co cię tak cholernie bawi? - zapytał Danny zdziwiony.

Porter popatrzył na brata, na strumyki wody spływające z jego twarzy i znów się zaczął się donośnie śmiać.

- Ty - odparł, następnie pochylił się i wsadził głowę pod strumień wody, zmywając kleisty sok, pot i owady, które przykleiły mu się do skóry.

Z czasem niewyobrażalna ilość owadów i upał doprowadziły ich na skraj załamania nerwowego. Byli nieludzko zmęczeni, w dodatku poirytowani i skłonni do kłótni. Roland zainstalował w suszarni kadzidła, ale niewiele to pomogło. Owady rozlaży się po całym pomieszczeniu, poruszały się wolno i niemrawo jak w transie. Roland, obserwując to wszystko, poczuł się jak wielki uczyony, którego wynalazek miał ułatwić życie, przynieść ludziom zagładę. Lubił porównywać się do Wernera von Browna, konstruktora rakiety zdolnej przenosić głowice atomowe.

Wiedział, jak narkotyk działa na szczury. Im więcej im go aplikował, tym bardziej go potrzebowały. Jednak stworzył środek, którego oddziaływanie nie ograniczało się do jednego gatunku biologicznego. To było gorsze niż wirus i napawało przerażeniem. Powoli tracił wiarę

239

w powodzenie swego przedsięwzięcia. Rozpoczął żniwa, marząc o sławie i bogactwie, a teraz pragnął jedynie jak najszybciej pozbyć się tego cholernego zielska.

Gdy patrzył z coraz większym przerażeniem na rośliny zalegające stoły suszarni, odezwał się jego telefon komórkowy. Zanim odebrał, sprawdził, kto dzwoni. Był to jego kontakt z Chicago, lecz Roland zupełnie nie wiedział, co miałby powiedzieć. Odczekał wobec tego, aż zadziała poczta głosowa, po czym odrzucił telefon na bok i pośpiesznie wyszedł z domu.

Z miejsca, w którym stał, zobaczył, jak bracia Monroe wnoszą do szopy kolejną partię ładunku. Spojrzał dalej, na pole znajdujące się za nimi. Ponad dwie trzecie upraw wciąż pozostało do ścięcia.

Teraz musiał szybko postanowić, jak wybrnąć z tej matni.

Porter i Danny jechali do domu pogrążeni w milczeniu. Ich twarze były pokryte potem i resztkami owadów, ubrania zeszywniały od lepkiego roślinnego soku. Portera bolały mięśnie twarzy, zupełnie jakby otrzymał cios w szczękę, a Danny'ego potwornie bolała głowa.

Porter zatrzymał samochód przed domem, wyłączył silnik i spojrzał na Danny'ego.

— Wrócimy tam jeszcze?

Danny westchnął ciężko.

240

- Musimy.

- Cholera.

- Jeśli chcesz się wycofać, proszę bardzo - zaperzył się Danny.

Porter siedział jeszcze przez chwilę w samochodzie, coraz bardziej zaniepokojony i zdenerwowany całą sytuacją.

- Te pieniądze nie są warte tego wszystkiego

- powiedział po namyśle.

- Nie chodzi o pieniądze - odparł Danny.

- Dałem słowo i muszę wywiązać się z umowy. Wsiadł z samochodu i skierował się na tyły domu.

Porter ciężkim krokiem podążał jego śladem.

Ally wyjmowała właśnie chleb z pieca, gdy Danny wparadował do kuchni owinięty jedynie ręcznikiem. Uśmiechnęła się do niego i już miała powiedzieć coś złośliwego, gdy nagle zastanowił ją dziwny wyraz jego twarzy.

- Danny?

Nie odezwał się.

Za nim wszedł Porter, osłonięty jedynie starą zasłoną od prysznicza.

Ally zrobiła wielkie oczy.

- Co jest grane?

- Nie dotykaj ubrań, które włożyliśmy do pralki - poprosił.

- Ale...

Obrócił się w jej stronę i wtedy ujrzała na jego twarzy potworne znużenie, ale też wiele innych niepokojących oznak. Jego oczy były nabiegłe

241

krwią, nozdrza rozszerzone, niekontrolowane skurcze mięśni pojawiły się w kącie lewego oka.

- Nie kłóć się ze mną, do cholery! Po prostu ich nie dotykaj!

Ally cofnęła się przerażona.

Porter nie mógł uwierzyć, że zachował się jak arogancki brutal. Co się z nim do diabła dzieje?

Gdy zobaczył minę siostry, wziął się w garść i pokornie pochylił głowę.

- Przepraszam, przepraszam. Proszę, wybacz mi. To był okropny dzień.

- W porządku - uspokoiła go Ally, próbując zbliżyć się do niego.

Porter odruchowo odsunął się od niej.

- Jestem brudny - oznajmił i skierował się do łazienki.

Z niewiadomego powodu Ally zachciało się płakać. Bracia nigdy nie zachowywali się w taki sposób. Dziewczyna wiedziała, gdzie byli i co robili. Wierzyła im, lecz nie miała za grosz zaufania do Rolanda Storma.

Rzuciła spojrzenie w kierunku drzwi prowadzących do wnętrza domu. Z oddali dochodził szum wody pobieranej przez pralkę. Dlaczego Porter nie pozwolił siostrze dotykać ich ubrań?

W co oni się wpakowali?

Nie było dnia, by nie przypominała sobie przepowiedni Babci Devon. Ally miała być opiekunką braci, troszczyć się o nich, lecz teraz czuła się bezradna. Nie była w stanie wpłynąć na decyzję

dwóch dorosłych mężczyzn, którzy w dodatku traktowali ją jak małą dziewczynkę. Gdyby powiedzieli jej, co się dzieje, może przynajmniej wiedziałaby, do kogo zwrócić się o pomoc.

Ale o tym pomyśli później. Na razie musiała upiec kurczaki na tę cholerną kolację.

Wes minął posesję rodziny Monroe'ów w drodze ze sklepu. Zauważył, że Gideon Monroe jest już w domu. Nie było jednakże ciężarówka chłopaków, co oznaczało, że jeszcze nie wrócili z pracy. Nieco zaskoczony wydłużył krok, chcąc jak najprędzej dotrzeć do domu i doprowadzić się do porządku przed kolacją. Postanowił pójść na skróty, ścieżką prowadzącą przez las.

Ostatnie kilkadziesiąt metrów przebył biegiem. Pospiesznie otworzył drzwi, wpadł do środka, położył zakupy na stole, rozebrał się i wskoczył pod prysznic. Po chwili był już w garderobie, próbując wybrać coś odpowiedniego. Patrząc z niesmakiem na jakże skromny asortyment ciuchów, opamiętał się. Nie powinien być aż taki podekscytowany. Nie wybierał się z wizytą do królowej, miał zjeść kolację z kobietą, która poprosiła go o przysługę.

Spośród najmniej pomiętych rzeczy wybrał dzinsy i czystą białą koszulkę. Wyjął z szuflady świeże skarpetki, a brudnych użył do oczyszczenia butów.

Potem sprawdził w lustrze, jak się prezentuje. Był to nawyk wyniesiony z wojska, gdzie nie

Zadowolony ze swojego wyglądu ruszył już do drzwi, gdy nagle zatrzymał się pod wpływem myśli, która nagle wpadła mu do głowy. Zwyczaj nakazywał bowiem obdarowanie pani domu kwiatami. Żałował, że nie pamiętał o tym, dopóki był w Blue Creek. W tym momencie przypomniał sobie o wistarii kwitnącej pięknie na dachu domu. Powinna doskonale nadawać się na bukiet. Wybiegł na zewnątrz i ściął naręczę ciężkich kwiatów w kolorze purpury, zawinął je w czysty, brązowy papier z supermarketu i wyszedł na drogę. Tym razem nie zdecydował się na skorzystanie z leśnego skrótu, gdyż bał się, że zahaczy o jakąś wystającą gałąź i zniszczy sobie ubranie.

Niedługo potem skręcił na podjazd prowadzący do domu Monroe'ów.

Stary pies leżał nieruchomo na poboczu, lecz kiedy zobaczył Wesleya, podniósł łeb i wydał pomruk radości.

- Cześć, stary kumplu. - Wes przystanął i przyjaźnie poklepał psa po grzbiecie.

Potem przełożył kwiaty z jednej ręki do drugiej i przyjrzał się domostwu.

Na podjeździe stały teraz trzy samochody, co znaczyło, że prawdopodobnie przybył na kolację jako ostatni.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ally była przerażona. Freddie Joe przybył z dziećmi, które wyglądały na bardzo zaniedbane. Najstarsza z całej trójki, jedyna dziewczynka w tym towarzystwie przedstawiła się jako Loretta Lynn Detweiller. Freddie Joe dopełnił prezentacji, podając jej wiek. Miała jedenaście lat, Ally zaś przemknęło przez myśl, że dziewczynce przydałby się porządny szampon oraz... stanik. Średnie dziecko przyglądało jej się w milczeniu.

- To jest Freddie Joe Detweiller trzeci - rzekł z dumą ojciec. - Ale nazywam go Booger.

Chłopiec miał osiem lat.

Najmłodsza latorośl okazała się rezolutnym czterolatkiem. Gdyby Ally była szalona lub bardzo zdesperowana, ten uroczy mały brzdąc mógłby popchnąć ją w ramiona jego tatusia.

Na szczęście była zdrowa na umyśle i nie cierpiała zbytnio z powodu braku męskiego towarzystwa. Uśmiechnęła się przyjaźnie, gdy malec przedstawił się jako Toot.

245

- To Johnny Cash Detweiller. Jestem fanem muzyki country - wyjaśnił Freddie, bardzo z siebie zadowolony. - Ciekaw jestem, czy ty także? - spytał, patrząc wyczekująco na Ally.

- Owszem - przyznała. - Ale o wiele bardziej lubię muzykę bluegrassową.

Twarz Freddiego Joe oszpecił grymas niezadowolenia. Nie znosił bowiem bab, które pozwalają sobie być odmiennego zdania niż on. Pamiętał jednak dobrze, że gdy podczas ostatniej wizyty wdał się w dyskusję z Ally, przerwano mu w pół zdania. Stracił wtedy deser,

bo stary Monroe siłą wywlekl go na podwórze pod jakimś idiotycznym pretekstem. Teraz więc, ponieważ jeszcze nie zasiedli do kolacji, a smakowite zapachy drażniły powonienie i potęgowały apetyt, uznał, że rozsądniej będzie przełożyć dyskusję na później. Jeszcze zdąży pokazać Ally, gdzie jest jej miejsce.

- Ależ pięknie pachnie! - powiedział i pociągnął nosem.

- Dziękuję - odpowiedziała Ally uprzejmie, ignorując promienny uśmiech ojca, uszczęśliwionego jakże wyszukany komplementem pod adresem córki.

- Czy wszystko już gotowe? - zapytał Freddie Joe z żywym zainteresowaniem.

- Tak.

- Dobrze. Dzieciaki są głodne. Uważam, że czas zasiąść do stołu.

- Jeszcze nie - odparła Ally. - Moi bracia nie

246

są gotowi, a poza tym czekamy na jeszcze jednego gościa. Powinien przyjść lada chwila.

Zdumiony Freddie Joe spojrzał na Gideona.

- Nie wiedziałem, że urządzacie przyjęcie.

- To nie jest... Ja... nie rozumiem... Ally! Kto jeszcze będzie na kolacji? Przecież wiedziałś, że zaprosiłem Freddiego z dziećmi.

Ally uśmiechnęła się słodko.

- Ależ tak, wiedziałam, że ich zaprosiłeś. Przypominałeś mi o tym przynajmniej dwa razy dziennie, więc pomyślałam, że skoro zapraszasz swoich przyjaciół, ja też kogoś zaproszę. Zaraz tu będzie.

W chwili gdy to mówiła, do salonu weszli Danny i Porter. Jej starszy brat natychmiast przypomniał sobie narzekania Storma na obcego mężczyznę zamieszkującego domek wuja Dooleya, lecz zanim otworzył usta, żeby wygłosić stosowny komentarz, rozległo się pukanie do drzwi.

- To on - oznajmiła Ally i poszła otworzyć.

Dręczyły ją wyrzuty sumienia, w dodatku obawiała się, że jej rodzina może swoim zachowaniem obrazić Wesleya. Poprosiła Wesa, żeby ostudził miłosne zapędy Freddiego, ale teraz czuła się z tego powodu głupio i niezręcznie. Nie powinna go wciągać w to żalosne przedstawienie. Miał dość własnych kłopotów. Gdy otworzyła drzwi i zobaczyła go na werandzie z naręczem kwiatów wistarii, rozluźniła się trochę, a nawet zdobyła na uśmiech.

- Witaj, tak się cieszę, że przyszedłeś.

247

Jej uśmiech sprawił, że pod Wesem ugięły się kolana. Zdołał jednak opanować emocje na tyle, że kiedy chwyciła go za rękę i lekko pociągnęła ku sobie, wszedł do środka spokojnym, pewnym krokiem.

Nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed czterema mężczyznami obrzucającymi go podejrzliwymi spojrzeniami, a także przed trójką wyraźnie zaintrygowanych dzieci. Słodki i intensywny zapach kwiatów, które wciąż trzymał w ręku, przypomniał mu o dobrych manierach.

- Kwiaty dla gospodyni - rzekł, wręczając Ally bukiet.

- Są cudowne - powiedziała zachwycona. - Zaraz znajdę jakiś wazon, ale najpierw pozwól, że cię przedstawię. - Obróciła się w stronę ojca, braci i Freddiego. - Proszę panów... To jest pan Wesley Holden. Wynajmuje dom wuja Doo i pracuje w Blue Creek w punkcie skupu.

Gdyby doznany szok był jedynie emocją fizyczną, Gideon Monroe leżałby teraz plackiem na podłodze. Danny i Porter, aczkolwiek już uprzedzeni i ostrzeżeni przez Storma, milczeli, zaś Freddiego ogarnęła panika. Wesley był przystojny i postawny, zatem stanowił niespodziewane i poważne zagrożenie. Przez tego faceta jego plany matrymonialne mogły lec w gruzach.

Gideon ochłonął jako pierwszy.

- Ally! Dlaczego dopiero dzisiaj dowiaduję się o istnieniu tego pana?

- Trudno mi na to odpowiedzieć. Być może

248

dlatego, że nigdy w życiu żaden z was nie zapytał, jak minął mi dzień, jak się czuję, czy nie potrzebuję pomocy. Gdybym wiedziała, że interesujecie się moimi sprawami, a musicie pamiętać, że chatka wujka Doo jest moją wyłączną własnością, pewnie poinformowałabym was o wiele wcześniej o pojawieniu się pana Holdena. Jesteśmy w komplecie, więc zapraszam do stołu.

Wes był pełen podziwu dla Ally. Pokazała im, że jest osobą, z którą należy się liczyć, zneutralizowała gniew ojca i zignorowała opinię braci. Przy okazji utarła nosa Freddiemu, który popadł w posępną zadumę. Tak, ta dziewczyna wiedziała, jak postawić na swoim.

Ally włożyła kwiaty do ogromnego wazonu i umieściła go w widocznym miejscu, na kredensie, w którym stały tace z ciastem.

- Wygląda na to, że przygotowywałaś te wspaniałości przez cały dzień - zauważył z uznaniem Wesley. - Pachną znakomicie.

Ally uśmiechnęła się promiennie.

Gideon zmarszczył czoło.

Freddie Joe był wściekły.

Danny i Porter uznali, że ten mężczyzna wygląda na bardzo sprytnego i zaczęli zastanawiać się, czy przypadkiem Storm nie miał racji.

- Proszę, siadajmy do stołu - powiedziała Ally i zwróciła się do dzieci: - Wiem, że chcecie usiąść obok tatusia. Freddie, niech pan usiądzie

249

pośród synami. Loretta Lynn pomoże mi nalewać herbatę do szklanek. - Popatrzyła na młodą damę. - Dobrze, kochanie?

Loretta Lynn nie posiadała się z radości i dumy.

- Tak, proszę pani. Chętnie pomogę.

Freddie Joe co chwila zerkał na Gideona, ponagłając go do działania, lecz Gideon był zbyt oszołomiony nieposłuszeństwem córki i zaistniałą sytuacją. Siedział jak skamieniały i patrzył tępo wprost przed siebie.

Wes towarzyszył Ally w drodze do kuchni, następnie wziął z jej rąk pojemnik z lodem i podał go córeczce Freddiego. .

- Czy mogę wam pomóc w czymś jeszcze? - zwrócił się do Ally.

Była zbyt uszczęśliwiona jego bliskością, by zmusić się do logicznego myślenia.

- Och... nie, nie ma potrzeby, żebyś... - mówiła nieco bezładnie. —Nie zostało wiele do zrobienia. Muszę jeszcze wyjąć półmiski z kurczakiem z piekarnika i...

- Pomogę ci. Dobrze? - Wes nie zamierzał ustąpić.

Ally popatrzyła mu w oczy z wdzięcznością.

- No, to jak, bierzemy się do roboty? - ponaglił ją z uśmiechem.

- Prawdziwi mężczyźni nie płaczą się po kuchni - warknął Freddie Joe.

- Tam, skąd pochodzę, mężczyźni robią wszystko, na co mają ochotę. Ally ciężko się napracowała, przygotowując te pyszności. Pomogę jej przy-

250

najmniej w ten sposób, że podam na stół najcięższe półmiski.

Freddie Joe zaniemówił z wrażenia.

Wes odwrócił się od nich wszystkich. Wiedział, że każdy z nich najchętniej wbiłby mu w plecy kuchenny nóż.

Wyjął z piecyka dwa półmiski pieczonych kurczaków i postawił je na przeciwległych końcach stołu.

Freddie Joe skrzywił się z dezaprobatą.

- Pieczone kurczaki jedliśmy na kolację wczoraj wieczorem.

Ally poczerwieniała, lecz zanim zdążyła odpowiedzieć, Porter doszedł do wniosku, że pora się wtrącić.

Nie znał Wesa Holdena, ale znał dobrze Fred-diego i szczerze go nie znosił.

- Nie zostaje pan zatem na kolacji? - zapytał obcesowo.

- Nie, to znaczy tak... Ja nie to chciałem powiedzieć, tylko że... - Freddie zaczął bełkotać i przewracać oczami.

- Kto będzie pił mrożoną herbatę, a kto lemoniadę? - zapytała Ally, przerywając tą scenę, żeby zażegnać wiszącą w powietrzu awanturę.

Napoje zostały podane zgodnie z życzeniem biesiadników, przy wydatnej pomocy Loretty Lynn, która wciąż chodziła dumna jak paw. Wes przyniósł z piecyka ostatnie gorące danie. Jak gdyby uczynił jeszcze zbyt mało, by zrazić do

251

siebie obecnych w salonie mężczyzn, stanął przy krześle i poczekał, aż Ally zajmie miejsce.

Gideon chciał wygłosić stosowny komentarz, ale za każdym razem gdy spozjrzał na Wesleya, intuicja podpowiadała mu, że lepiej zachować milczenie. W ruchach nieznajomego, jego postawie i sposobie mówienia było coś, co kazało mieć się przed nim na baczności. Ten mężczyzna wzbudzał respekt, a Freddie Joe wyglądał przy nim jak nędzna imitacja faceta. Gideon był nie tylko zakłopotany, lecz także zawstydzony. Czy naprawdę chciał wepchnąć córkę w ramiona takiego żalosego głupka?

- Jedzenie wygląda znakomicie, kochanie, naprawdę - pochwalił córkę.

- Dziękuję, tatusiu - odpowiedziała. - Zmówisz modlitwę?

- Pochylmy głowy - zarządził Gideon i wszyscy uczynili zadość jego prośbie.

Gdy Gideon wypowiedział pierwsze słowa modlitwy, Ally ukradkiem chwyciła dłoń Wesa i ścisnęła ją mocno, jak gdyby chciała podziękować mu za pomoc i wsparcie.

Zanim zdążył odwzajemnić gest, położyła obie ręce na kolanach i skłoniła głowę.

Po skończonej modlitwie goście i domownicy zabrali się do jedzenia. Wes zainteresował się siedzącymi naprzeciwko dziećmi, w szczególności małym chłopcem o imieniu Toot.

- Lubię kurze udka - oznajmił chłopczyk.

Wszyscy uśmiechnęli się. Wes drżącymi rękami

252

mi podsunął dziecku półmisek z kurczakami. Serce bolało go tak, jakby miało za chwilę pęknąć, ale zmusił się do uśmiechu.

- Mój mały synek także bardzo je lubił - powiedział. - Jak myślisz, które jest najlepsze?

Johnny Cash Detweiller wskazał na największe udko. Było mocno przypieczone i zapewne cudownie chrupiące. Mały spojrzał na Wesa z szerokim uśmiechem.

- Ja wybrałbym tak samo - poparł go mężnie Wes i nałożył dziecku jedzenie na talerz. Wziął także kawałek dla siebie. Opuścił nieco powieki, by nikt nie dostrzegł wyrazu jego oczu, i podał półmisek Ally.

Freddie Joe ujrzał wyraźnie nadchodzącą klęskę. Nie był aż tak głupi, by ignorować oczywiste fakty. Przy tym obcym nie miał żadnych szans. Obarczony trójką dzieci i łysiejący facet to niezbyt dobra partia. Tak więc najlepszą rzeczą, jaka mu się tego dnia przytrafiła, był wspaniały domowy posiłek.

Niestety Toot, przekonawszy się, że ten pan od kurczaków jest naprawdę fajny, zadał pytanie, na które Wes wolałby nie odpowiadać.

- Gdzie jest teraz pana synek? Może chciałby pobawić się ze mną?

Wesley zbladł, a Ally wstrzymała oddech. Wes opanował się jednak i zdobył na odpowiedź.

- Nie ma go, i już nigdy nie będzie, lecz jestem pewien, że chętnie by się z tobą pobawił.

Odpowiedź zadowoliła Toota. Chłopczyk zaczął

253

jeść, ale Freddie Joe zaatakował z zjadłością kundla, który wyczuwa słabość przeciwnika. Który tchórz zrezygnowałby w takiej sytuacji z szansy dokopania komuś, kto mu przed chwilą nastąpił na

odcisk?

- Więc dlaczego pan go zostawił? - zapytał

jadowicie.

- Freddie Joe! Nie ma pan prawa zadawać takich pytań - powiedziała Ally i odwróciła się do Wesa. - Przepraszam, nie powinnam była stawiać cię w takiej sytuacji. Zrozumiem, jeśli teraz wstaniesz od stołu i wyjdiesz.

- Nie, wszystko w porządku. - Wes robił dobrą minę do złej gry i nawet zmusił się do uśmiechu.

- Chyba nie sądzisz, że mógłbym zrezygnować z tak wspaniałej kolacji i twojego towarzystwa?

- O co chodzi? Co ja takiego powiedziałem?

- oburzył się Freddie Joe. - Co to za człowiek? Ja opiekuję się swoimi dziećmi najlepiej, jak umiem, podczas gdy on...

- Nikogo nie zostawił - odparła spokojnie Ally. - Jego syn i żona zginęli w czasie zamachu w Fort Benning w zeszłym roku. Powinien pan natychmiast przeprosić pana Holdena.

Freddie Joe zupełnie stracił animusz.

- Cholera, no to przepraszam. Wiem, jak to jest, kiedy straci się żonę, i naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiego synka.

Toot nie rozumiał, co się dzieje, ale widząc, że jego tata ma kłopoty, poczuł się w obowiązku rozładować sytuację. Przechylił się na krześle,

254

»:?'

żeby dosięgnąć Wesleya i delikatnie poklepał go po ramieniu.

- Proszę pana... A ja znam taki żart.

Przez sekundę przy stole zapanowała cisza, po której wszyscy wybuchli śmiechem.

- Opowiedz, dobrze? - zachęcił go Wes. Drugi z braci nie chciał być gorszy i też postanowił czymś się popisać.

- Spójrzcie na mnie! - Booger wziął ziarnko grochu, włożył do ust i wydmuchał je przez nos. Groszek pofrunął nad stołem i wylądował na talerzu Danny'ego.

Freddie Joe zamarł z przerażenia.

Danny poczerwieniał z oburzenia, ale widząc, jak Porter wybucha śmiechem, uśmiechnął się szeroko. Gideon zadowolony, że napięcie zostało rozładowane, również się roześmiał. Jedyne Toot wydawał się przygnębiony. Jego starszy brat znowu zostawił go w tyle.

Ally zerknęła na Wesa, pewna, że weźmie ich wszystkich za źle wychowanych szaleńców. Jednak Wes nie wyglądał na zgorszonego, przeciwnie, śmiał się razem z pozostałymi. Ally wstrzymała oddech. Od początku wiedziała, że jest bardzo przystojny, ale teraz zobaczyła go po raz pierwszy w innym świetle. Miał rozbawione oczy i usta rozchylone w uśmiechu.

Freddie Joe plasnął starszego syna w głowę.

- No co? - oburzył się chłopak.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał ojciec.

- Bo Toot nie potrafi nikogo rozbawić.

255

- Znam taki żart... - Toot ponowił propozycję. Wszyscy zareagowali śmiechem, nawet Wes doskonale się bawił.

- No dobrze, Johnny, opowiedz mi ten dowcip. Toot rozpromienił się.

- Puk, puk - zawołał i zwrócił się do Wesa: - A ty musisz odpowiedzieć „Wejść!”.

Booger jęknął.

- No i sami widzicie. Toot zawsze coś pokręci. Potem trzeba powiedzieć „Kto tam?”, a nie

„Wejść!”.

- Rzeczywiście - Toot przyznał bratu rację i popatrzył na Wesa w oczekiwaniu, że ten skończy swoją kwestię.

- Kto tam? - zapytał Wesley ku wielkiemu zadowoleniu chłopca.

- Hipopotam - odpowiedział Toot. - Teraz ty musisz zapytać...

- Zlituj się, Toot! On wie, jak to idzie - denerwował się Booger.

- Jaki hipopotam? - Wes ani na chwilę nie wypadł z roli.

- Dowiesz się, jak otworzysz drzwi! - wrzasnął Toot bardzo zadowolony z siebie.

Boogerowi dowcip nie przypadł do gustu. To wcale nie było śmieszne - mrucał pod nosem.

Loretta Lynn dała mu kuksańca.

- To był całkiem dobry dowcip - pochwalił Toota Wesley, czym natychmiast zaskarbił sobie sympatię chłopca.

256

- Zjem jeszcze jedno udko - oznajmił Toot. Ally podała Wesleyowi półmisek z kurczakiem.

- Nie wiem, czy jest jeszcze udko. A może lubisz też jakąś inną część?

- Kuperek - odparł Toot i by być dobrze zrozumianym, poklepał się po pupie.

Ta odpowiedź wywołała nowe chichoty, które Toot zupełnie zignorował.

Później, przy deserze, Freddie Joe zaczął nerwowo ponaglać dzieci. Chciał jak najszybciej wracać do domu. Jak na jeden dzień, przeżył wystarczająco dużo upokorzeń.

Ally spakowała całą torbę smakołyków dla dzieci. Gideon i synowie także wstali już z krzeseł, żeby rozprostować kości po długim siedzeniu przy stole. Wesley, Ally i Loretta Lynn zostali jeszcze w salonie.

- Proszę, kochanie. - Ally wręczyła dziewczynce torbę z jedzeniem. - Wystarczy na jeden posiłek dla was wszystkich.

- Bardzo pani dziękuję - odpowiedziała dziewczynka. - Niezbyt dobrze radzę sobie w kuchni.

- Ja także nie radziłam sobie po śmierci mamy, ale z czasem wszystkiego się nauczyłam.

- Szkoda, że pani nie będzie naszą nową mamą - powiedziała Loretta Lynn. - Szybko byśmy panią polubili i bylibyśmy grzeczni.

Słowa dziewczynki ujęły Ally za serce.

- Ja też żałuję, ale nie można robić niczego wbrew sobie. Uczucia są najważniejsze. Chyba mnie rozumiesz?

257

- Och tak, proszę pani. Mamusia często mi to powtarzała. I jeszcze mówiła, żebym wyszła za kogoś mądrzejszego niż tatuś.

Ally przygryzła wargę, by się nie roześmiać i pogłaskała małą po głowie.

Loretta Lynn Detweiller westchnęła, a potem spojrzała na Wesa, który zmywał naczynia.

- Proszę pana? Wesley odwrócił się.

- Miło mi było pana poznać - powiedziała mu na pożegnanie.

Wes uśmiechnął się.

- Mnie także było miło cię poznać - powiedział i uświadomił sobie, że tym razem mówi zupełnie szczerze.

Do salonu wszedł naburmuszony Freddie Joe.

- Pośpiesz się, dziewczyno. Chłopcy są już w samochodzie.

- Pani Monroe dała nam mnóstwo pysznego jedzenia, tatusiu.

- Dziękuję - szepnął Freddie i spojrzał na Wesa. - Jeszcze raz przepraszam. Szczerze panu współczuję z powodu śmierci żony i synka.

Wes trochę się wzruszył.

- Dziękuję. Mnie także jest przykro z powodu śmierci pana żony.

Freddie Joe ponownie się zawstydził.

- Naprawdę nie miałem nic złego na myśli, kiedy mówiłem o pańskim chłopcu.

- Wiem - uspokoił go Wes i dodał: - Czy mogę pana o coś prosić?

258

- Och tak, proszę pani. Mamusia często mi to powtarzała. I jeszcze mówiła, żebym wyszła za kogoś mądrzejszego niż tatuś.

Ally przygryzła wargę, by się nie roześmiać i pogłaskała małą po głowie.

Loretta Lynn Detweiller westchnęła, a potem spojrzała na Wesa, który zmywał naczynia.

- Proszę pana? Wesley odwrócił się.

- Miło mi było pana poznać - powiedziała mu na pożegnanie.

Wes uśmiechnął się.

- Mnie także było miło cię poznać - powiedział i uświadomił sobie, że tym razem mówi zupełnie szczerze.

Do salonu wszedł naburmuszony Freddie Joe.

- Pośpiesz się, dziewczyno. Chłopcy są już w samochodzie.

- Pani Monroe dała nam mnóstwo pysznego jedzenia, tatusiu.

- Dziękuję - szepnął Freddie i spojrzał na Wesa. - Jeszcze raz przepraszam. Szczerze panu współczuję z powodu śmierci żony i synka.

Wes trochę się wzruszył.

- Dziękuję. Mnie także jest przykro z powodu śmierci pana żony.

Freddie Joe ponownie się zawstydził.

- Naprawdę nie miałem nic złego na myśli, kiedy mówiłem o pańskim chłopcu.

- Wiem - uspokoił go Wes i dodał: - Czy mogę pana o coś prosić?

258

I w

Freddie Joe na chwilę wstrzymał oddech.

- Co takiego?

- Niech pan dba o dzieci.

Speszony Freddie Joe przytaknął pośpiesznie.

- Tak, tak, oczywiście. Do zobaczenia. Po chwili odjechał.

Ally wyjęła Wesowi z ręki ścierkę do wycierania naczyń i delikatnie popchnęła go do salonu.

- Idź do nich na chwilę, bo zaraz pękną ze złości.

Wes roześmiał się.

- Nie nadaję się na pomocnika? Przewróciła oczami.

- Nie o to chodzi. Nigdy przedtem nie spotkali mężczyzny chętnego do pomocy w kuchni.

- Zatem czas najwyższy, żeby poznali kogoś takiego. Powinni brać ze mnie przykład - mruknął Wesley.

Nagle zawstydzona Ally pochyliła głowę, lecz uśmiechała się promiennie.

- W każdym razie, dziękuję ci serdecznie. Jestem ci wdzięczna o wiele bardziej, niż myślisz.

- Nie dokonałem niczego wielkiego. Zjadłem kolację, którą przygotowałaś i świetnie się bawiłem. To nic trudnego.

- Zrobiłeś o wiele więcej i dobrze o tym wiesz - powiedziała mu Ally. - Jesteś niesamowitym facetem, Wes. Wiele bym dała za to, żebyś nie był taki smutny.

Westchnął.

- I ja też, Ally, i ja też. Lecz dzięki tobie czuję

259

się z każdym dniem coraz lepiej. No, na mnie już czas. Nie chciałbym nadużywać twojej gościnności. Musisz być zmęczona.

- Nic podobnego - zapewniła go Ally. - Pozwól, że pożegniam cię tutaj, w kuchni. - Stała na palcach i szybko go pocałowała. - Wpadnij jeszcze kiedyś, dobrze?

Wes pogłaskał ją po głowie i musnął delikatnie złoty warkocz.

- Uważaj na siebie - powiedział poważnie, zmieniając temat.
- Chodzi ci o Rolanda Storma, prawda?
- Tak. Powiedz o wszystkim ojcu. Ally zmarszczyła brwi.
- Pomyślę o tym.

Wes nie próbował jej przekonywać. Wiedział, że na razie zrobił wszystko, co było w jego mocy.

- Na pewno będę do ciebie wpadał - obiecał i wszedł do salonu, gdzie siedzieli jej bracia i ojciec.

Gideon popatrzył na niego i zapraszająco skinął ręką.

- Proszę, niech pan usiądzie.
- Bardzo panu dziękuję, ale na mnie już czas. Muszę jutro wcześniej wstać.
- Którędy jeździ pan do pracy? - spytał Porter.
- Nie jeżdżę. Chodzę. Danny cicho zagwizdał.
- A niech to, człowieku, niezły spacer.
- Nie jest tak źle - powiedział Wes. - Miło mi było panów poznać.

Gideon wstał i podał mu rękę.

260

- I nawzajem, synu - powiedział serdecznie. Porter także się podniósł.
- Odwiozę pana do domu.
- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby - odparł Wesley. - To niedaleko.
- Jednak nalegam.

Wes domyślił się, że za tą propozycją kryje się coś więcej, dlatego przestał protestować.

- No dobrze - odpowiedział i poszedł z Porterem do samochodu.

Porter odezwał się, dopiero gdy wyjechał z podjazdu.

- Jak pan do nas trafił? - zagadnął Wesleya.
- Co pan ma na myśli? Wirginię czy waszą rodzinę?
- Chodzi mi o dom wuja Dooleya i przyjaźń z moją siostrą.

Wes westchnął. Na miejscu Portera też zadałby takie pytanie.

- Hm... jak to ująć... Chyba po prostu musiałem znaleźć się daleko od domu.
- Z powodu tego, co przydarzyło się pańskiej rodzinie?

Wes wzruszył ramionami.

- Częściowo tak, ale już wcześniej miałem wszystkiego dość. Ich śmierć była ostatnią kroplą, która przepelniła czarę.

Porter zmarszczył czoło.

- Niech pan posłucha. Rozumiem, że przeszedł pan piekło, ale nie dopuszczę, by skrzywdził pan moją siostrę.

261

- Pana siostra okazała mi wielką życzliwość w czasie, kiedy tego najbardziej potrzebowałem. Nie mógłbym jej skrzywdzić.

- Pan nie jest jej obojętny. Widzę to po niej.

- Ona też nie jest mi obojętna - przyznał Wesley. - Lecz te uczucia napawają mnie smutkiem. Czuję się winny, że mogę myśleć o takich rzeczach. Nie umiem sobie z tym wszystkim poradzić.

Porter mocno zmarszczył brwi, po czym rzekł

szorstko:

- Nie mam nic do pana, ale niech pan to jakoś rozwiąże albo... wyniesie się stąd.

Wes skinął głową.

- Jasne.

Po chwili Porter zatrzymał samochód przed domem wuja Doo.

- Ta chatka wygląda jak dekoracja filmowa, co? Istny Disneyland.

- Mój synek byłby nią zachwycony - powiedział Wes i wysiadł z samochodu. - Dzięki za podwiezienie.

Porter skinął mu głową na pożegnanie, zawrócił i odjechał.

Zmierzchało. Słońce już zaszło, nad ciemną linią krzaków i drzew wirowały roje robaczków świętojańskich. Wes był zbyt podekscytowany, żeby od razu pójść do łóżka. Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki puszkę coli i tylnymi drzwiami wyszedł na zewnątrz. Z tyłu, na samym skraju podwórka, znajdowała się stara, metalowa ławka,

262

za którą rosły drzewa hikorowe. Wes oczyścił ją z liści, potem usiadł na niej i nareszcie się rozluźnił. Otworzył puszkę i pociągnął pierwszy łyk. Drobiny lodu natychmiast stopniały mu na języku. Margie lubiła colę z lodem. Wes westchnął i utkwiał wzrok w ciemniejącym niebie. Po raz pierwszy na myśl o żonie nie wybuchnął płaczem. Ból nadal czaił się w jego duszy, ale nie rozdzierał mu piersi, nie skłaniał do myśli o bliskiej śmierci, jedynie przypominał o smutnej przeszłości.

Siedział jeszcze przez kilka minut, popijając colę i rozmyślając nad sensem życia. Nagle uświadomił sobie, że już nie odczuwa takiej przeraźliwej pustki, a na wiele spraw patrzy zupełnie inaczej. Mógł spokojniej wspominać utraconą miłość, nie złorzecząc przy tym Bogu

i całemu światu. Wreszcie wstał. Był znużony i trochę obolały po ciężkim dniu w pracy. Uniósł puszkę wysoko i wznosił toast za zachód słońca i za pamięć o najbliższych.

- Za ciebie, moja miłości, i za ciebie, mój mały mężczyzno - powiedział i pociągnął ostatni łyk.

Zgniół puszkę w dłoni i wszedł do domu.

Gideon zdał dzieciom dokładną relację z wypadku Pete'a Randalla, po czym zapragnął wyciągnąć z synów informacje na temat ich nowej pracy.

Danny i Porter udzielali dziwnie wymijających odpowiedzi. Powiedzieli jedynie, że była to najbrudniejsza praca, jaką kiedykolwiek wykonywali i że Roland Storm jest co najmniej dziwny.

263

Gideon odpowiednio skomentował wygląd Storma, tak że obaj synowie tarzali się ze śmiechu. W ten sposób, ku zadowoleniu Ally, napięcie zostało rozładowane. Wydawało się, że sytuacja wróciła do normy.

W chwili gdy wkładała do kredensu ostatnie czyste talerze, wszedł Porter z naręczem świeżo upranych ubrań, które obaj z Dannym mieli na sobie podczas pracy na polu Storma.

- Nie wiedziałam, że już wyschły - powiedziała Ally. - Przyniosłabym je.

Porter zatrzymał się. Jego twarz wykrzywił dziwny grymas.

- Nie. Nie dotykaj naszych roboczych ubrań. Przecież już cię o to prosiłem. - Zrobił dwa kroki, ale gwałtownie zatrzymał się znowu i spojrzał w jej oczy. - Nigdy!

Zdenerwowała się nie na żarty. Postanowiła wyciągnąć z Portera nieco więcej informacji.

- Porter, do cholery! Powiedz mi, o co chodzi? Czy wszystko jest w porządku?

- No właśnie, moja droga. Nie wiem dlaczego, ale coś mi się wydaje, że już nigdy nic nie będzie w porządku.

Ally przyłożyła zaciśnięte dłonie do ust, żeby powstrzymać krzyk. Chciała poznać więcej szczegółów, ale obawiała się, że nie zniesie prawdy.

- Porter... Proszę... Wycofajcie się z tego, póki nie jest za późno.

Spojrzał na ubrania, które trzymał, a następnie na swoje ręce. Trzęsły się, ale to było niczym

264

Jt

w porównaniu z konwulsjami, które targały jego wnętrznościami. Czuł się tak, jakby opuścił swoje ciało i obserwował siebie z boku. Nie rozumiał, co się dzieje, ale wiedział przynajmniej, z jakiego powodu. Cokolwiek było w tych „ziołach”, które uprawiał Roland Storm, znajdowało się teraz w jego organizmie. Oddałby wiele, by już nigdy nie wracać na

pole Storma. Jednak skoro zaczęli robotę, powinni ją skończyć. Porter dobrze wiedział, co zrobią potem. Kiedy ostatnia roślina zostanie ścięta i zaniesiona do szopy, on i Danny obleją wszystko benzyną i podpalą. Potem zrobią to samo ze ścierniskiem na polu. Roland Storm stworzył coś przerażającego, ale oni to świństwo unicestwią.

Sobotni poranek był bardzo wietrzny. Wicher zszedł z gór i ze złowieszczym świstem dopadł Blue Creek. Szarpał rozwieszonym na sznurach praniem, rozwiewał na wszystkie strony śmieci i dzwonił pozostawionymi na ulicy puszkami po napojach.

Wes szedł różnym krokiem do pracy. W soboty zamykali magazyn w południe, więc miał nadzieję, że do tego czasu wichura ucichnie, w przeciwnym bowiem razie utrudniłaby mu powrót do domu.

Potem będzie miał mnóstwo wolnego czasu. Trzeba skosić trawę na podwórku i zrobić porządki wokół domu, lecz jeśli chciał, mógł też po prostu leniuchować. Świadomość samotności

265

trochę go przerażała, choć jeszcze niedawno o niczym innym nie marzył.

Kot Scooby wytrwale łaścił się do nóg Wesa, gdy ten ścigał dwudziestokilkukilogramowe worki z paszą, ładował je na dwukołowy wózek i wywoził na rampę załadowniczą, gdzie czekał już na niego Melvin Peterson. Pasza była przeznaczona dla byczka rasy Hereford imieniem Doofus, dla którego synek Melvina zupełnie stracił głowę.

Wes posłusznie obejrzał zdjęcia przedstawiające chłopca i jego pupila, ale natychmiast popadł w przygnębienie. Zamiast skupić się na opanowaniu negatywnych emocji, wyżywał się na kocie.

- Idź stąd, Scooby! Jesteś nienazarty i wyjątkowo bezczelny. Zaczynj wreszcie łapać myszy, ty paskudny darmozjadzie - przemówił do kota i wzruszył ramionami, widząc, jak Melvin Peterson głaszcze tego spasionego drania. - Cholerny utrapieniec! - mruknął.

- Ale pewnie bardzo łowny - bronił kota Melvin.

Wes załadował ostatni worek na samochód i wręczył Melwinowi paragon.

- Miłego dnia - powiedział na pożegnanie. Melvin zamyślił się, spojrzał na niego i pokiwał głową.

- Słyszałem, że uratował pan życie dwóm mężczyznom, którzy parę dni temu mieli okropny wypadek.

- Nie uratowałem - odpowiedział krótko Wes. - Ugasilem tylko ogień.

266

- Na to samo wychodzi - upierał się Melvin. Włożył na głowę przyciasny kaszkiet i odjechał.

Wes podniósł z ziemi puste wiaderko, lecz zamiast zawiesić je na ścianie, zamachnął się i cisnął nim przez cały magazyn. Wiaderko niemal otarło się o głowę Harolda, który właśnie wychodził z kantoru.

Gdyby był to ktokolwiek inny, Harold natychmiast wyrzuciłby go z pracy. Skrucha na twarzy Wesleya zupełnie go rozbroiła.

- Ogromnie pana przepraszam, naprawdę

- rzekł Wes. - Zachowałem się karygodnie. To się już nigdy nie powtórzy.

- Czy Melvin cię obraził? - zapytał Harold. Wes zwiesił ramiona i przeczesał palcami włosy, wyraźnie zakłopotany.

Harold zmarszczył czoło.

- Dochodzi południe. Kończ robotę, odmelduj wyjście i rozpocznij przygotowania do weekendu. Ja tu wszystko pozamykam.

Wes stał bez ruchu. Włożył jedynie ręce do kieszeni i pochylił się tak, jakby przygotowywał się na uderzenie wichury. Wreszcie opuścił głowę.

Przez chwilę żaden z mężczyzn nie odzywał się ani słowem, wręczcie Wes przerwał milczenie. Obaj spojrzeli sobie prosto w oczy.

- Melvin pokazał mi zdjęcie swojego synka

- przyznał bezradnie.

Harold uśmiechnął się szeroko.

- Tak, jest bardzo dumny ze swojego chło-

267

paka. To jego jedyne dziecko. Może gadać o nim godzinami.

- Miałem syna - westchnął ciężko Wes. Harold zauważył, że Wes użył czasu przeszłego, dlatego bał się zadać jakiegokolwiek pytanie.

Wes odwrócił się. Harold zobaczył, jak przelyka łzy i nagle sam poczuł, że ze wzruszenia głos uwiązł mu w gardle. I wtedy Wesley dodał:

- Jedynym marzeniem mojego synka, jakie zdążył wypowiedzieć na głos, było to, by jak najszybciej móc się golić. Niestety, nie doczekał tego.

Harold chrząknął, odkaszlnął, wyjął chusteczkę i wydmuchał nos.

- Cholernie mi przykro, Wes.

Wesley jedynie pokiwał głową. Powoli, krok za krokiem wyszedł z magazynu. Haroldowi zdawało się, że gdy Wes zamykał drzwi, zamocowany tam dzwonek zadzwieczał wyjątkowo smutno i żałośnie. Harold postać chwilę, po czym zrobił coś, czego nie robił od wielu lat.

Zamknął magazyn przed czasem.

Jeśli komuś zabraknie karmy dla kurczaków, trudno. On właśnie zamierzał wybrać się na ryby.

-i

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ally pokiwała ręką ojcu, który jechał do pracy, a potem spojrzała na braci, którzy właśnie wychodzili z domu takim krokiem, jakby szli na pogrzeb. Gdy została sama, usiadła w salonie i zaczęła płakać. Bała się, bała się tak bardzo, jak nigdy dotąd. Martwiła się o Danny'ego i Por-tera, miała ochotę z kimś porozmawiać, ale nie było nikogo, komu mogłaby zaufać. Postanowiła nie odwiedzać Babci Devon, ponieważ obawiała się tego, co mogłaby od niej usłyszeć. Woląca też nie poruszać tego tematu z ojcem, bo bracia w nic go nie wtajemniczyli. Zresztą czy ojciec rozumiałby jej obawy? Przecież nie miała w ręku żadnych konkretnych dowodów, że coś jest nie w porządku.

Lecz im dłużej o tym rozmyślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że musi zobaczyć na własne oczy, co dzieje się u Rolanda Storma. Utwierdzona w tym przekonaniu, włożyła koszulkę, džinsy i wygodne sportowe buty. Postanowiła

269

pojechać ciągnikiem Portera, ale musiała zaparkować przynajmniej półtora kilometra od domu Storma, a dalej iść piechotą. Nie chciała, by ktokolwiek ją zauważył. Zdecydowanym krokiem skierowała się do stodoły i zdjęła brezentową płachtę z ciągnika.

Nigdy wcześniej nie odważyłaby się na coś takiego. Nie wtrącała się w cudze sprawy, nie lubiła plotek i nie była wścibska. Jednakże teraz zamierzała dowiedzieć się, na czym polega praca jej braci i jakie są zamiary ich pracodawcy. Nawet nie zastanawiała się nad tym, co zrobi, jeśli odkryje coś niepokojącego. Cała jej uwaga skupiła się na tym, żeby tam dotrzeć.

Roland siedział w kącie szopy przerobionej na suszarnię, przyglądając się roślinom, które bracia Monroe przynieśli dzisiaj z pola. Gęsty sok wyciekał z końcówek łodyg, tworząc rozległe kałuże. Wszędzie było pełno mrówek. Bracia powiedzieli mu o martwych zwierzętach, które znaleźli na polu i Roland doszedł do wniosku, że jeśli wkrótce nie podejmie jakichś kroków, te wszystkie niepokojące wydarzenia będą dopiero początkiem, zapowiedzią czegoś o wiele gorszego.

Poprzedniego wieczoru wreszcie zrozumiał, gdzie popełnił błąd. Nie przywróciło mu to jednak spokoju ducha. Dotychczas do badań używał jedynie liści, poddając je takiej samej obróbce co marihuanę. Za każdym razem, gdy rozpoczynał nową fazę badań, szedł po prostu na pole i zrywał

270

potrzebną mu ilość liści. Nigdy jednak nie przyniósł do laboratorium całej łądygi. Gdyby to zrobił, nie stałoby teraz w obliczu katastrofy. Z drugiej strony, gdyby badał również łądygi, prawdopodobnie już by nie żył.

Wczoraj dowiedział się, że ten obcy mężczyzna mieszkający w dziwnym domku Dooleya to był żołnierz, Wes Holden. Ale nie wyjaśniało to jego wścibstwa. Roland był ostatnio zbyt zaabsorbowany innymi kłopotami, by zajmować się Hol-denem. Kiedy bracia pojechali do domu, wziął kilka łądyg do laboratorium, a potem poszedł do stodoły po ostatnie szczury, jakie mu zostały. Nie było czasu, by przeprowadzić należyte testy, lecz jeśli jego podejrzenia okażą się słuszne, czynnik czasu przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Rozpoczął od przyspieszenia procesu osuszania liści. Potem przeprowadził rutynowe testy na pierwszej parze szczurów. Zwierzęta zareagowały tak, jak oczekiwał. Najpierw były nadmiernie pobudzone, potem stały się ospałe i pozostawały w tym stanie aż do pełnej utraty świadomości. Zatem właściwości liści nie uległy na razie żadnej zmianie.

Następnie wziął inną parę szczurów i włożył je do klatki, w której umieścił kilka ociekających sokiem łądyg. Szczury gryzły łądygi i w krótkim czasie zaczęły zachowywać się tak, jakby były pijane. Zataczały się, wpadając na siebie i na pręty klatki, jak gdyby straciły zmysł orientacji. Fukwały i kłapały zębami.

271

Lecz dopiero trzecia para szczurów potwierdziła jego najpoważniejsze obawy. Zakleił im pyszczki taśmą, a potem obficie natarł im skórę sokiem. Następnie zdjął taśmę i włożył szczury do klatki. W ciągu godziny zaczęły gryźć własne łapy i atakować siebie nawzajem. Z ich oczu i uszu zaczęła sączyć się krew, tak przeraźliwie piszczały z bólu, że Roland zasłonił sobie uszy. Przed północą obydwa zdechły.

Roland nie był pewien, czy zagryzły się nawzajem, czy też przyczyną ich śmierci był krwotok wewnętrzny. Testy dowiodły, że to w soku, a nie w liściach było największe stężenie związków toksycznych. Uświadomił sobie, że stworzył coś potwornego.

Pomyślał o soku, który pokrywał ubrania i skórę Danny'ego i Portera i zrobiło mu się niedobrze. Obaj bracia umrą. Nie wiedział, kiedy to nastąpi, ale taki rozwój wypadków był nieunikniony.

To co miało nadejść, przekroczyło granice jego wyobraźni. Powoli ogarniała go panika. Podczas pracy w laboratorium wkładał dwie warstwy ubrania, na wierzch narzucał kitel, nie zapominał też o rękawicach chirurgicznych i masce, ale te środki ostrożności mogły okazać się niewystarczające.

Nagle zrobiło się ciemno. Gdy wyszedł z szopy, zobaczył, że niebo zasnuwane jest chmurami, jednak nie chciało mu się wracać do środka po latarkę. Widział dostatecznie dobrze, żeby zrobić to, co należało. Pośpieszył do szopy, wziął butelkę z rozpałką do grilla, następnie podbiegł do beczki,

272

w której spalał odpady. Rozebrał się tam, gdzie stał, wrzucił do beczki wszystko, łącznie z butami i skarpetkami. Na końcu pozbył się rękawiczek.

Noc była spokojna, a powietrze przepojone wilgocią. Oznaczało to, że nad ranem być może znów zacznie padać. Tym razem jednak wcale się tym nie przejął. Te żniwa to farsa. Jedyne co mogli tu zebrać, to śmierć.

Wylał zawartość butelki z rozpałką do beczki, cofnął się kilka kroków i wrzucił do środka płonąca zapalniczkę. Buchnął gwałtowny płomień. Roland, pchnięty do tyłu silnym podmuchem, przewrócił się na plecy, krztusząc się i kaszląc. Gdy złapał oddech, obrócił się na brzuch i szybko odczołgał jak najdalej od ognia.

W końcu, gdy znalazł się w bezpiecznej odległości, wstał i przesunął palcami po twarzy i szyi. Czuł zapach przypalonych włosów, a skóra piekła go tak, jakby przebywał za długo na słońcu.

- Cholera - mruknął i pobiegł do domu.

To wszystko wydarzyło się wczoraj wieczorem, a teraz stał przed szopą, wdychając powietrze, które prawdopodobnie zostało skażone toksynami zawartymi w jego narkotyku. Smętnie popatrzył na spaloną trawę wokół beczki. Nad popiołem wciąż jeszcze unosił się szary welon dymu.

To buty. Skóra i guma nie palą się zbyt łatwo.

Potem spojrział na pole. Danny i Porter pracowali jak szaleni, rzucając na przyczepę całe naręcza ściętych łodyg.

273

Kiedy dzisiaj rano stawili się do pracy, Roland był zaskoczony. Wczoraj mieli wszystkiego dosyć i nie wyglądało to zbyt dobrze, a jednak wrócili. Niestety dzisiaj ich ruchy zdradzały dużą nerwowość, a w oczach zobaczył zupełnie nowy wyraz, którego nie umiał rozszyfrować. Chwilę przedtem dostrzegł przypadkiem, jak nagle podbiegli do siebie, rzucili łodygi i wymienili między sobą kilka ciosów, niczym na ringu bokserskim.

Pomyślał o trzeciej parze szczurów, które rzucały się sobie nawzajem do gardeł.

Kiedy bracia zwieźli z pola ostatnią partię roślin, postanowił jak najszybciej odprawić ich do domu.

Ostatnim razem kiedy Ally była wysoko w górach, Clifton Nelson jeszcze żył. Swój dom zapisał w testamencie krewnemu z daleka, właśnie Rolandowi Stormowi. Później nie miała powodu, by odwiedzać to miejsce. Gdy Storm zamieszkał w okolicy, dość szybko dał sąsiadom do zrozumienia, że życzy sobie, aby zostawiono go w spokoju. Wszyscy mieszkańcy Blue Creek uczynili zadość jego prośbie i nie próbowali poznać go bliżej.

Koleiny na drodze, pamiątka po ostatnich deszczach, wciąż były głębokie, lecz powoli zaczynały wysychać.

Zgodnie z wcześniejszym planem Ally zostawiła swój pojazd na poboczu drogi, pod osłoną drzew, by nie rzucał się zbyt w oczy. Resztę

274

drogi musiała przebyć na piechotę przez las. Szło się jej gorzej, niż przewidywała. Potykała się często, a kilka razy omal nie upadła. W pewnej chwili zawadziła butem o korzeń drzewa, wypłukany z ziemi przez deszcze, i przewróciła się, tracąc na chwilę oddech. Gdy nareszcie zaczerpnęła powietrza, poczuła ból. Piekł ją podbródek i dłonie. Do jej oczu wprawdzie napłynęły łzy, ale zdołała powstrzymać się od wybuchnięcia płaczem.

- Cholerna stopa - mruknęła ze złością, podnosząc się z ziemi.

Była trochę obolała, więc musiała zwolnić kroku. Nareszcie między drzewami ujrzała tylną ścianę stodoły należącej do Storma. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe.

Co teraz?

Stała przez kilka minut, obserwując okolicę, po czym zdecydowała się podejść trochę bliżej. Dan-ny i Porter powinni być teraz na polu. Przemykała chyłkiem przy ścianach zabudowań, potem wzdłuż płotu. Zdawało jej się, że słyszy odgłos pracującego silnika, ale może był to jedynie wytwór napędzanej strachem wyobraźni.

Ally była tak skupiona na wypatrywaniu braci, że o mały włos nie potknęła się o martwego królika leżącego na ścieżce. Cicho krzyknęła, bardziej z obrzydzenia niż ze strachu. Dokoła unosił się okropny odór padliny. Ally zachodziła w głowę, dlaczego myśliwy, który ustrzelił zwierzątko, tak po prostu je zostawił. Dopiero gdy przyjrzała się dokładniej, stwierdziła, że królik nie

275

zginął od strzału. Wyglądał, jakby zdychał w okropnych męczarniach. Ally widziała w swoim życiu wiele otrutych zwierząt, ale nigdy czegoś równie potwornego. Potem dostrzegła jeszcze smugi krwi na pobliskim drzewie. Ciekawe, skąd się tu wzięły? Chwilę podumała, a gdy nie doszła do żadnego logicznego wniosku, ruszyła w drogę.

Około pięćdziesięciu metrów dalej natknęła się na martwą wiewiórkę, a potem, trochę później, na nornicę. Im dalej szła, tym więcej było martwych stworzeń. Króliki, ptaki oraz mnóstwo małych gryzoni. Powietrze wokół przesiąknięte było odorem śmierci. Najbardziej zdumiała ją fakt, że martwe zwierzęta nie padły łupem żadnego drapieżnika.

W pewnym momencie poczuła, jak cierpnie jej skóra. W tym miejscu czaiło się niebezpieczeństwo i czyste zło. Nie miała pojęcia, co zabiło te wszystkie stworzenia. Czyżby utraciły instynkt samozachowawczy? Nie, to przecież bzdurne założenie. Wiedziała natomiast z całą pewnością, że jej bracia są w jakiś sposób uwikłani w tę sprawę. Zrozpaczona przyspieszyła kroku, by jak najszybciej z nimi porozmawiać. Najpierw zobaczyła Danny'ego. Poruszał się nierównym, chwiejnym krokiem, zataczając się co chwilę. Porter stał po drugiej stronie przyczepy i bezładnie rzucał na nią naręcza łądyg. Musiał gdzieś zgubić swój kapelusz. Z zatrważającą częstotliwością uderzał się rękami po twarzy, co sprawiało dość niesamowite wrażenie. Ally zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy

276

ujrzała na twarzy brata zarost. Przedtem Porter nigdy nie wychodził z domu nieogolony. Nagle zrozumiała. Twarzy Portera nie pokrywał zarost, lecz setki mrówek.

- Wielki Boże - wyszeptała zbielełymi wargami. Gdy spojrzała w dół, dostrzegła, że mrówki i małe muszki suną po jej stopach.

Naraz usłyszała okrzyk bólu i wściekłości. Zobaczyła, jak Porter drapie się i uderza po twarzy, a następnie zdiera z siebie ubranie. Zaczęła się konwulsyjnie trząść.

Porter krzyczał wniebogłosy, miotając takie przekleństwa, jakich nigdy jeszcze nie słyszała. Danny podbiegł do niego, ale Porter z całej siły zdzielił go pięścią w twarz. Trysnęła krew. Gdy Ally zobaczyła, jak Danny pochylił się i wypluł coś, co wyglądało jak ząb, poczuła mdłości.

- Och, Boże, Boże, proszę, spraw, żeby przestali.

Nie zdawała sobie sprawy, że wymówiła te słowa na głos, dopóki jakiś spłoszony ptak nie zerwał się z gałęzi tuż nad jej głową, skrzecząc głośno.

Nagle Danny i Porter zaprzestali walki i spojrzeli w głąb lasu. Chociaż wiedziała, że nie mogli jej dostrzec, instynktownie wyczuła zbliżające się niebezpieczeństwo.

Podczas gdy zastanawiała się, co robić, w zasięgu jej wzroku pojawił się Roland Storm. Obserwowała braci wymachujących rękami i wskazujących na coś, a potem zobaczyła, jak Storm obraca

277

I

się w kierunku drzew, wśród których się ukrywała. Ciekawe, co ich tak zaniepokoiło. Jeśli ten ptak, który przed chwilą zerwał się do lotu, zaraz tu przyjdą. To oznaczało, że już nie była bezpieczna w swojej kryjówce. Ku jej przerażeniu Storm gwałtownie pomachał rękami, jakby nakazywał Danny'emu i Porterowi wrócić do pracy, a sam ruszył w jej kierunku.

Ally wpadła w przerażenie graniczące z atakiem obezwładniającej paniki. Nie wiedziała, co zamierzał Storm, ale w żadnym wypadku nie mógł jej zobaczyć. Zaczęła biec w stronę, z której przyszła, ale po kilku sekundach potknęła się i przewróciła. Tym razem cały impet upadku przyjęły kolana. Nie zwracając uwagi na ból, podniosła się i podjęła bieg w stronę gęstych zarośli. Gałęzie smagały jej twarz i zahaczały o ubranie. Kostka w nodze, nadwreżona i obolała, zaczęła puchnąć. Przy każdym wdechu czuła przeszywający ból w żebrach, ale nie zatrzymywała się ani nie oglądała za siebie. Wreszcie z ulgą dobiegła do traktorka. Nie traciła czasu, żeby wypchnąć pojazd spośród drzew i zarośli, w których go ukryła. Wskoczyła na siodełko i uruchomiła silnik. Płacząc ze szczęścia, że silnik nie zawiódł, ruszyła ostro do przodu. Dosłownie przefrunęła przez rów i wylądowała twardo na drodze. Utrzymanie się na niej wymagało dużych umiejętności, ale w końcu Ally udało się zapanować nad pojazdem. Jechała tak szybko, jak tylko mogła. Po kilku pierwszych kilometrach, gdy już była prawie pewna, że dotrze szczęśliwie do domu, silnik zarzęził,

278

traktorek zaczął zwalniać, szarpać, aż wreszcie stanął.

- Nie, nie, nie - protestowała Ally, okładając pięściami kierownicę.

Przekręciła kluczyk w stacyjce, próbując uruchomić silnik, ale bez skutku. Popatrzyła na wskaźnik paliwa i wszystko zrozumiała. Bak był pusty.

Obejrzała się za siebie, próbując nieco uspokoić oszalałe ze strachu serce. Nie zauważyła nic podejrzanego, ale zdawało jej się, że słyszy silnik ciężarówki. Strach dodał jej sił. Zepchnęła traktorek z drogi, ukryła go między drzewami i zaczęła biec. Tym razem walczyła o życie.

Było prawie wpół do drugiej po południu, kiedy Wes dotarł do domu. Zastanawiał się, czy ma w lodówce coś, co mógłby zjeść bez gotowania. Właśnie włożył klucz do zamka i otwierał drzwi, kiedy usłyszał krzyk.

Skóra ścierpła mu na grzbiecie i nagle przed oczami stanął mu tamten potworny dzień w Fort Benning. Wszędzie wokół rozlegał się przeraźliwy płacz kobiet, ale Margie nawet nie zdążyła wydać z siebie okrzyku przerażenia.

Obrócił się gwałtownie.

Zobaczył wybiegającą z lasu Ally. Jej włosy powiewały na wietrze, miała rozdartą koszulkę i pobrudzoną krwią twarz. Wes rzucił się w jej stronę.

Chwycił ją mocno, a ona wczepiła się w niego kurczowo. Zarzuciła mu ręce na szyję i owinęła

279

nogami jego biodra. Oddychała płytko i nieregularnie. Trzęsła się tak, że nie mogła mówić.

- Ally! Co się stało? Powiedz mi! Kto zrobił ci krzywdę? Storm?

Gdy tylko wymienił jego nazwisko, dziewczyna wydała jęk i przytuliła się do niego. W pierwszej chwili myślał, że zaczęła płakać, lecz wreszcie zorientował się, że powtarza w kółko:

- Ukryj mnie! Ukryj mnie, schowaj... Proszę... Wes przycisnął ją mocniej do siebie i szybko pobiegł do domu. Drzwi były uchylone, więc popchnął je, a potem mocnym kopnięciem zatrzaskał za sobą. Następnie delikatnie położył dziewczynę na sofie. Zorientował się, że nie odniosła żadnej poważnej rany, ale znajdowała się w potężnym szoku. Miała powiększone źrenice i była nienaturalnie blada.

Na jej koszulce widniały plamy krwi, a twarz i ramiona były podrapane.

- Ally... Odezwij się do mnie. Co się stało?

- Moi bracia... martwe ptaki, martwe wiewiórki, martwe króliki. Sarna... wszystko martwe, wszystko. - Wyciągnęła rękę ku drzwiom. - On tutaj idzie. Ukryjmy się. Musimy się schować. Prędko, nie ma ani chwili do stracenia.

- Kto tu idzie, Ally? Storm? Jęknęła i zakryła twarz.

Nie zamierzał lekceważyć jej ostrzeżenia, dlatego podbiegł do okna. Omiótł wzrokiem drogę i podwórko, a upewniwszy się, że nikogo tam nie ma, wrócił do salonu.

280

Ally zniknęła.

Z wrażenia wstrzymał oddech.

Wszystkie drzwi były pozamykane, więc nie mogła nigdzie uciec.

Nagły przypływ strachu ugodził go niczym sztylet. Wyobraził sobie, że trzyma ją martwą w ramionach, i dopiero gdy zaklął dosadnie, przeszłość zamieniła się w teraźniejszość. Przed chwilą widział Margie, nie Ally. Otrząsnął się, stłumił strach i w pośpiechu zaczął przeszukiwać wszystkie pomieszczenia.

Znalazł ją na podłodze w sypialni. Pełzała w stronę łóżka, prawdopodobnie w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki.

Wes pochylił się nad nią.

- Ally... '

- Strzelba. Strzelba wuja Doo.

Wesley otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Twój wuj trzymał pod łóżkiem strzelbę*?

- Tak! - Podniosła się i objęła Wesa. - Tam dzieje się coś złego. A Storm nie chce, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Zakryła twarz rękami i zaczęła się trząść.

Wes położył się płasko na podłodze i sięgnął ręką pod łóżko. Namacał lufę strzelby i przesunął dłoń w stronę kolby. Była przywiązana do ramy łóżka. Szarpnął jakiś sznurek i strzelba upadła na podłogę.

- Ally?

Słyszała jego głos, ale nie miała siły zareagować. Po prostu nie mogła.

281

Wes chwycił ją za ramiona i potrząsnął nią mocno, by wzięła się w garść.

- Ally! Ta strzelba nie jest nabita. Gdzie wuj trzymał amunicję?

Jeszcze raz wskazała ręką pod łóżko, tuż przy wezgiłowiu. Wes znów opadł na podłogę. Szybko znalazł pierwsze pudełko z nabojami, a kiedy je wyciągał, trafił na drugie.

Wysypał naboje na podłogę i od razu naładował strzelbę.

- Zostań tu - rzucił krótko i po chwili już go nie było.

Ally usłyszała tylko, jak otwierał i zamykał drzwi. Zanim wstała i podeszła do frontowego okna, Wesley zniknął jej z pola widzenia. Przestraszona weszła do kuchni, wyciągnęła z szuflady wielki nóż do mięsa i wcisnęła się do spiżarni. Zostawiła za sobą lekko uchylone drzwi, żeby słyszeć, co się dzieje.

Ogarnął ją paniczny strach. A jeśli Wes już nie wróci? Co będzie, jeśli Roland Storm zobaczy go pierwszy i zaatakuje z zaskoczenia?

- Boże, pomóż nam - modliła się cicho.

Żałowała, że nie ma przy sobie telefonu. Mogłaby zadzwonić do szeryfa. Z drugiej strony jednak, co właściwie miałaby mu powiedzieć? Że Roland Storm wynajął jej braci, by zebrali z jego pola jakieś rośliny, które ściągają mnóstwo muszek i mrówek? Storm jej nie zaatakował, nigdy jej nie groził. To on mógłby ją oskarżyć, bo przecież wtargnęła bezprawnie na jego teren. Gdyby opo-

282

W A *

wiedziała szeryfowi o martwych zwierzętach, prawdopodobnie kazałby jej zadzwonić do Inspektora Ochrony Środowiska. Istniało bowiem niebezpieczeństwo, że taka ilość padliny musiała skazić okoliczne zbiorniki wodne.

Zaczęła płakać.

- Boże, proszę, strzeż moich braci przed niebezpieczeństwem... I spraw, żeby Wesley wrócił.

Wes wybiegł z domu ze strzelbą w ręce. Czuł się tak, jakby wyruszył na spotkanie z przeszłością. Krzaki i drzewa zamieniły się w piaszczyste wydmy, a rowy stały się zamaskowanymi bunkrami.

Z bronią u boku, pochylony, poruszał się naprzód długimi skokami. Z góry dochodził warkot małego samolotu rolniczego do opryskiwania pól. Jednak Wesowi wydało się, że to iracki bombowiec. Patrzył na chmury, ale widział pociski samonaprowadzające. Zlany zimnym potem skrył się w rowie. Słońce grzało go w plecy, a jemu zdawało się, że to fala gorąca po wybuchu pocisków, natomiast popiskiwanie polującego sokoła brzmiały w jego uszach jak krzyki umierających ludzi. Schował twarz w zgięciu ramienia, czekając, aż skończy się ogień zaporowy. Uniósł się na łokciach, żeby zlustrować okolicę. I właśnie w tym momencie zobaczył w rowie, tuż przed sobą, małego żółwia błotnego, który nieśmiało wysunął głowę ze skorupy. Wes nagle poczuł się tak, jakby ktoś zgasił światło, a następnie znów je

283

zapalił. To było nagłe olśnienie. Bunkier przemienił się w zwykły wilgotny rów przydrożny, a piaszczyste wydmy w drzewa.

- Boże miłosierny - szepnął przerażony i szybko się podniósł.

Do jego uszu dobiegł charakterystyczny dźwięk pracującego silnika. Nadjeżdżała ciężarówka... to musiał być Storm.

- Boże, proszę, jeśli istniejesz, pomóż mi zachować zimną krew.

Wyskoczył z rowu na środek drogi i wycelował.

Storm był niemal sparaliżowany przez panikę. Wszystko szło fatalnie. Bracia Monroe zachowywali się jak szaleńcy, zupełnie przestali nad sobą panować. Właśnie miał wysłać ich do domu, kiedy zwrócili jego uwagę na wylatującego spomiędzy drzew, wyraźnie spłoszonego czymś ptaka. Ktoś mógł tamtędy po prostu przechodzić, ale w zaistniałej sytuacji lepiej było dmuchać na zimne. Roland nie znosił niepotrzebnego ryzykanctwa, dlatego zostawił Danny'ego i Portera na polu i skierował się do lasu.

Gdy przedarł się przez zarośla, poraził go widok ogromnej ilości martwych zwierząt. Były wszędzie. Owady, ptaki, gryzonie. Wszystkie otrute.

- O, jasna cholera - powiedział Roland do siebie. Miał już dać sobie spokój z dalszym badaniem terenu, gdy zobaczył ślad stopy. A potem następny i jeszcze jeden...

284

/

Były zbyt małe, by mógł zostawić je mężczyzna, a nikt z sąsiadów nie miał dzieci. Potem zauważył jeszcze kilka szczegółów. Osoba, która tędy przechodziła, utykała. Ally Monroe...

Nie wiedział, gdzie jest, ale z pewnością widziała wystarczająco dużo, by go zniszczyć. Jest ułomna, więc mógłby łatwo zabiec jej drogę, ale ona ma ten przeklęty traktorek, dzięki któremu już raz mu umknęła. Jednak tym razem nie pójdzie jej tak łatwo. Już on na to nie pozwoli.

Obrócił się na pięcie i pobiegł do domu. Nie zauważył, że obu braci nie ma już na polu, chociaż ciągnik i przyczepa wciąż tam stały. Był zbyt skoncentrowany na tym, żeby jak najszybciej ruszyć w pościg za Ally.

Wskoczył do samochodu, sięgnął do stacyjki i zorientował się, że znów nie ma kluczyków.

- Kurwa, chyba oszaleję! - Uderzył z wściekłością dłonią w kierownicę, wyskoczył z kabiny i wbiegł przez frontowe drzwi do domu w momencie, gdy tylnymi drzwiami wychodzili z niego Danny i Porter. Wewnątrz unosił się dziwny zapach, ale Roland nie miał czasu dochodzić przyczyny. Musiał zatrzymać Ally, zanim opowie komuś, co tu widziała. Chwytał kluczyki leżące na stole i wybiegł jak szalony. Ze zdenerwowania płątały mu się nogi. Tuż przy samochodzie potknął się i upadł.

Kiedy się podniósł, spojrzął w niebo i zobaczył cienką smugę dymu, niesioną wiatrem z południa na północ. Zorientował się, że znów nie ma przy

285

sobie kluczyków. Odwrócił się i na kolanach, z trudem podpierając się rękami, rozpoczął poszukiwania. Minęło kilka minut, zanim ujrzał je na gałązkach rozłożystego krzaka. Podszedł wolno, pochwycił zgubę, po czym dokuśtykał z trudem do samochodu i uruchomił silnik.

Nareszcie.

Skręcił gwałtownie na drogę, spod tylnych kół wyprysnęła struga błota i lawina kamyczków.

Tymczasem smuga dymu ponad drzewami rosnącymi na tyłach jego domu potężniała i stawała się coraz ciemniejsza. Przybrała kształt słupa, u podstawy którego pojawiły się języki ognia, najpierw małe, potem coraz większe. Pierwsza szopa stanęła w ogniu, a wiatr poniosł iskry dalej. Po chwili płonęły dwie następne, w których były suszarnie. Ogień błyskawicznie

dotarł do dachu domu. Ponieważ Porter rozlał benzynę we wszystkich pomieszczeniach, pożar wkrótce ogarnął cały budynek.

Całe pole stanęło w płomieniach. Ogień bezlitośnie trawił wszystko, co napotkał na swej drodze. Aż dotarł do starego traktora. Rozpoczął dzieło zniszczenia od opon, które najpierw zaczęły się tlić, a potem spłonęły. Wkrótce języki ognia dotarły do zbiornika paliwa i stary traktor Rolanda Storma przestał istnieć. On sam był już jednak zbyt daleko, żeby zobaczyć, czego dokonali Danny i Porter.

Roland stracił dużo cennego czasu przez przygodę z kluczykami, ale teraz, kiedy pędził drogą z szybkością wiatru, zaczął odzyskiwać spokój i kontrolę nad sytuacją. Przede wszystkim opano-

286

wał atak paniki. Odnalezienie kulawej kobiety i unieszkodliwienie jej nie powinno przysporzyć mu trudności. Załatwi ją, choć uczyni to z wielką przykrością. Już raz musiał posunąć się do ostateczności i złamać kark temu głupiemu staremu dziadowi, który okazał się jej wujem. Chwilowo jednak winien skupić całą swoją uwagę na prowadzeniu samochodu, a to przez głębokie koleiny, które nie pozwalały rozwinąć maksymalnej prędkości. Na szczęście te same koleiny musiały utrudniać jazdę również Ally. A to oznacza, że powinien ją lada moment dogonić.

Kiedy osiągnął szczyt wzgórza, na którym stał domek Browna i zaczął zjeżdżać w dół, jakiś mężczyzna wyskoczył z rowu wprost na drogę. Już miał zatrąbić, by przegnać szaleńca, gdy rozpoznał w nim Wesleya Holdena. Holden celował do niego ze strzelby. W takiej chwili trudno jest myśleć racjonalnie. Logika i zdrowy rozsądek zawodzą. Właśnie rozważał, czy nacisnąć pedał gazu, czy zahamować, gdy pierwsza kula wybiła dziurę w przedniej szybie samochodu po stronie pasażera. Rozpryśnięte kawałki szkła na siedzeniu i kolanach Rolanda wyglądały jak kryształki lodu błyszczące w zimowym słońcu. Odgłos wystrzału nieco otrzeźwił Rolanda. Był już po temu najwyższy czas, bo po sekundzie druga kula roztrzaskała reflektor.

Roland zaczął wrzeszczeć.

- Przestań! Przestań strzelać, ty zwariowany skurwysynu! Co robisz? Czy ty w ogóle wiesz, co

287

robisz? - Z przerażeniem patrzył, jak Holden składa się do kolejnego strzału.

- Ostrzegalem cię! - krzyknął Wes. - Powiedziałem ci, żebyś zostawił ją w spokoju.

- Nawet jej nie tknąłem - zapisał żałośnie Roland. - Jeśli twierdzi coś innego, kłamie...

Wes odstrzelił drugi reflektor.

- Cholera! Cholera jasna! Niech cię diabli! - wrzeszczał dalej Roland. - No nie! Co za świr! Włączył wsteczny bieg, nacisnął na gaz. Koła zabuksowały, wyraźnie tracąc przyczepność. Wes podniósł broń i wycelował.

Roland nacisnął hamulec, zatrzymał samochód.

I tak skończyła się jego jazda.

Doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, znikając między drzewami. Byle zejść z oczu temu niebezpiecznemu szaleńcowi.

Nie zatrzymał się ani na sekundę, nie tracił czasu na oglądanie się za siebie. Biegł, dopóki nie poczuł bólu w piersiach, a jego nogi nie zamieniły się w drżącą galaretę. Skrajnie wyczerpany, znalazł naturalny uskoki na stoku wzgórza, zebrał trochę gałęzi i położył się na nich. W chwili gdy poczuł dym, krew gwałtownie zapuśowała mu w skroniach. Przypomniat sobie, że zanim wybiegł z domu, widział cienki i wysoki słupek dymu. Czyżby gdzieś w górach wybuchł pożar?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wes zobaczył, jak Storm zniknął wśród drzew i w pierwszej chwili zamierzał go ścigać. Obawiał się jednak, że zabawa w kotka i myszkę na tym terenie może okazać się niebezpieczna. Storm znał okolicę, miał większe szansę. Kto wie, czy nie wywiódłby Wesa w pole. W ten sposób Ally byłaby narażona na jego atak. Nie, będzie jeszcze okazja, żeby dopaść Storma.

Skierował się w stronę domu. Miał w pamięci obraz Ally wybiegającej z rozwianymi włosami z lasu. Pamiętał, jak trzymał ją, drżącą i nieprzytomną ze strachu, w ramionach. Jej ciepły oddech muskał skórę na jego szyi.

Zaczął biec. Wpadł do domu z jej imieniem na ustach.

Ally słyszała strzały, ale cisza, jaka po nich nastąpiła, przerażała ją o wiele bardziej. Jeśli skończyła się strzelanina, to dlaczego Wes nie

289

wracał? Im dłużej czekała, tym bardziej wzrastało jej zdenerwowanie.

W końcu wydało jej się, że słyszy jakiś hałas przy frontowych drzwiach. Kiedy otwarły się gwałtownie, uderzając w ścianę, zacisnęła palce na rękojeści noża i wyprostowała się, gotowa do walki. W tym momencie usłyszała głos Wesa.

Upuściła nóż i otworzyła drzwi spiżarni.

- Tutaj - zawołała i wpadła wprost w jego ramiona.

Wes oparł strzelbę o ścianę, po czym przyciągnął Ally do siebie. Objęła go, chcąc się upewnić, że jest cały i zdrowy. Jej ręce ślizgały się po jego ciele i twarzy.

- Nic ci się nie stało? Słyszałam strzały. Wes, nigdy w życiu tak się nie bałam.

Wes spojrzał na nią, i po raz pierwszy przyznał przed samym sobą, że lubi trzymać ją w ramionach. Czuł w dłoniach ciężar jej bujnych włosów i ciepło jej ciała. Pomimo zadrapań na twarzy i rękach i śladów krwi na bluzce, Ally była piękna aż do bólu. Po chwili otrząsnął się jednak i popchnął ją lekko, by usiadła.

- Musimy się stąd wynieść.

- Co się dzieje? Storm jest gdzieś w pobliżu?

- Tak. Nie wiem, co tam zobaczyłaś, ale on zrobi wszystko, by cię uciszyć. To dla niego kwestia życia i śmierci.

- Nie wiem, jak nazywają się zioła, które uprawia, ale jestem pewna, że są bardzo niebezpieczne.

290

A

- Co masz na myśli?

- W lesie przy domu Storma natknęłam się na mnóstwo martwych zwierząt, a poza tym z Dan-nym i Porterem dzieje się naprawdę coś złego. Zachowywali się, jakby byli pijani albo nagle postradali zmysły. Bili się, Danny był cały zakrwawiony, i...

- Niech to diabli wezmą - mruknął Wes.

- Wygląda mi to na próbę bioterroryzmu. Pewnie Storm hodował jakiś środek odurzający. W każdym razie musimy stąd uciekać, bo on tu wróci.

Ally jęknęła, odgarniając włosy z twarzy.

- To się nie uda - powiedziała żalosnym głosem i zadrżała.

- A jednak musimy spróbować. Możesz iść? Wskazała na swoją kostkę. Zobaczył, że sinieje i puchnie, więc uklęknął, by dokonać szczegółowych oględzin. Po chwili wstał i sięgnął po strzelbę.

- Psiakrew. Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Ally. - Nie jestem w stanie iść tak szybko, żeby dotrzymać ci kroku.

- Nie będziesz musiała - odpowiedział, odwrócił się i przykucnął. - Wskakuj.

- Nie dasz rady mnie nieść - zaprotestowała.

- Jestem za ciężka.

- Nośłem mężczyzn o wiele cięższych od ciebie. Czasami dużo dalej niż trzy kilometry, które dzielą nas od twojego domu.

Ten argument ją chyba przekonał, bo przestała

291

się opierać. Usiadła mu na ramionach, ręce zarzuciła na szyję, a nogami objęła go w pasie. Wes sięgnął po strzelbę i ruszył do drzwi, zatrzymując się tylko na moment, by sprawdzić, czy Storm nie czyha na nich w zaroślach. Wtedy zobaczył dym.

- Coś się pali - powiedział. - Coś dużego.

- Och, mój Boże - jęknęła. - Pomimo deszczy, które padały w ubiegłym tygodniu, wciąż trwa susza. Ogień szybko się rozprzestrzeni...

A więc pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. Wes biegł w dół ścieżką prowadzącą do domu Ally tak szybko, jak tylko zdołał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że teraz liczy się każda sekunda.

Ally przytuliła twarz do jego karku i trzymała się go ze wszystkich sił. Nie martwiła się zbytnio

o braci. Zнали góry jak własną kieszeń. Wierzyła, że udało im się w porę uciec przed niebezpieczeństwem i ocalić życie.

Tartak, w którym pracował Gideon, był w soboty czynny tylko do południa, ale on musiał zostawać dłużej i pomagać przy rozładunku dostarczonego drewna. Potem zazwyczaj szedł do pobliskiego baru „U Kasi” i zamawiał hamburgera

1 frytki. Dzisiaj bolały go stawy, czuł także skurcze mięśni karku i pleców. Nie pierwszy raz myślał o przejściu na emeryturę. Osiągnął już odpowiedni wiek. Nie był jednak pewny, jak zniósłby beczynność i samotność, dlatego po raz

292

kolejny postanowił zastanowić się nad tym kiedy indziej.

Był już prawie w domu, gdy zobaczył dym. Czuł, jak ze strachu oblewa go zimny pot. Przez całe lata w okolicy nie było ani jednego pożaru. Ten wyglądał na potężny, a Ally została w domu zupełnie sama. Tknięty złym przeczuciem nacisnął pedał gazu. Gdy wjeżdżał na podwórze, ujrzał Wesa wybiegającego z lasu z Ally na plecach. Wskoczył z samochodu i zawołał:

- Ally, kochanie, co się stało?

- Ścigają Roland Storm. Niech mi pan pomoże wsadzić ją do samochodu - odezwał się Wes.

Gideon podbiegł szybko do auta i otworzył drzwi. Sadzając Ally na fotelu, Wes niechcący uraził ją w kostkę. Dziewczyna krzyknęła z bólu.

- O cholera, Ally, przepraszam - powiedział do niej zrozpaczony, po czym zwrócił się do Gideona: - Chciałbym skorzystać z pańskiego telefonu, a potem musimy się stąd wynosić.

Gideon otworzył frontowe drzwi.

- W salonie - rzucił krótko.

Wes wykręcił numer centrali telefonicznej.

- Nagły wypadek - powiedział. - Proszę szybko połączyć mnie z miejscowym oddziałem Agencji ds. Zwalczania Narkotyków.

Gideon nie ukrywał zdziwienia.

- Człowieku, cholera, dzwoń po straż pożarną, a nie po jakichś agentów rządowych - zdenerwował się i spojrzał groźnie na Wesa.

- Niech pan lepiej porozmawia z Ally.

293

Gideon zmarszczył czoło i pobiegł do samochodu. Wes obserwował jego wyraz twarzy, gdy słuchał relacji córki, po chwili jednak musiał skupić całą uwagę na rozmowie telefonicznej.

- Agencja ds. Zwalczania Narkotyków - odezwała się jakaś kobieta spokojnym, urzędowym tonem. - Z kim mam pana połączyć?

- Muszę jak najszybciej rozmawiać z dyrektorem. To nagły wypadek.

- Przykro mi, ale...

- Niech mnie pani, do cholery, natychmiast połączy.

Nastąpiła chwila ciszy; Wes słyszał jedynie brzęczenie w słuchawce. Najpierw pomyślał, że połączenie zostało przerwane, lecz nagle usłyszał głos jakiegoś mężczyzny.

- Tu Mitch Collins. Mam nadzieję, że to naprawdę ważna sprawa. Obraził pan moją pracownicę. Nie toleruję takich zachowań.

- Proszę posłuchać, nazywam się pułkownik Wesley Holden, służyłem w jednostce do zadań specjalnych. Mieszkam w pobliżu miejscowości Blue Creek w Wirginii Zachodniej. Proszę przysłać tu ludzi z pańskiej agencji, jak również z Korpusu Obrony Cywilnej, jak najszybciej. Może też kogoś z Federalnego Biura Śledczego. Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia, ale jestem przekonany, że trafiłem na ważny ślad. Chodzi o uprawę zupełnie nowego narkotyku lub też działania mające jakiś związek z bioterroryzmem. Na polu, na którym jest uprawiana ta roślina,

294

znaleźliśmy ogromne ilości martwych zwierząt. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie dla sprawy, ale obawiam się najgorszego.

- Proszę powtórzyć pańskie nazwisko - poprosił Mitch Collins.

- Pułkownik Wesley Holden z jednostki do zadań specjalnych. Może pan zadzwonić do dowódcy Fortu Benning w Georgii. Przy okazji proszę mu powiedzieć, że jestem zdrowy i wszystko u mnie w porządku.

- Pod jakim numerem mogę pana łąpać? - zapytał Collins.

- Niestety, musimy się natychmiast ewakuować z tego miejsca, bo w okolicy wybuchł pożar, który szybko się rozprzestrzenił. Proszę dzwonić do biura szeryfa w Blue Creek. Powiedzą panu, jak tu trafić.

Odłożył słuchawkę i pobiegł do samochodu.

Gideon był błydy, przestraszony i roztrzęsiony, a Ally wyglądała tak, jakby przed chwilą płakała. Wes poprosił starszego pana, żeby zajął miejsce pomiędzy nim i Ally, a sam zasiadł za kierownicą.

- Trzymajcie się - powiedział do nich. - To może być ostra jazda.

- Czy dzwoniłeś do straży pożarnej? - zapytał Gideon.

- Nie.

Ally popatrzyła na niego zdziwiona.

- Dlaczego jeszcze nie? Wyciągnął rękę.

- Popatrz na to - powiedział.

295

Płomienie ogarniały wierzchołki drzew znajdujących się od nich w odległości około półtora kilometra, niebo było zasnute kłębamii dymu.

- Pamiętasz, co tam widziałeś?

Ally zmarszczyła czoło, ale po chwili namysłu zrozumiała, do czego zmierza Wes.

- Pożar zniszczy wszystko, nawet to, co zabija zwierzęta, prawda?

- Miejmy nadzieję - powiedział Wes. - Ale nie możemy posyłać ludzi do walki z ogniem, bo musieliby zmagać się z czymś o wiele groźniejszym niż pożar.

- Wielki Boże - odezwał się Gideon i zakrył rękami twarz. - Moi synowie.

Ally trzęsała się jak osika, ale zdołała powstrzymać się od płaczu. Spojrzała na Wesa.

- Zabierz nas stąd - powiedziała, siląc się na spokój.

Na drodze natknęli się na dwa wozy strażackie spieszące do pożaru. Wes zatrzymał je, potem zwięźle wyjaśnił dowódcy i jego ludziom, dlaczego powinni pośpiesznie zawrócić do Blue Creek.

Ally była tak przerażona, że zrobiło jej się niedobrze. Jej ojciec postarzał się w oczach, jakby skurczył się i zmałał. Obejmował ramionami córkę i płakał.

- Wes?

- O co chodzi? - zapytał, nie odrywając wzroku od drogi.

- Co z nami będzie?

- O nic się nie martw. Wyjdziemy z tego

296

bez szwanku - odpowiedział bez wahania. - Obiecuję ci.

- A co będzie z moimi braćmi? Co z Rolandem Stormem?

- Jeden Pan Bóg raczy wiedzieć - mruknął bardziej do siebie niż do niej.

Dziewczyna nachyliła się w stronę ojca, żeby przytrzymać go mocniej, kiedy auto po raz kolejny podskoczyło na wybojach. Nagle zauważyła drogę prowadzącą do domu Babci Devon. Krzyknęła przenikliwie:

- Wes, zatrzymaj się!

Zahamował tak gwałtownie, że samochód wpadł w lekki poślizg. Gęste kłęby dymu schodziły ze wzgórza coraz niżej.

- Babcia Devon! Jej dom jest przy drodze, trochę wyżej. Ona zginie, jeśli jej nie zabierzemy! Wes nie miał wątpliwości, jak powinien postąpić. Zawrócił samochód i ruszył w górę drogi. Gryzący dym zaczął się przedostawać do wnętrza samochodu. Gideon kasłał tak gwałtownie, że aż się krztusił. Ally wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła ojcu do twarzy.

- Proszę, tatusiu, tak będzie ci lepiej oddychać. Przycisnął chusteczkę kurczowo do ust i pochylił się do przodu.

Wesley utrzymywał stałą prędkość, co na tej pełnej wybojów drodze było prawdziwym wyczynem. Był zmęczony i powoli zaczynał tracić rozeznanie, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też jest reminiscencją zdarzeń z przeszłości.

297

- Jak daleko jeszcze? - rzucił krótko.

- Tam! - krzyknęła Ally i wskazała ręką na dom otoczony kłębami dymu. - To tam!

Przy gwałtownym hamowaniu Wes omal nie zawadził o ganek.

- Czekajcie w samochodzie! - nakazał im i wyskoczył na zewnątrz.

Ally siedziała struchlała, słuchając trzasku pochłanianych przez ogień gałęzi.

Gdy już pogodziła się z tym, że przyjdzie im tutaj zginąć, Wes wyłonił się z dymu, niosąc na rękach drobną kobietę.

Ally otworzyła drzwi samochodu i wystawiła

ręce.

- Daj mi ją! - krzyknęła. - Usiądzie mi na kolanach.

Wes wsadził Babcię do środka i niemal w biegu zatrzasnął drzwi. Ogień był tak blisko, że Wes czuł na plecach jego gorący oddech. Piekła go twarz, miał nadpalone włosy, metalowe nity jego dżinsów nagrzały się i parzyły mu skórę.

Babcia Devon trzęsała się jak w febrze, ale zdołała zapytać słabym głosem:

- Co się dzieje, Ally? Czuję dym.

- Pożar lasu, Babciu. Całe wzgórze stanęło w ogniu.

- O, Boże, mój biedny pan Biddle. Dziękuję ci, kochanie, że się zjawiałaś. Na pewno byłoby po mnie. Ocaliłaś mi życie.

- Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło - powiedziała Ally.

298

Wes zasiadł za kierownicą i po chwili znów byli w drodze. Teraz prowadził samochód bardziej na wycucie, ponieważ kłęby dymu utrudniały widoczność. Raz omal nie wpadli do rowu, dwa razy tylko cudem nie zderzyli się z drzewem. Wreszcie udało im się wjechać z powrotem na drogę prowadzącą do Blue Creek.

Wiatr przybrał na sile, przenosząc pożar coraz bardziej na wschód, czyli dokładnie w ich kierunku.

Babcia Devon wierciła się niespokojnie w ramionach Ally. Nie widziała, co się dzieje, ale zdawała sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa.

Ally jedną ręką obejmowała staruszkę w pasie, a drugą trzymała ojca. Gdy popatrzyła na Wesa, zobaczyła, że jest bardzo zdenerwowany i chwilami ściska kierownicę tak mocno, aż bieleją mu kostki.

- Wes, wyjdziemy z tego?

- Nie pozwolę ci zginąć. Przysięgam. - Nagle skręcił gwałtownie i cicho zaklął.

- Co się stało? - krzyknęła Ally.

- Wiatr zmienił kierunek. Trzymaj się! Dodał gazu. Teraz jechali jeszcze szybciej i Ally zdawało się, że fruną w powietrzu. Przemknęli obok śmiertelnie przerażonej sarny i jelenka. Zwierzęta miały osmalone boki, biegły w panice wprost przed siebie, ale widać było, że już opadają z sił.

- O, Boże - wyszeptała Ally i oderwała od

299

nich wzrok. - Te biedne zwierzęta nawet nie wiedzą, że za chwilę będą martwe.

Drzewo rosnące na poboczu drogi zaczęło pękać i chwiać się pod naporem ognia i wiatru.

Widząc to, Wes przeraził się, że za chwilę na nich

runie.

— Drzewo! - krzyknęła panicznie Ally.

- Nie bój się - uspokoiła ją Babcia, ściskając jej rękę. - Uda nam się.

Miała rację. Przejechali obok chwiejącego się drzewa, zanim zważyło się ciężko na drogę, blokując przejazd. Mieli szczęście, kilometr po kilometrze oddalali się od dymu i ognia. Gdy w końcu znaleźli się przy rzece, od której Blue Creek wzięło swą nazwę, wiedzieli, że są już bezpieczni.

Most na rzece Blue Creek został zbudowany w czasach Wielkiego Kryzysu. Konstrukcja łącząca oba brzegi szerokiej i płytkiej rzeki była pokryta rdzą i aż wołała o farbę. Drewniane elementy były wielokrotnie wymieniane, toteż prezentowały się o wiele lepiej. Jednak dzisiaj, gdy Wes pełną szybkością wjechał na most, grube deski klekotały nieprzyjemnie. Ten dźwięk skojarzył się Wesowi z odgłosem strzałów z karabinu maszynowego. Pochylił głowę, gotów w każdej chwili gwałtownie skręcić w bok.

Ally obserwowała go cały czas i gdy zobaczyła, jak zmienia się na twarzy, chwyciła go za rękę.

- Wes! Wes! Udało się! Jesteśmy na moście!

Jej głos przywrócił go do rzeczywistości, a do-

300

nich wzrok. - Te biedne zwierzęta nawet nie wiedzą, że za chwilę będą martwe.

Drzewo rosnące na poboczu drogi zaczęło pękać i chwiać się pod naporem ognia i wiatru.

Widząc to, Wes przeraził się, że za chwilę na nich

runie.

— Drzewo! - krzyknęła panicznie Ally.

- Nie bój się - uspokoiła ją Babcia, ściskając jej rękę. - Uda nam się.

Miała rację. Przejechali obok chwiejącego się drzewa, zanim zważyło się ciężko na drogę, blokując przejazd. Mieli szczęście, kilometr po kilometrze oddalali się od dymu i ognia. Gdy w końcu znaleźli się przy rzece, od której Blue Creek wzięło swą nazwę, wiedzieli, że są już bezpieczni.

Most na rzece Blue Creek został zbudowany w czasach Wielkiego Kryzysu. Konstrukcja łącząca oba brzegi szerokiej i płytkiej rzeki była pokryta rdzą i aż wołała o farbę. Drewniane elementy były wielokrotnie wymieniane, toteż prezentowały się o wiele lepiej. Jednak dzisiaj, gdy Wes pełną szybkością wjechał na most, grube deski klekotały nieprzyjemnie. Ten dźwięk skojarzył się Wesowi z odgłosem strzałów z karabinu maszynowego. Pochylił głowę, gotów w każdej chwili gwałtownie skrócić w bok.

Ally obserwowała go cały czas i gdy zobaczyła, jak zmienia się na twarzy, chwyciła go za rękę.

- Wes! Wes! Udało się! Jesteśmy na moście!

Jej głos przywrócił go do rzeczywistości, a do-

300

tyk uspokoił rozedrgane nerwy. Pokręcił głową i zaczął zwalniać.

Po drugiej stronie rzeki stała grupa mężczyzn. Wes rozpoznał w nich strażaków, których spotkali na drodze. Gdy jeden z nich skinął na niego, zatrzymał samochód. Był to Harold. Podszedł do samochodu i sięgając przez otwarte okno, chwycił Wesa za ramię.

- Wes, nie masz pojęcia, jak się cieszymy, że z wami wszystko w porządku! Dzięki Bogu, że zabraliście po drodze Babcię Devon. - Odwrócił się i spojrzał w stronę wzgórza. - Gdzie są Danny i Porter? - spytał z powagą w głosie.

Gideon jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wiemy - odpowiedział Wes, i dodał: - Potrzebujemy lekarza.

Harold zwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

- Czy doktor Ferris jest jeszcze w barze „U Kasi”?

- Tak.

- Biegnij po niego, dobrze? Gideon nie wygląda za dobrze. - W tym momencie zauważył krew na twarzy i ubraniu Ally. - Bój się Boga, dziewczyno. Ty też potrzebujesz pomocy lekarza.

Babcia Devon poklepała Ally po ręce.

- Ona szybko przyjdzie do siebie, ale byłabym wdzięczna, gdyby ktoś odwiózł mnie do domu mojej siostrzenicy. Pewnie zamartwia się o mnie na śmierć.

Wes wyskoczył z samochodu i pośpieszył

301

otworzyć drzwi po stronie Ally. Gdy pochylił się, żeby wziąć Babcię na ręce, on i Ally spojrzeli sobie głęboko w oczy.

Przez chwilę Ally miała wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Widziała swoje odbicie w źrenicach Wesa i smugę popiołu na jego policzku. Napięcie na twarzy Wesa malało, w miarę jak jego spojrzenie przesunęło się w dół, w kierunku ust Ally. Gdy zobaczył jej obrażenia, rysy jego twarzy stężały, a czoło pokryło się bruzdami.

Opanował się jednak i podniósł Babcie, by wynieść ją z samochodu.

- Niech się pani nie denerwuje - zwrócił się do niej łagodnym głosem. - Ally, uważaj na jej głowę, dobrze?

- Tak, oczywiście - odparła i pomogła mu wynieść starszkę z kabiny samochodu. - Uważaj na siebie, Babciu! - zawołała jeszcze, gdy strażacy zabierali starszą panią.

Pojawił się doktor Ferris. Rzucił okiem na pasażerów ciężarówki i zawyrokował:

- Myślę, że powinniśmy odwieźć Gideona do szpitala. Tam też opatrzymy rany i zadrapania na twarzy Ally.

- Niech pan jedzie pierwszy, doktorze. Ja nie znam drogi - powiedział Wesley, znów wsiadł do samochodu i ruszył za doktorem do miejscowego szpitala.

Gdy tylko zatrzymali się przy izbie przyjęć, pojawiła się pielęgniarka z wózkiem, żeby zabrać Gideona. Wes pomógł mu, a następnie zajął się

302

Ally. Dziewczyna krzywiła się z bólu, kiedy układał ją na łóżku w niewielkiej salce. Po chwili zajrzała do niej pielęgniarka.

- Cześć, Marsha - powitała ją Ally.

Marsha знаła Ally od dziecka, nic więc dziwnego, że była szczerze zatroskana stanem jej zdrowia.

- Witaj, Ally - odpowiedziała. - Co się stało?

- Pożar - odparła krótko.

Marsha rzuciła ciekawym okiem na Wesa, ale ponieważ nie odezwał się ani słowem, zabrała się do wykonywania swoich czynności.

Gdy zaczęła zdejmować but z chorej nogi Ally, dziewczyna zagryzła wargi do krwi, żeby nie krzyczeć z bólu.

- Boli?

Tul-

1 Cl IV.

- Przykro mi. Zaraz przyjdzie do ciebie lekarz.

- Dobrze, w porządku, ale czy mogłabyś mi powiedzieć, jak czuje się tata?

- Zaraz się dowiem - obiecała Marsha. Wes obserwował bacznie pielęgniarkę, która,

jego zdaniem, zbyt brutalnie obchodziła się z siną i spuchniętą kostką Ally.

Kiedy podczas kolejnej próby delikatnego nastawienia zwichniętej kostki Ally aż syknęła z bólu, nie wytrzymał i chwycił pielęgniarkę za rękę.

- Wystarczy. Marsha obruszyła się.
- Bardzo proszę, żeby pan poczekał przed salą.
- Nie.

303

Marsha była zaskoczona. Miała już oczywiście do czynienia z kłótliwymi i upartymi pacjentami, lecz nigdy nie spotkała się z tak zdecydowaną i ostrą reakcją.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie może pan...
- Niepotrzebnie naraża ją pani na ból - rzekł Wes spokojnie. - Proszę przeświecić jej stopę i zostawić ją w spokoju.

Ally ścisnęła jego rękę.

- Marsha robi tylko to, co do niej należy
- powiedziała cicho.

Wes zmarszczył czoło.

- Nie mówię, że nie robi - odparł. - Ja tylko podpowiadam, jak zrobić to lepiej.

Marsha zmusiła się do uśmiechu.

- Dobrze, kochanie - zwróciła się do Ally.
- W zasadzie ten pan ma rację. Personel medyczny często zapomina, że nie wolno niepotrzebnie narażać pacjentów na ból. Zaraz przyślę tu kogoś, kto zabierze cię na prześwietlenie.

Wes odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła za drzwiami, znowu spojrzął na Ally. Na szpitalnym łóżku wydawała się mała i bezbronna. Przypomniał sobie jej przerażoną twarz, gdy wybiegała z lasu, i dotknął pokaleczonego policzka, uważając, żeby jej nie urazić.

- Co on ci zrobił? - zapytał cicho.

Ally wzdrygnęła się, widząc wyraz oczu Wesleya.

- Nawet mnie nie dotknął - odpowiedziała. - Ale to nie znaczy, że nie próbował. Gonił mnie.

304

W moim traktorku skończyło się paliwo. Zepchnęłam go z drogi i zaczęłam uciekać. - Chwyciła Wesa za rękę. - Dzięki Bogu byłeś w domu.

- Co, u diabła, tam robiłaś? Mówiłem ci, że on cię śledzi. Wiedziałaś, jakie to niebezpieczne. Jego gniew udzielił się Ally. Uniosła się na łokciach.

- Martwiłam się o braci. Nie widziałeś, jak zachowywali się Porter i Danny. Byli przestraszeni tym, co tam się działo, a jednak znowu poszli do pracy. Musiałam dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

Wes zaniepokoił się.

- Przestraszeni? Co masz na myśli? Ally zadygotała.

- Zupełnie nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Po pierwszym dniu pracy wrócili do domu w okropnym nastroju. Wyglądało, jakby byli wściekli na siebie nawzajem, a oni prawie nigdy się nie kłócili. A ich ubrania... Porter nie pozwolił mi dotykać ich ubrań. Rozebrali się na zewnątrz, włożyli wszystko do pralki, a potem znów mnie ostrzegli, żebym trzymała się z daleka od ich ciuchów. Każdy następny dzień był gorszy od poprzedniego. A dziś, kiedy zobaczyłam ich na polu Storma, zachowywali się jak szaleńcy. Bez przerwy się drapali i tarli mocno oczy. Oblazły ich owady, setki muszek i mrówek. Potem zaczęli się bić. To było okropne. Oni nigdy przedtem nie byli agresywni, nigdy. I te zwierzęta...

- Martwe? - zapytał przejęty Wes.

305

- Tak. Były wszędzie. Wiewiórki, sarny, ptaki, wszystko. I nie pożarł ich żaden drapieżnik. Te rozkładające się ciała, odór śmierci... - Zakryła rękami twarz. - To wyglądało jak... dzieło szatana.

Wes poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Tak samo czuł się owej nocy, gdy zakradł się do domu Storma. Nie umiał nazwać tego zjawiska, ale Ally tego dokonała. Tak, to wszystko wyglądało jak dzieło szatana.

Ally przytuliła się do niego.

- Boję się o braci, o nas wszystkich. - Nagle wybuchnęła głośnym szlochem.

- Co się stało?

- Buddy. On tam został... Był takim kochanym psem. Nie zasłużył sobie na taki okropny koniec.

- Tak, śmierć rzadko ogłasza swoje przybycie - powiedział z goryczą w głosie.

Ally zmieszała się.

- Och, Wes, tak mi przykro. Ja rozpaczam nad psem, a ty straciłeś całą rodzinę. Wybacz mi... nie chciałam...

- Daj spokój. Nie można zmierzyć żalu i smutku i porównać, czyj jest większy. To nie aukcja, żeby się licytować. Żal sprawia, że stajemy się silniejsi, i w pewnym sensie nas uzdrawia. Wiem to z własnego doświadczenia. Jest rzeczą naturalną, że rozpaczasz z powodu

tych, których kochałaś, więc nie dziwi mnie twój smutek wywołany losem Buddy'ego. To był naprawdę dobry pies.

Ally oparła się o niego i przymknęła oczy.

306

- Bardzo się boję.

Mówiła tak cicho, że prawie jej nie słyszał. Mocno objął ją ramionami.

- Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Nikomu i niczemu - powiedział z mocą.

Ally dotknęła jego ramienia.

- Przepraszam cię, Wes.

- Za co?

- Że przeze mnie przerwałeś swoją wędrówkę. Gdybym nie zaproponowała ci zamieszkania w chacie wuja Doo, byłbyś teraz daleko stąd, daleko od tego koszmaru.

- Moje życie było koszmarem, zanim tu dotarłem - odpowiedział jej poważnie. - Dzięki tobie zmieniło się na lepsze.

Ally ogarnęło podniecenie. Dzisiaj otarła się o śmierć i patrzyła na wiele spraw z innej perspektywy. Wiedziała, że jeśli nie powie teraz tego, co od dawna nosiła w sercu, będzie żałowała do końca życia.

- Nie zrobiłam tego z czystej uprzejmości.

- Co masz na myśli?

- Być może zabrzmi to tak, jakbym była pomyłona, lecz po tym, co oboje przeszliśmy, muszę to powiedzieć. Przez całe życie miałam tylko jedno, zawsze to samo marzenie. Wyobrażałam sobie, że nieznajomy mężczyzna wychodzi z lasu za moim domem i... wchodzi w moje życie. Zupełnie tak, jak ty to zrobiłeś. Gdy cię zobaczyłam, pomyślałam, że oto spełniają się moje marzenia. Poprosiłeś o łyk wody, dokładnie tak, jak

307

w moich fantazjach. Rozumiesz więc, że musiałam zaproponować ci schronienie, bo... bo czekałam na ciebie od bardzo dawna.

Słuchając jej wyznania, Wes był bardzo poruszony, a jednocześnie rozdarty wewnątrz. Zasługiwała na tak wiele, lecz on nie miał jej prawie nic do zaoferowania.

- Och, Ally, moje życie to jeden wielki chaos.

- A ja jestem w tobie zakochana - wyznała. Wes przycisnął ją do siebie.

- A co będzie, jeśli cię zranię?

- A co będzie, jeśli umrę, nie wiedząc, jak to jest kochać mężczyznę?

Uspokoił się i zapytał ją prawie szeptem:

- Nigdy nie miałaś mężczyzny?

- Nie.

Pragnął teraz, żeby jego serce biło nieco wolniej. Pochylił się i pocałował ją.

Jej wargi były delikatne i miękkie. Zatracił się w pieszczocie. Dopiero gdy poczuł rękę Ally na swojej szyi, przypomniał sobie, gdzie się znajdują.

Oderwał się od ust Ally i objął rękami jej twarz, mrużąc oczy.

- Spójrz na mnie.

Kiedy zawstydzona spuściła głowę, odezwał się jeszcze raz, tym razem głośniej.

- Nie. Nie odwracaj się. Popatrz na mnie. Mam straszliwy zamęt w głowie. Mój mózg wciąż podsuwa mi obrazy z przeszłości. Wtedy tracę kontakt z rzeczywistością i wydaje mi się, że
308

jestem na wojnie. To nie jest normalne. Boję się, że mógłbym cię skrzywdzić.

- No to pomyśl, jak wyglądałoby moje życie, gdybyś się tu nie zjawił. Roland Storm jest niebezpieczny, Bóg jeden wie, jakie ma zamiary. Sam mówiłeś, że mógłby mnie skrzywdzić. Ty mnie uratowałeś.

Wes wiedział, że w słowach Ally nie ma wiele przesady.

- Zgoda, ale teraz ani słowa, dopóki ty i twój ojciec nie wydobrzejecie i nie znajdziecie się w bezpiecznym miejscu.

- I dopóki nie dowiemy się czegoś o Dannym i Porterze.

Przytaknął, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że umknięcie przed tak potężnym pożarem ograniczyłoby z cudem. Bracia Ally nie mieli wielkich szans na przeżycie.

Podczas gdy Wes i Ally uciekali ze wzgórza w kierunku jej domu, Roland powoli wychodził ze swojej prowizorycznej kryjówki na stoku. Od dość dawna czuł swąd dymu, nic więc dziwnego, że zaczął się nie na żarty niepokoić. Dotychczas nie miał pojęcia, co dzieje się wokół. Owszem, w tym rejonie od dawna panowała susza i byle iskra mogła wywołać pożar, jednak dym widoczny nad odległymi wierzchołkami drzew jakoś nie robił na nim wrażenia. Martwił się jedynie, że dym cały czas przesuwają się w jego kierunku. Wybiegł na drogę, by zorientować się w sytuacji.

309

jestem na wojnie. To nie jest normalne. Boję się, że mógłbym cię skrzywdzić.

- No to pomyśl, jak wyglądałoby moje życie, gdybyś się tu nie zjawił. Roland Storm jest niebezpieczny, Bóg jeden wie, jakie ma zamiary. Sam mówiłeś, że mógłby mnie skrzywdzić. Ty mnie uratowałeś.

Wes wiedział, że w słowach Ally nie ma wiele przesady.

- Zgoda, ale teraz ani słowa, dopóki ty i twój ojciec nie wydobrzejecie i nie znajdziecie się w bezpiecznym miejscu.

- I dopóki nie dowiemy się czegoś o Dannym i Porterze.

Przytaknął, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że umknięcie przed tak potężnym pożarem graniczyłoby z cudem. Bracia Ally nie mieli wielkich szans na przeżycie.

Podczas gdy Wes i Ally uciekali ze wzgórza w kierunku jej domu, Roland powoli wychodził ze swojej prowizorycznej kryjówki na stoku. Od dość dawna czuł swąd dymu, nic więc dziwnego, że zaczął się nie na żarty niepokoić. Dotychczas nie miał pojęcia, co dzieje się wokół. Owszem, w tym rejonie od dawna panowała susza i byle iskra mogła wywołać pożar, jednak dym widoczny nad odległymi wierzchołkami drzew jakoś nie robił na nim wrażenia. Martwił się jedynie, że dym cały czas przesuwa się w jego kierunku. Wybiegł na drogę, by zorientować się w sytuacji.

309

Ku swemu przerażeniu zobaczył zbliżającą się w zawrotnym tempie ścianę dymu. Słyszał trzaski, gdy ogień pochłaniał kolejne drzewa na swej drodze, i w jednej sekundzie pojął, jak niebezpieczne i głupie jest dalsze przebywanie w tym miejscu. Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Miał sylwetkę biegacza, ale od dawna nie dbał o kondycję. Lata spędzone w laboratorium zrobiły swoje, Roland odzwyczaił się od wysiłku fizycznego, a jego mięśnie zwiotczały. Wprawdzie strach dodał mu skrzydeł, ale tylko na krótko. Niebawem zaczęło mu brakować tchu. Dokuczały mu skurcze i nieznośne klucie w boku. Powinien się zatrzymać, przynajmniej na chwilę, żeby uspokoić oddech, wiedział jednak, że nie może pozwolić sobie na odpoczynek.

W ciągu zaledwie kilku minut dym zgęstniał na tyle, że przesłonił wszystko wokół. Roland coraz wyraźniej słyszał niepokojące odgłosy pożaru, teraz niemal tuż za plecami. Przeważony wybuchnął spazmatycznym szlochem. Nie zasługiwał na taką śmierć. Dlaczego los jest taki okrutny i niesprawiedliwy?

Wkrótce zaczął kuleć, a po jakimś czasie nogi zupełnie odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na ziemię, krztusząc się i kaszląc, boleśnie świadom grożącego mu niebezpieczeństwa. Dym

drażnił mu oczy, wciskał się do nosa i ust, boleśnie parząc gardło. W pewnej chwili podmuch wiatru rozwał dym na tyle, że przez moment Roland mógł dojrzeć drogę przed sobą. Gdy zorientował się, że

310

widzi tył swojej ciężarówki, podniósł się. Samochód oznaczał dla niego zbawienie, a nadzieja dodała mu sił i popchnęła do działania.

- Dzięki Ci, Boże - szepnął i zataczając się, dotarł do wozu.

Kluczyk tkwił w stacyjce, ale Roland nie był pewien, czy zdoła uruchomić samochód. Ten szalenciec Holden mógł przecież podczas strzelaniny uszkodzić silnik.

Drżącą ręką sięgnął do kluczyka i obrócił go. Udało się. Pomijając fakt, że jedna z kul wystrzelonych przez Wesa uszkodziła chłodnicę, z której wyciekł prawie cały płyn, pojazd był w miarę sprawny. Roland nacisnął pedał gazu. Doznał nieprawdopodobnej ulgi, gdy auto ruszyło i z każdym metrem zaczęło nabierać prędkości. Gdy przejeżdżał obok domu, w którym mieszkał Holden, uśmiechnął się z wyższością. Holden miał się za supermana, ale okazał się skończonym głupkiem. Nie pomyślał, żeby skorzystać z porzuconego pojazdu. Roland zaczynał odczuwać dreszcz rozkoszy, wyobrażając sobie, jak Holden i Ally giną w płomieniach. Dostali to, na co zasługiwali.

Jednak jego dobre samopoczucie wkrótce ulotniło się bez śladu. Wiatr błyskawicznie przenosił ogień, szansa na ucieczkę malała z sekundy na sekundę. Roland próbował zwiększyć prędkość, ale silnik ciężarówki zaczął się zacierać.

Gdy dym wypełnił kabinę, Storm wymachując gwałtownie ręką, przeklinał Boga, choć jeszcze

311

kilka minut wcześniej dziękował mu za cudowne ocalenie. Silnik ciężarówki przeraźliwie rzeził, spod maski dochodziło równomierne stukanie. Po kilku sekundach nastąpiła eksplozja. Podmuch uniósł maskę samochodu, całkowicie zasłaniając widoczność. Storm próbował zapanować nad pojazdem, ale bezskutecznie. Przy trzydziestu kilometrach na godzinę samochód przetoczył się przez rów. Roland został z ogromną siłą wyrzucony do góry. Uderzył w sufit kabiny, a gdy spadał, trafił podbródkiem w koło kierownicy. Po kilku sekundach ciężarówka wjechała między drzewa i zatrzymała się na nich gwałtownie. Roland opadł na deskę rozdzielczą.

Zamroczony wskutek uderzenia, z krwawiącym nosem i rozbitym podbródkiem patrzył przez chwilę na zbliżającą się ścianę ognia. Wreszcie oprzytomniał na tyle, by rzucić się do drzwi. Niestety, nie dał rady ich otworzyć.

Coraz bardziej przerażony usiłował otworzyć drzwi po stronie pasażera, ale te również nie reagowały na jego rozpaczliwe próby.

—Nie, nie, nie! - krzyczał histerycznie, po czym zaczął uderzać w nie pięścią. - Ratunku! Niech mi ktoś pomoże!

I choć szykował się na najgorsze, los widać chciał inaczej. Ogromny konar drzewa zachwiał się nagle i upadł z taką siłą, że zmiotł maskę samochodu i roztrzaskał przednią szybę ciężarówki. Uwieczony w śmiertelnej pułapce Roland natychmiast dojrzał szansę na ocalenie. Już po chwi-

312

li leżał na ziemi, z trudem walcząc o oddech. Zdołał się jednak jakoś pozbierać, stanął na nogach i zaczął znowu biec, prawie nie czując bólu. Przy widoczności często nie przekraczającej pół metra, pędził z pochyloną głową przez gęsty las. Za każdym razem, gdy już wydawało się, że roztrzaska się o jakieś drzewo, udawało mu się zmienić kierunek. Ani na chwilę nie przestawał biec, bo wiedział, że walczy o życie.

Gorący podmuch pożaru ścigał go zajadle, był tuż za jego plecami. Gdy Roland poczuł swąd swoich włosów, zaczął wrzeszczeć. Buty parzyły go w stopy, a powietrze było tak gorące, że prawie nie mógł nim oddychać. Ognisty demon chciał go unicestwić.

Zbliżał się koniec.

Biegnąc ostatkiem sił, Roland uniósł ręce do nieba w nadziei, że stamtąd przyjdzie ratunek. Biegł jeszcze kilka sekund, gdy nagle ziemia usunęła mu się spod nóg. Potknął się, ale nie przewrócił. Leciał w powietrzu, wymachując gorączkowo ramionami. Wreszcie wylądował gdzieś z głośnym pluskiem. Chłodna woda, w którą wpadło jego udreżone ciało, przyniosła mu niewyobrażalną i błogosławioną ulgę.

Rzeka zwiększała jego szansę na ocalenie.

Wciąż słyszał odgłosy pożaru i czuł na plecach podmuch gorącego powietrza. Wiedział, że jeszcze nie jest zupełnie bezpieczny. Zaczął brnąć przez wodę tak szybko, jak tylko mógł.

Zatrzymał

313

się, dopiero gdy uznał, że znajduje się dostatecznie daleko od brzegu. Spojrzał przez ramię i zobaczył na brzegu rzeki płonące drzewa, które wyciągały gałęzie, żeby go pochwycić. Wziął głęboki wdech i zanurzył się w wodzie wraz z głową.

Danny i Porter znajdowali się na polu Storma, obserwując, jak ogień ogarnia coraz większe połacie gruntu. Podpalanie zielonych łądyg nie miało sensu, ale ogień, który rozpalili na

ziemi, w końcu zrobił swoje. W wysokiej temperaturze łądygi pękały z hukiem, rozsadzane przez wrzący sok, który rozpryskiwał się i rozlewał na coraz większej powierzchni.

Danny'ego bolała głowa i odnosił wrażenie, że jego pierś zaraz eksploduje. Ścisnął rękami czaszkę tak mocno, jakby chciał zmienić jej kształt, ale to nie przynosiło ulgi. Urywany szloch, który wydobywał się z jego piersi, przeszedł w jęk, a potem w gardłowe warczenie. Wydawało mu się, że płomienie kołyszą się w jakimś upiornym tańcu, szydząc z jego nieszczęścia.

- Ogień - mamrotał i wymachiwał ręką. - Ogień, ogień, ogień! - krzyczał przeraźliwie, przewracając oczami. Wreszcie upadł na ziemię i znieruchomiał, jakby sparaliżowany i wyczerpany atakiem szału.

Porter klęczał za nim i wymiotował. Jego ubranie i skóra przeszły zapachem tych okropnych roślin. Pomiedzy atakami nudności opędzał się od mrówek, które miał już wszędzie; wchodziły mu

314

nawet do uszu i ust. Żeby się ich pozbyć, zdarł z siebie koszulę, ale niewiele to pomogło.

Ogarnięty kolejnym atakiem nudności, pochylił głowę i wygiął plecy. Wreszcie zemdłał, wyczerpany wymiotami i skurczami pustego żołądka. Gdy po chwili przyszedł jakoś do siebie, leżał na wznak i patrzył w niebo. Miał wrażenie, że słońce przemieszcza się po nim z hałasem, a niebo zaraz spadnie na ziemię. Podniósł ręce, żeby je odepchnąć, żeby go nie zmażdżyło, ale nagle zwinął się w kłębek porażony rozdzierającym bólem. Krew w jego żyłach wrzała, gałęzie rosnącego nieopodal drzewa zamieniły się w obrzydliwe węże, które atakowały go i kąsały. Krzyknął przeraźliwie i rozpaczliwie próbował odczołgać się w bezpieczne miejsce. W końcu usiadł na ziemi i bezmyślnie zaczął bawić się kroplami krwi kapiącej mu z nosa.

Danny leżał na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami, wśród tłących się łądyg, i mamrotał wersety z Biblii, których nauczył się w dzieciństwie. Jego ubranie zaczynało już dymić. Gdy nagle zapaliła się jego koszula, nie zareagował. Spaliłby się żywcem, gdyby nie Porter, który pochwycił go za nogi powyżej kostek, odciągnął na bok i zdusił ogień.

- Mrówki - mrucał pod nosem i okładał pięściami Danny'ego, po czym szarpnął raz i drugi jego koszulę i zdarł ją z brata. - Przekłete mrówki... niech je cholera... Nigdy więcej mrówek. Nigdy więcej.

315

Krew z nosa Portera kapała Danny'emu na brzuch i twarz, lecz zdrętwiały z bólu Danny nie zwracał na to uwagi. Na jego skórze zaczęły pojawiać się pierwsze bąble. Ostatkiem sił wstał, i zataczając się, ruszył w kierunku przeciwnym do rozprzestrzeniającego się pożaru.

Porter oglądał ręce przekonany, że krew zaczyna powoli, tak jak mrówki, pokrywać jego skórę. Mrówki, muszą pozabijać wszystkie mrówki, pomyślał.

Nagle zobaczył oszalałą ze strachu sarnę z nadpaloną sierścią i prawie oślepioną przez ogień. Uciekała w poprzek tłącego się pola, a potem wbiegła za Dannym do lasu.

Oczy Portera rozszerzyły się i zapłonęły dziwnym blaskiem.

— Czas na polowanie - wymamrotał.

Bez żadnego powodu ściągnął buty, namacał zatknięty za pasem nóż, którym ścinał lodygi i wbiegł pomiędzy drzewa.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pożar zatrzymał się na rzece. Miejscowe władze, idąc za radą Wesleya, zablokowały dojazd do mostu. Zapadł już zmierzch, a drzewa ciągle się tliły, ale gdy nastały prawdziwe ciemności, w wielu miejscach widać było czerwone, drgające języki ognia, które przypominały światła na świątecznej choince.

Doktor Ferris zatrzymał Ally na noc w szpitalu na obserwację, zaś Gideona skierował na oddział intensywnej terapii. Gideon miał tak wysokie ciśnienie, że groziło to wylewem.

Wes wynajął pokój w jedynym motelu w Blue Creek.

Ludzie z Federalnego Biura Śledczego byli już na miejscu. Musieli sprawdzić, czy podejrzenia Wesa, że może chodzić o przypadek bioterroryzmu, mają jakiegokolwiek uzasadnienie. Na prośbę Wesa pojawiły się także dwa w pełni wyposażone samochody z Ośrodka Kontroli Chorób.

Wes, obudzony pukaniem do drzwi, wstał

317

z łóżka rozespany, ziewnął i zaczął wciągać spodnie. W nosie i w gardle czuł jeszcze drażniący zapach dymu, ale poza tym nic mu właściwie nie dolegało. Gdy otworzył drzwi, ujrzał grupę mężczyzn w mundurach, którym towarzyszyło kilku cywilów.

- Pułkownik Wesley Holden? - zapytał jakiś

major.

- Tak, w stanie spoczynku.

- Major Arnold Poteet, na pańskie rozkazy.

- Zasalutował energicznie i skinął głową, gdy Wes odpowiedział mu salutem.

- Proszę, niech panowie wejda - zwrócił się do nich Wes. - Będziecie musieli wybaczyć mi strój, który jest wynikiem zaistniałych okoliczności.

- Powiedziane prawdziwie po wojskowemu

— zauważył Poteet. - Jestem przedstawicielem dowódcy Fortu Benning. Pozdrawia pana, pułkownika, i prosi, żeby zadzwonił pan do niego w dogodnym dla pana czasie.

- Dziękuję - odpowiedział Wes i przeniósł wzrok na pozostałych mężczyzn wchodzących do środka.

- Agent Hurley, Agencja ds. Zwalczenia Narkotyków.

Wes skinął głową.

- Agent Black, Federalne Biuro Śledcze.

- Dzień dobry - przywitał go Wes.

- Doktor Christopher Shero, Ośrodek Kontroli Chorób.

- Witam, doktorze - powiedział Wes i gestem

318

z łóżka rozespany, ziewnął i zaczął wciągać spodnie. W nosie i w gardle czuł jeszcze drażniący zapach dymu, ale poza tym nic mu właściwie nie dolegało. Gdy otworzył drzwi, ujrzał grupę mężczyzn w mundurach, którym towarzyszyło kilku cywilów.

- Pułkownik Wesley Holden? - zapytał jakiś major.

- Tak, w stanie spoczynku.

- Major Arnold Poteet, na pańskie rozkazy.

- Zasalutował energicznie i skinął głową, gdy Wes odpowiedział mu salutem.

- Proszę, niech panowie wejda - zwrócił się do nich Wes. - Będziecie musieli wybaczyć mi strój, który jest wynikiem zaistniałych okoliczności.

- Powiedziane prawdziwie po wojskowemu

— zauważył Poteet. - Jestem przedstawicielem dowódcy Fortu Benning. Pozdrawia pana, pułkownika, i prosi, żeby zadzwonił pan do niego w dogodnym dla pana czasie.

- Dziękuję - odpowiedział Wes i przeniósł wzrok na pozostałych mężczyzn wchodzących do środka.

- Agent Hurley, Agencja ds. Zwalczenia Narkotyków.

Wes skinął głową.

- Agent Black, Federalne Biuro Śledcze.

- Dzień dobry - przywitał go Wes.

- Doktor Christopher Shero, Ośrodek Kontroli

Chorób.

- Witam, doktorze - powiedział Wes i gestem

318

ręki wskazał na łóżko i krzesła. - Siadajcie, panowie. Za chwilę będę z powrotem.

Po drodze do łazienki chwycił koszulkę, umył szybko twarz i przecesał palcami włosy. Ubrał się pośpiesznie i spojrzął w lustro. Skrzywił się, niezadowolony ze swojego wyglądu.

W tym czasie do grupy mężczyzn znajdujących się w pokoju Wesa dołączył jeszcze jeden oficer. Był to młody porucznik, który trzymał w ręku filiżankę kawy.

- Porucznik Williams melduje się na pańskie rozkazy, pułkowniku. Major Poteet pomyślał, że może ma pan ochotę na kawę.

Wes uśmiechnął się.

- O, tak. Tego mi trzeba. Dziękuję, poruczniku. Spocznij, i niech pan siada.

Młody porucznik usiadł na krześle przy drzwiach i rozpoczęło się przesłuchanie. Pierwszy odezwał się Hurley.

- Pułkowniku, czy może pan...

- Proszę - przerwał mu Wesley - aby dla dobra sprawy zwracał się pan do mnie po imieniu. Tak będzie nam wygodniej.

Hurley skinął głową i kontynuował.

- Prawdę powiedziawszy, jesteśmy tutaj, bo poręczył za ciebie twój dowódca. Normalnie nie zareagowalibyśmy na takie zgłoszenie bez okazania nam jednoznacznych dowodów. Zatem co masz mi do powiedzenia?

- Rozumiem, jestem wdzięczny za zaufanie. Powiem to, co mi wiadomo. Potem powinien pan

319

porozmawiać z panią Ally Monroe. W tej chwili przebywa w miejscowym szpitalu na obserwacji. Udzieli wam dokładnych informacji na temat sprawy, która pana interesuje, lecz proszę nie łączyć jej zeznań z moimi.

- Będę miał to na uwadze - odpowiedział Hurley. - Kim jest osoba, którą podejrzewasz o udział w narkotykowym procederze?

- To mężczyzna, niejaki Roland Storm, właściciel terenu na szczycie wzgórza, przy końcu tej drogi, przy której wybuchł pożar. Z niezrozumiałych dla mnie powodów od początku znajomości Storm był w stosunku do mnie wyjątkowo podejrzliwy. Próbował mnie zastraszyć, potem zaczął śledzić. Zdecydowałem się przeprowadzić zwiad na własną rękę, to znaczy przeszukać jego dom

I obejście.

- Gdzie Storm był podczas tych przeszukiwań? - zapytał agent Black z FBI.

- Spał w łóżku w pokoju w końcu korytarza.

Black potakiwał głową i coś zanotował.

Hurley zaniemówił na moment, po czym popatrzył na Wesa z szacunkiem. Po chwili zwrócił się do jednego ze swoich podwładnych.

- Vernon, sprawdź to nazwisko w bazie danych. Melduj natychmiast, jeżeli dowiesz się czegoś interesującego.

Agent Vernon opuścił pokój, a Hurley pytał dalej.

- Czy znalazłeś w tym domu coś, co wzbudziło twoje podejrzenia?

320

- Nie, dopóki nie zszedłem do piwnicy. Storm urządził tam laboratorium, o ile mogłem się zorientować, świetnie wyposażone. Wszystko wyglądało dość niewinnie, dopóki nie znalazłem dużego pojemnika na odpady pełnego pokrojonych gryzoni. Jednakże to nie zaprzętało jeszcze zbytnio mojej uwagi. Po prostu chciałem się dowiedzieć, dlaczego ten mężczyzna jest w stosunku do mnie tak bardzo agresywny.

Hurley kiwnął głową.

- Tak, rozumiem. Kontynuuj.

- Okazało się, że facet uprawia jakąś roślinę na polu w pobliżu swojego domu. Powiedział, że to pochodzące z Chin zioła, których odbiorcami będą sklepy ze zdrową żywnością. Zaraz potem, gdy opuściłem dom, Storm obudził się. Musiało tknąć go przeczucie, instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie miał mnie na oku, odkąd tylko dowiedział się, że zamieszkałem w tej okolicy. Kiedy tamtej nocy wracałem do domu, usłyszałem za plecami warkot ciężarówki. Nie miałem wątpliwości, że to Storm. Musiałem dotrzeć do mojego domu przed nim, by uwierzył, że to nie ja złożyłem mu nieproszoną wizytę.

- Co zrobił, gdy przyjechał i zobaczył, że rzeczywiście nie ma cię w domu? - zapytał Hurley.

- Zdażyłem wrócić na czas, żeby otworzyć mu drzwi, gdy zapukał. A potem okazało się, że na terenie wokół domu Storma jest mnóstwo martwych zwierząt.

321

- Nie, dopóki nie zszedłem do piwnicy. Storm urządził tam laboratorium, o ile mogłem się zorientować, świetnie wyposażone. Wszystko wyglądało dość niewinnie, dopóki nie znalazłem dużego pojemnika na odpady pełnego pokrojonych gryzoni. Jednakże to nie

zaprzętało jeszcze zbytnio mojej uwagi. Po prostu chciałem się dowiedzieć, dlaczego ten mężczyzna jest w stosunku do mnie tak bardzo agresywny.

Hurley kiwnął głową.

- Tak, rozumiem. Kontynuuj.

- Okazało się, że facet uprawia jakąś roślinę na polu w pobliżu swojego domu. Powiedział, że to pochodzące z Chin zioła, których odbiorcami będą sklepy ze zdrową żywnością. Zaraz potem, gdy opuściłem dom, Storm obudził się. Musiało tknąć go przecucie, instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie miał mnie na oku, odkąd tylko dowiedział się, że zamieszkałem w tej okolicy. Kiedy tamtej nocy wracałem do domu, usłyszałem za plecami warkot ciężarówki. Nie miałem wątpliwości, że to Storm. Musiałem dotrzeć do mojego domu przed nim, by uwierzył, że to nie ja złożyłem mu nieproszoną wizytę.

- Co zrobił, gdy przyjechał i zobaczył, że rzeczywiście nie ma cię w domu? — zapytał Hurley.

- Zdażyłem wrócić na czas, żeby otworzyć mu drzwi, gdy zapukał. A potem okazało się, że na terenie wokół domu Storma jest mnóstwo martwych zwierząt.

321

W tym momencie do rozmowy wmieszał się doktor Shero z Ośrodka Kontroli Chorób.

- Czy według pana te dwa fakty, to znaczy martwe, poddane sekcji szczury i martwe zwierzęta w lesie jakoś się ze sobą łączą?

- Nie - odpowiedział Wes. - W tych okolicach jest dużo różnych gatunków dzikich zwierząt. Sarny, ptaki, skunksy, wiewiórki, gryznie. Pani Monroe to potwierdzi. Ona widziała nieporównanie więcej martwych zwierząt niż ja. Zaniepokoiło ją także dziwne zachowanie jej braci, którzy wynajęli się do pracy u Rolanda Storma przy zbiorze plonów.

Shero spowaźniał.

- Ale co skłoniło pana do wysnucia wniosku, że chodzi o coś poważniejszego niż nielegalna uprawa narkotyków? Przecież badania laboratoryjne to nic niezwykłego, a dzikie zwierzęta giną z różnych powodów.

- Te zwierzęta nie zostały zastrzelone, no i nie zostały pożarte przez drapieżniki, a to już jest bardzo dziwne. Według słów pani Monroe większość z nich znajdowała się w stanie zaawansowanego rozkładu. To oznacza, że nastąpił wyłom w naturalnym łańcuchu pokarmowym.

- Czy te zwierzęta były znajdowane w różnych częściach lasu, czy tylko w jednym miejscu?

- Trudno mi powiedzieć - odparł Wes. - Te, które widziała pani Monroe, znajdowały się w granicach posiadłości Rolanda Storma.

Hurley odłożył pióro.

322

- Dlaczego te fakty cię zaniepokoiły?
- Storm zaproponował braciom Ally Monroe, Danny'emu i Porterowi, po pięć tysięcy dolarów na osobę za zebranie ziół z pola i trzymanie języka za zębami.
- W porządku, rozumiem - powiedział agent.
- Ja mam nadal wątpliwości - oznajmił doktor Shero. - Nie widzę mianowicie związku pomiędzy nielegalną uprawą a rzekomo masową zagładą dzikich zwierząt.
- Coś bez wątpienia zabiło te stworzenia. Coś zamieniło dwóch kochających się braci w agresywnych szaleńców. Coś ściągnęło tu całe chmary owadów.

Shero pochylił się do przodu.

- O co chodzi z tymi owadami?
- Niech pan zapyta panią Monroe.
- Tak właśnie zrobię.
- I jeszcze jedno - dorzucił Wes. - Byłem tu i ówdzie, zajmowałem się także bronią chemiczną, dlatego nie wszedłbym na teren posiadłości Storma bez kombinezonu ochronnego i odpowiedniego sprzętu. Podejrzewam silne skażenie.

Shero ze zrozumieniem pokiwał głową, po czym spojrzał na swoich towarzyszy.

- Panowie, jeśli nie macie na razie więcej pytań, proponuję, żebyśmy udali się do szpitala i porozmawiali z panią Monroe. To konieczne przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Black podniósł się z krzesła. - Bez wątpienia musimy porozmawiać z panią

323

Monroe, ale mnie interesują jeszcze inne aspekty tej sprawy, które dla pana mogą być mniej istotne. Hurley zgodził się z nim.

- Utwierdziłem się w podejrzeniu, że ta sprawa ma coś wspólnego z narkotykami. Mogę wszcząć dochodzenie i zbadać teren, oczywiście z wykorzystaniem odpowiedniego sprzętu - dodał pospiesznie, patrząc na Wesleya.

Wes zaczął chować do kieszeni swoje drobiazgi i rozglądać się za kluczem do pokoju.

- Pójdę z wami - oznajmił.
- Wolelibyśmy porozmawiać z panią Monroe na osobności - powiedział Hurley.
- Rozumiem, ale jednak nalegam - powiedział Wes. — Nie zamierzam w żaden sposób ingerować w wasze przesłuchanie, ale muszę bronić interesów Ally. Nie dopuszczę, byście traktowali ją jak podejrzaną. Nawet jeśli jej bracia są zaangażowani w tę sprawę, ona nie zrobiła nic złego.

Hurley spochmurniał i sapnął ze złości.

- Proszę mnie nie pouczać. Doskonale znam swoje kompetencje.

- Mam gdzieś twoje kompetencje - odpowiedział rozdrażniony Wes. - Martwię się o tych ludzi, a tam w górach stało się coś naprawdę złego. Nie wiem, co spowodowało wybuch pożaru, ale jeśli cokolwiek zostało z gospodarstwa Storma, nie dotknąłbym tego trzymetrowym drągiem.

Major Poteet stanął po stronie Wesa.

- Panie pułkowniku, przedstawił pan swój punkt widzenia, jestem skłonny przychylić się do
324

pańskiego zdania w tej sprawie. Panowie, chyba zgodzicie się ze mną, że pułkownik Holden może być obecny podczas składania zeznań przez panią Monroe. Ani on, ani ona nie znaleźli się przecież w kręgu podejrzeń. Zresztą na razie brak nam jakichkolwiek dowodów, by postawić komuś konkretne zarzuty.

- A my nie mamy żadnego powodu, żeby poczuwać się do jakiegokolwiek odpowiedzialności - powiedział Wes. - Zastanówcie się, na litość boską. Czy gdybyśmy zrobili coś niezgodnego z prawem, wezwalibyśmy tu agentów rządowych?

- W porządku. Przedstawił pan swój punkt widzenia - powtórzył doktor Shero. — Tylko niech pan nie przerywa naszego przesłuchania.

Wes gwałtownie obrócił się do niego.

- No, właśnie, tego się obawiałem. To nie może być przesłuchanie. Pani Monroe podzieli się z panami obawami co do losu jej braci, a także opowie panom o wszystkim, czego była świadkiem. Mogła przyplącić to życiem...

- Jak to? - zainteresował się Hurley.

- Proszę ją zapytać o szczegóły - odrzekł Wes. - Powiem tylko, że Roland Storm ścigał ją i gdybym nie pospieszył jej z pomocą, zapewne byłaby teraz ofiarą, a nie świadkiem.

- Jedźmy do niej - zaproponował Black. Wyszli, jeden za drugim, z pokoju. Wes wsiadł do ciężarówki Gideona, rozmieścił w niej swoich pasażerów i ruszyli w drogę.

325

Ally siedziała na łóżku, zaplatając włosy, gdy wszedł Wes. Właściwie chciał tylko powiedzieć dzień dobry, lecz gdy zobaczył jej rozjaśnioną twarz, podszedł bliżej i wziął ją w ramiona.

- Dobrze spałaś? - zapytał troskliwie. Jej radość nagle przygasła.

- Nie. Marwię się o braci.

- Wiem, kochanie, wiem.

Ujął jej warkocz i zaczął go rozplątywać.

- Wes... co ty...?

- Tak będzie lepiej. Masz piękne włosy - powiedział cicho. - Jak czuje się tato?

- Lepiej. Jego stan jest stabilny.

Zanim Wes zdążył odpowiedzieć, pokój wypełnił się agentami.

Gdy Ally zobaczyła tych wszystkich obcych mężczyzn, z trudem ukryła zdenerwowanie.

- Wes, kim są ci mężczyźni?

- Pamiętasz chyba, jak telefonowałem z waszego domu?

Skinęła głową.

Goście ukłonili się, po czym Wes rozpoczął prezentację.

- Agent Hurley, Agencja ds. Zwalczania Narkotyków. Agent Black, Federalne Biuro Śledcze.

Doktor Christopher Shero, Ośrodek Kontroli Chorób. Major Poteet i porucznik Williams z Fort Benning. Panowie chcą zadać ci kilka pytań na temat Rolanda Storma i twoich braci.

Dobrze?

- Oczywiście - zgodziła się. Wes usiadł przy niej.

326

- Zostanę przy tobie - zapewnił ją.

Nie zaproponowała, wobec tego zaczęło się przesłuchanie. Odpowiadała, najlepiej jak umiała, lecz odnosiła wrażenie, że zadawane przez nich pytania mijają się z celem i nie dotyczą sedna sprawy. W pewnej chwili skinęła ręką, przerywając doktorowi Shero.

- Proszę panów, chwileczkę. Czy mogę najpierw opowiedzieć wam wszystko, co wiem, a dopiero potem będziecie zadawać mi szczegółowe pytania?

I nie czekając, aż wyrażą zgodę, zaczęła mówić.

- Moi bracia rozglądali się za pracą. W tych stronach jest niewiele ofert zatrudnienia, a Danny został właśnie zwolniony. Pewnego dnia przyszedł do domu bardzo zadowolony, ponieważ obaj, on i Porter, otrzymali propozycję pracy. Mieli zebrać z pola Rolanda Storma jakieś chińskie zioła. Zaoferował im po pięć tysięcy dolarów. Oferta Storma bardzo mi się nie podobała, więc nie omieszkałam tego powiedzieć. Ostrzegłam ich, że skoro Storm tak dużo płaci, to może hoduje coś niezgodnego z prawem. Zaprzeczyli, lecz bez przekonania. Im też coś nie dawało spokoju. Po pierwszym dniu pracy przyszedł do domu jacyś odmienieni. - Głos jej się załamał i zaczęła drżeć. - Teraz nawet nie wiem, czy żyją.

- Spokojnie, kochanie - Wes z czułością ujął ją za rękę.

Doktor Shero podsunął jej opakowanie chusteczek, a Hurley utkwiał wzrok w podszwie

327

swojego buta. Wszyscy odczekali, aż młoda kobieta się opanuje, i rzeczywiście, po chwili wzięła się w garść i podjęła opowieść.

- Gdy wrócili z pracy byli, bardzo brudni. Czegoś podobnego nie widziałam nigdy w życiu. Rozebrali się przed domem. Widzicie, panowie, mamy pralnię w szopie przylegającej do domu. Gdy weszli do kuchni, przestraszyłam się nie na żarty. Danny był milczący, co zdarza mu się niezwykle rzadko, bo to gaduła i wesołek. Porter, mój starszy brat, był zły, prawie wściekły. Po raz pierwszy w życiu wzbudzał we mnie strach. - Rzuciła wzrokiem na twarze słuchaczy. - Nigdy nie bałam się nikogo z mojej rodziny... aż do tamtego dnia. Gdy zaproponowałam, że upiorę im ubrania, Porter gwałtownie odwrócił się do mnie. Był wściekły. Miał ślinę w kącikach ust, oczy nabiegłe krwią, kąciki ust wykrzywił mu jakiś nerwowy tik. Wrzeszczał, że nie wolno mi pod żadnym pozorem dotykać ubrań, w których pracowali na polu Storma. Powtórzył to jeszcze, gdy zaproponowałam, że przyniosę je z suszarni. Kiedy pytałam go, o co chodzi, przyznał, że najchętniej rzuciłby tę robotę, bo Storm to podejrzane indywiduum i w tej sprawie coś śmierdzi. Jednak zdawał sobie sprawę, że Danny się nie wycofa, a on nie chciał zostawiać go samego. Zawsze czuł się odpowiedzialny za młodszego brata.

Hurley westchnął.

- To wszystko jest bardzo ciekawe, ale jak dotąd nie usłyszałem niczego niezwykłego. Jeśli

Storm uprawiał na polu na przykład marihuanę, pani bracia mogli być pod wpływem narkotyku. To tłumaczyłoby ich dziwne zachowanie.

Jego arogancja rozwścieczyła Ally. Wysunęła nogę spod kołdry, pokazując im nie tylko obrażenia, lecz także ułomną stopę.

- Moi bracia nie brali narkotyków. Nigdy. A poza tym po kilku dniach ich zachowanie zmieniło się jeszcze bardziej. Czasami zastanawiałam się, czy nie postradali zmysłów. Przedtem prawie nigdy się nie kłócili, a teraz bili się i warczeli na siebie. Byłam tym tak zdenerwowana i zaniepokojona, że zakradłam się na teren posiadłości Storma, żeby sprawdzić, co tam się dzieje. Jak panowie widzicie, trudno mi wędrować po górach, dlatego część drogi pokonałam naszym traktorkiem. Ukryłam go na poboczu i ostatnie półtora kilometra przeszłam na piechotę. Byłam już blisko pola, na którym pracowali moi bracia, gdy zobaczyłam mnóstwo martwych zwierząt. Sarny, wiewiórki, ptaki, króliki i wiele innych. Wszystkie wyglądały tak, jakby zginęły w miejscach, gdzie leżały. Żadne ze zwierząt nie padło łupem drapieżnika. To wydało mi się dziwne i przerażające. Ukryłam się za drzewem i obserwowałam braci. Byli ogromnie podekscytowani i nadmiernie pobudzeni. Zwijali się jak

w ukro-pie. Ładowali na przyczepę jakieś długie, zielone łodygi, ale nie zaprzęтали sobie głowy tym, że większość roślin spada na ziemię. Danny bez przerwy drapał się po twarzy, ciągnął się za włosy

329

i uszy, a potem zbliżył się do Portera. Porter obrócił się w jego stronę i uderzył go pięścią w twarz tak mocno, że wybił mu ząb. Widziałam to wszystko dość wyraźnie.

- Czy oni panią widzieli? - zapytał Hurley.

- Nie. Gdy zorientowałam się, że Portera ob-lazły mrówki, krzyknęłam z przerażenia. Kłębily się na jego twarzy, ramionach i ubraniu. Okładał się rękoma po twarzy i głowie. Było to tak straszne, że w pewnym momencie chyba... znów krzyknęłam.

Westchnęła ciężko i spojrzała na Wesa. Był równie zbulwersowany jak pozostali słuchacze. Doktor Shero zrobił kilka nerwowych kroków.

- Pani bracia... Co działo się potem? - zapytał.

- Mój krzyk spłoszył jakiegoś ptaka siedzącego na pobliskim drzewie. Zerwał się do lotu, a moi bracia zwrócili na niego uwagę. W tym momencie pojawił się Roland Storm, więc Danny i Porter wskazali mu, skąd wyleciał ptak, czyli dokładnie miejsce mojej kryjówki. Próbowałam biec, ale z marnym skutkiem. Przewróciłam się kilka razy, lecz zdołałam dotrzeć do miejsca, gdzie ukryłam traktor. Niestety nie odjechałam zbyt daleko, bo skończyło się paliwo. Wtedy rozpoczęłam prawdziwy bieg o życie, bo Roland Storm ścigał mnie swoją ciężarówką. Zdażyłam dobiec do domu pana Holdena i powiedziałam mu, co się dzieje. Tylko że on nie ma telefonu, więc nie mogliśmy nikogo zawiadomić o grożącym nam niebezpieczeństwie. Pan Holden niósł mnie ponad trzy

330

kilometry w dół wzgórza, aż do mojego domu. Tam opowiedziałam mu to samo, co wam, a on zadzwonił do was.

- Co stało się ze Stormem? - pytał dalej Hurley.

- Udało mi się powstrzymać go na jakiś czas - odpowiedział Wes.

Hurley zdumiał się.

- W jaki sposób?

- Wziąłem strzelbę i zacząłem się na niego na drodze. Słyszałem jego ciężarówkę nadjeżdżającą od strony wzgórza. Gdy tylko się pojawił, wycelowałem w niego. Ponieważ nie miał zamiaru zahamować, byłem zmuszony go zatrzymać.

- Zastrześliś go? Nie żyje?

- Nie... Strzeliłem w samochód. Błagał o litość, więc kazałem mu wracać do domu na piechotę.

Hurley uśmiechnął się chyba po raz pierwszy tego dnia.

- W porządku, więc wypuściłeś pana Storma i zaniósłeś panią Monroe do domu. Co działo się potem?

Ally podjęła swą opowieść.

- Niemal w tej samej chwili, kiedy zorientowaliśmy się, że na wzgórzu szaleje pożar, przyjechał mój ojciec. Wsiadliśmy do samochodu, by uciec, lecz niewiele brakowało, a spłonęlibyśmy żywcem. Uratowaliśmy się dzięki zimnej krwi pana Holdena. Wes ani na chwilę nie stracił głowy.

331

- No cóż, uważam, że mam dostatecznie dużo informacji, by wszcząć oficjalne dochodzenie - oznajmił Hurley.

- Lepiej pozwólmy najpierw moim ludziom oczyścić teren - wtrącił doktor Shero. - Jeśli jest tam jakaś substancja wywołująca skażenie, trzeba ją natychmiast zneutralizować i odizolować cały teren - dodał.

- Czy ogień nie rozwiązał tej kwestii? - zapytał Wes, choć sam w to nie wierzył.

- Niekoniecznie - odpowiedział Shero. - Jestem zaniepokojony z powodu martwych zwierząt, ale najbardziej martwi mnie zachowanie owadów. Sytuacja opisana przez panią Monroe znacznie odbiega od normy. Najbardziej zastanawia mnie zachowanie mrówek. Z pani opisu wynika, że zachowywały się jak w transie. Ukąszenie przez taką ilość mrówek to pewna śmierć. Człowiek nie ma szans, jeśli zostanie przez nie zaatakowany.

- O, Boże - krzyknęła Ally i przycisnęła rękę do ust.

Wes przysunął się do niej, a Black uznał za stosowne włączyć się do dyskusji.

- Macie rację, tu dzieje się coś bardzo dziwnego. Panie Holden, pani Monroe, dziękuję wam za szybką reakcję, ale teraz muszę poprosić was, żebyście nie mieszały się do naszej pracy. Pozostajecie do naszej dyspozycji, bo na pewno będziemy chcieli ponownie z wami porozmawiać.

332

Zanim wszyscy się rozeszli, wrócił agent Vernon i wręczył Hurleyowi wydruk komputerowy.

Hurley rzucił okiem na papier i nagle zaklął pod nosem.

- Co to jest? - zapytał Wes. Hurley oderwał wzrok od dokumentu.

- Mam coś, co może nas wszystkich zainteresować. Roland Storm jest genetykiem. Ma doskonale wykształcenie w dziedzinie chemii i biologii i prowadził kiedyś badania naukowe dla Lackey Laboratories. Był raz podejrzany o wytwarzanie narkotyków dla pewnego dealera z Chicago, ale oczyszczono go ze wszystkich zarzutów.

- Czy mogę to zobaczyć? - zapytał Shero. Hurley wręczył mu wydruk.

- Muszę zadzwonić w kilka miejsc — powiedział Shero i spojrzął na Ally i Wesa. - Będziemy w kontakcie.

Wszyscy wkrótce wyszli, zostawiając Wesa i Ally samych.

Dziewczyna zaczęła trząść się ze strachu. W pewnym momencie wyciągnęła do Wesa ramiona.

- Zabierz mnie stąd - poprosiła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Wes podjechał pod motel, wziął Ally na rękę i wniósł do pokoju. Jej rzeczy cuchnęły dymem, od którego robiło się niedobrze. Gdy szli w stronę wejścia, widziała czarną smugę dymu na stoku wzgórza i z całych sił powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Wiedziała, że jej dom rodzinny przestał istnieć. Przepadł nie tylko budynek z całym zapleczem gospodarczym. Bracia zaginęli bez wieści, a ojciec znów poczuł się gorzej. W tej chwili skupiła wszystkie uczucia na Wesie i chociaż poznała go zaledwie dwa tygodnie temu, miała wrażenie, że znają się od zawsze. Dzielili ze sobą śmiech, łzy i głęboką rozpacz. Była wdzięczna Bogu za to, że postawił Wesa na jej drodze życia.

Wes delikatnie dotknął palcem policzka Ally.

- Oparzyłaś się.

Leżała na poduszce, obserwując wyraz jego twarzy, gdy gładził jej włosy i brał w palce pojedyncze kosmyki.

334

- Jestem brudna - powiedziała. - A moje ubranie jest przesiąknięte dymem.

- Włosy umyjesz, a ubrania wypierzesz albo wyrzucisz - odpowiedział cicho.

- Wyjedziesz, kiedy będzie już po wszystkim? - zapytała.

Głęboka bruzda oszpeciła jego czoło.

- Nie, nie opuszczę cię.

Serce Ally podskoczyło z radości. Odpowiedział na pytanie, którego nie ośmieliła się zadać.

- Wes...

- Nie zamierzam stracić jeszcze jednej kobiety, na której mi zależy.

Przymknęła na chwilę oczy, marząc, żeby to przyrzeczenie zapadło głęboko w jej serce. Zbyt długo czekała na miłość i teraz musiała dobrze zapamiętać każdą sekundę, każdą emocję.

Poczuła jego usta na swoich wargach.

- Chcesz się ze mną kochać? Teraz? - zapytała, patrząc na niego rozognionym wzrokiem.

To pytanie zaskoczyło Wesa. Obudziło w nim bowiem nagle pragnienie czegoś, na co podświadomie czekał od dawna.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo - wyszeptał.

- To dlaczego czuję w twojej odpowiedzi jakieś „ale”?

- Ponieważ moim uczuciom do ciebie wciąż towarzyszy smutek i poczucie winy.

Ally usiadła i zaczęła rozpinać bluzkę.

- Co robisz? - zapytał z zapartym tchem.

- Uwalniam cię od problemu decyzyjnego.

335

Później będziesz mógł sobie powiedzieć, że zmusiłam cię do tego.

Wes chwycił ją za rękę.

- Poczekaj.

Spojrzała na niego z niemym zdziwieniem, a może rozczarowaniem.

- Ja to zrobię, dobrze?

Wśród pieszczot i gorących pocałunków powoli zdejmował z niej kolejną część garderoby.

Ally coraz silniej drżała z podniecenia. Potem patrzyła z zapartym tchem, jak Wes się rozbiera. Po chwili oboje byli nadzy.

- Jestem bez... zabezpieczenia - powiedział nieśmiało w pewnej chwili.

- Ja też - odrzekła odważnie.

Wes zawahał się, myśląc o możliwych konsekwencjach.

- Może powinniśmy przestać? - zapytał drżącym z podniecenia głosem.

- Nigdy. Od tej chwili, cokolwiek się zdarzy, będzie dane od Boga. Nigdy nie będę żałować żadnej decyzji związanej z tobą, nawet gdy okaże się, że noszę twoje dziecko.

Wes zadygotał. Myśl o dziecku zaparła mu dech i zaboląła jak diabli. Zawsze ilekroć patrzył na dzieci, myślał o Mikeyu.

Ally zrozumiała, dlaczego zamilkł.

- Wes... Miałeś coś bezcennego, nikt nie odbierze ci wspomnień. Ja tylko chcę być częścią twojej przyszłości.

Jej słowa przyniosły mu ulgę.

336

- Już jesteś - powiedział, wdzięczny za jej wyrozumiałość. - Ufasz mi, Ally?
- Będę ci zawsze ufała.
- Proszę Boga, żebym mógł zaufać sobie.
- Nie skrzywdzisz mnie, Wes. Nie umiałbyś. Przycisnął swoje usta do jej ust i westchnął głęboko, kiedy poczuł na plecach dotyk jej dłoni. Upłynęło tak wiele czasu, odkąd kochał się z kobietą. Czuł się, jakby robił to pierwszy raz.

Całował powoli każdy centymetr jej skóry, nawet ślady gojących się zadrapań i skaleczeń. Skóra Ally była aksamitna w dotyku i ciepła. Czuł w dłoniach ciężar jej piersi, twarde sutki spragnione jego pieszczot. Delikatnie dotknął jej łona i przesunął dłoń niżej. Tą pieszczotą doprowadził ją do skrajnej rozkoszy, ale za każdym razem wycofywał się w porę, zanim było za późno. Ally czekała na taką chwilę bardzo długo, a Wes chciał, żeby jej pierwszy raz był wart zapamiętania.

Oboje stracili poczucie czasu. Ally ścisnęła kurczowo jego biodra nogami, błagając o więcej, Wes mocno przyciągnął ją do siebie. Jej oddech stawał się coraz szybszy, a oczy zaszyły mgłą. Wsunął się pomiędzy rozchylone nogi i wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem, czując przez moment gorąco i opór jej ciała, które niemal natychmiast się poddało. Ally wydała z siebie jęk, ale gdy jego ruchy stały się coraz silniejsze i szybsze, wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz nieznaney dotąd rozkoszy. Krew rozsadzała jej

337

skronie, a serce chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. A kiedy już myślała, że chwile największych uniesień ma za sobą, Wes wszedł w nią znowu. Ponownie ogarnęło ją pożądanie.

Instykt odpowiedział jej, żeby objąć go nogami. Zmieniwszy pozycję, zaczęła odpowiadać na jego ruchy kołysaniem bioder; dokładnie w takt bicia ich serc.

Wes zbyt długo nie miał kobiety, żeby utrzymać pozory kontroli. Kiedy popchnęła go lekko, by położył się na plecach, a sama nagle znalazła się nad nim, poczuł, że traci nad sobą panowanie. Jęknął z obezwładniającej rozkoszy i w tej samej chwili targnął nim spazm, a potem kolejny.

Wydawało mu się, że upłynęła wieczność, zanim poczuł, że odzyskuje siły. Cały czas leżąc, uniósł Ally i położył na sobie. Oplótł ją ramionami i zaczął głaskać. Poczuł, jak zadrżała, usłyszał dźwięk przypominający stłumiony szloch.

Wpadł w panikę. Czyżby dopuścił się czegoś, co ją zraniło?

- Ally, kochanie... Przepraszam. Nie chciałem sprawić ci bólu.

Pokręciła głową, popatrzyła mu w oczy.

- Wes, nie zrobiłeś nic złego. Ja tylko... Nie miałam pojęcia... - Ukryła twarz, przytuliwszy się do jego piersi. - Jestem taka szczęśliwa, że to byłeś właśnie ty - powiedziała nieco zawstydzona.

Westchnął z ulgą i objął ją jeszcze mocniej, próbując zapanować nad emocjami. Obdarzyła go

338

zaufaniem i miłością, ale też chęcią do życia. To było jak powtórne narodziny.

- Ja też, kochanie - powiedział cicho, po czym wyslizgnął się spod niej i wszedł do łazienki. Kilka sekund później Ally usłyszała szum wody. Obróciła się na bok, krzywiąc się z bólu. Jej kostka nadal była bardzo spuchnięta.

Drzwi łazienki otwały się i stanął w nich Wesley. Podszedł do Ally, wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki, gdzie przygotował ciepłą kąpiel.

- To dobrze ci zrobi - powiedział. Zarumieniła się, ale przyjęła propozycję z wdzięcznością.

- Dzięki.

Zadowolony z siebie wręczył jej hotelowe mydélko.

- Nie, to ja ci dziękuję - powiedział. - Nie spiesz się. Mamy cały dzień na to, żeby kupić sobie coś do ubrania, a potem całe życie, żeby martwić się o pozostałe sprawy.

- Och, Wes, całe życie?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy, ale po chwili ustąpił miejsca uśmiewchowi.

- Bardzo cię kocham.

Miała ochotę krzyknąć z radości, ale powściągnęła emocje. Westchnęła tylko i zanurzyła się w cieplej wodzie.

Nieco później, kiedy już mieli wychodzić na zakupy, rozległo się pukanie do drzwi.

Ally zbladła. Skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała w napięciu na Wesa.

339

- Może to wiadomość o moich braciach?

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - powiedział Wes i otworzył drzwi.

Charlie Frame był prawie od miesiąca w Fort Benning i nadal zamartwiał się o Wesa. Po misji w Iraku wrócił do domu, do Tulsy, żeby odwiedzić rodzinę, pochodzić po starych, dobrze znanych kątach i poznać losy ludzi, wśród których dorastał. Jednak gdy powrócił do bazy, jego myśli natychmiast skierowały się w stronę przyjaciela.

Spodziewał się, że Wes wyszedł już ze szpitala i powoli wraca do normalnego życia. Jakież było jego rozczarowanie, kiedy dowiedział się, że stan Wesa nie uległ poprawie. Gdy powiedziano mu, że opieki nad Wesem podjął się jego przyrodni brat, zaniemówił z wrażenia.

Próbował pogodzić się z tym, tłumacząc sobie, że w życiu tak bywa, że ludzie tracą ze sobą kontakt, bo podążają różnymi drogami, ale wszystko na nic.

W końcu udało mu się zdobyć adres Aarona Clancy'ego, poprosił więc o krótki urlop i pojechał na Florydę, do Miami. Musiał zobaczyć się z Wesem jeszcze raz, chociażby dla uspokojenia swojego sumienia. Chciał mieć pewność, że zrobił dla przyjaciela wszystko, co było możliwe.

Do Miami dotarł przed południem. Rozpakował się w pokoju hotelowym, a potem wezwał taksówkę. Zaniepokoiło go jednak to, co zobaczył po przybyciu pod wskazany adres.

340

Blok znajdował się w ponurej i zaniedbanej części miasta. Wszędzie na ścianach wulgarne napisy i rysunki. Turkusowa farba na zewnętrznych ścianach budynku łuszczyła się, a w oknach zamontowano kraty.

- Proszę zaczekać - powiedział do taksówkarza.

- W porządku - odparł kierowca i gdy Charlie wyszedł z taksówki, na wszelki wypadek zablokował drzwi.

Charlie nie mógł pogodzić się z myślą, że Wes mieszka w takim miejscu, ale jeszcze łudził się, że pozory mylą i nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Jednak gdy wszedł do budynku i ujrzał ogromne karaluchy spacerujące spokojnie po ścianach, stracił wszelką nadzieję. Sprawdził jeszcze raz adres, po czym ruszył na czwarte piętro pod numer 413.

W mieszkaniu na drugim piętrze płakała niemowlę, jakaś kobieta wrzeszczała i wymyślała komuś po hiszpańsku. Po drodze minął żółtego kota siedzącego na schodach i drapiącego się zawzięcie, po czym dotarł nareszcie na miejsce. Ponieważ wciąż jeszcze było sobotnie przedpołudnie, liczył, że zastanie Aarona w domu. Skręcił na prawo, odliczył kilka numerów i stanął przed właściwymi drzwiami. Woń moczu pomieszana z zapachami kuchennymi była tu szczególnie intensywna, co usposobiło Charliego do Aarona Clancy'ego jak najgorzej. Gdyby jeszcze okazało się, że Wes nie jest traktowany jak należy, Charlie

341

nie ręczyłby za siebie. W tym bojowym nastroju załomotał pięścią w drzwi.

Odpowiedziała mu cisza, która zmusiła go do powtórzenia czynności ze zdwojoną energią. Ktoś otworzył drzwi po drugiej stronie korytarza i zaczął wrzeszczeć. Charlie tylko wzruszył ramionami i znów zaczął uderzać w drzwi.

- Aaron! Aaronie Clancy! - zawołał.

W końcu usłyszał oznaki życia dobiegające zza drzwi. Ktoś siarczyście przeklinał, potem coś musiało się przewrócić, bo rozległ się huk. Kilka sekund później drzwi uchyliły się i ukazał się w nich rozczochrany facet z nieogoloną twarzą.

- Pan nazywa się Aaron Clancy?

- A kim pan, kurwa, jest?

- Najlepszym przyjacielem Wesa Holdena. Charlie przeszedł obok Aarona i wkroczył do mieszkania. Smród, jaki w nim panował, był jeszcze intensywniejszy niż na korytarzu. Jednak Charliego nie interesowało, czy Clancy radzi sobie z prowadzeniem domu. Obchodził go jedynie los Wesleya. Nie widząc nigdzie śladu bytności przyjaciela, zwrócił się do gospodarza.

- Gdzie on jest? - zapytał tonem, który Clancy odebrał jako jawną pogrozkę.

- Kto? O kogo chodzi?

- Dobrze pan wie, kogo mam na myśli. Gdzie jest Wes?

Aaron zadrżał. Mniej więcej w tydzień po zniknięciu Wesleya wyrzucono go z roboty i od tego czasu utrzymywał się z renty przyrodniego

342

brata. Nie zadał sobie trudu, by szukać nowej posady, teraz instynkt mu podpowiadał, że w jego życiu zajdą kolejne zmiany. Tym razem zdecydowanie na gorsze.

- On jest... tego... No, oddałem go do... do szpitala.

- Gdzie? Dawaj pan numer telefonu do tego szpitala! Chcę porozmawiać z lekarzem Wesa. Szybko!

Aaron zaczął gorączkowo zastanawiać się, co robić. Gdyby teraz zdołał pozbyć się tego gościa ze swojego mieszkania, miałby czas uciec, zanim facet odkryje, że został oszukany.

- Nie mam numeru telefonu... tylko adres.

- Gadaj pan.

Aaron wziął najpierw głęboki wdech, a potem wyrecytował pierwszą nazwę, jaka przyszła mu do głowy.

- Ten Palms Sanitarium na Sepulveda. Chwileczkę, zapiszę to panu.

- Niech się pan nie trudzi - rzucił zgryźliwie Charlie. - Zadzwoń do informacji.

Ku przerażeniu Clancy'ego gość podszedł do jego telefonu i wybrał numer informacji.

- Potrzebny mi jest numer Ten Palms Sanitarium, Miami, Floryda. Znajduje się na Sepulveda

- mówił Charlie do słuchawki.

Aaron zaczął wkładać brudne dżinsy, rozglądając się równocześnie za koszulką. Znalazł jedną, którą miał na sobie kilka dni temu, i wciągnął ją przez głowę. Następnie włożył skarpetki i buty.

343

Właśnie sięgał do klamki, gdy Charlie obrócił się i wyciągnął w jego stronę palec.

Był to tylko palec, ale równie dobrze mógłby być pistolet. Aaron wiedział, że nie uda mu się uciec, a w walce wręcz jest na straconej pozycji. Potrzebował broni, ale jedyną rzeczą w zasięgu jego rąk była poduszka.

Po chwili Charlie usłyszał w słuchawce:

- Przykro mi, proszę pana, ale nie ma żadnego Ten Palms na Sepulveda ani gdziekolwiek indziej w Miami.

- Dziękuję pani - powiedział Charlie do telefonistki, delikatnie odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko do Aarona.

Aaron nieco się uspokoił. Jeśli facet się uśmiecha, to znaczy, że odpowiedź go zadowoliła.

- Kłamiesz, ty żałosna gnido. Co zrobiłeś z Wesem?

Aaron skulił się, jakby otrzymał cios w żołądek.

Wykonał gwałtowny krok do tyłu, ale widocznie nie dość daleko, bo Charlie dopadł go w ułamku sekundy, zebrał w dłoni pół koszulki Aarona i zaczął nim potrząsać.

- Gadaj. I lepiej nie próbuj mnie znowu okłamywać, ty gnojku, bo przerobię cię na karmę dla tego zapchlonego kota, który mieszka na twojej klatce schodowej.

- Nie wiem, gdzie on jest.

Charlie poprawił chwyt, a Aaronowi oczy wyszły niemal na wierzch głowy.

- To prawda - zakwilił. - Przysięgam. Pew-

344

nego dnia poszedłem do pracy, a kiedy wróciłem, już go nie było.

- Mówisz prawdę?

- Tak! Tak! Przysięgam!

- Co powiedziała policja? Mają jakiś trop? Aaron zaczął żałośnie skrzeczeć.

- Proszę, proszę. Niech pan mnie puści.

- Policja! - krzyknął Charlie. - Co powiedzieli?

- Nie zgłosiłem... - przyznał się Aaron i zaczął płakać.

Charliego zmroziło.

- Dlaczego?

- Ponieważ ten łajdak mnie oszukał. Bawił się ze mną w kotka i myszkę. Oto dlaczego! Myślałem, że on w ogóle nie kontaktuje. Wie pan, nie odzywał się, nie potrafił sam jeść, musiałem go karmić. Jak rano posadziłem go na krześle, to siedział tam, kiedy wieczorem wracałem do domu. Tak minął prawie tydzień, aż tu jednego dnia przyszedłem do domu i już go nie zastałem. Zabrał wszystkie swoje ubrania, ukraść mi pieniądze i zniknął. Szlag... Tak mi się odwdzieczył za opiekę, za wszystko, co dla niego zrobiłem.

Charlie popadł w zadumę.

- Niech pomyślę, bo nie wiem, czy wszystko dobrze rozumiem. Zabrałeś swojego brata ze szpitala, uzyskałeś pełnomocnictwo, by występować w jego imieniu, umieściłeś go w tej zasranej dziurze i zacząłeś wydawać forszę, którą przyznało mu wojsko.

345

- To nie moja wina, że się stąd wyniósł - oznajmił Aaron.

- Nie chwytasz, co mówię - zwrócił mu uwagę Charlie. - Jeśli już nie opiekujesz się Wesem, to dlaczego wciąż bierzesz jego forszę?

Aaron zbladł.

- Ja... no, cały czas czekam, aż wróci. Charlie cofnął się pół kroku. Po chwili jego pięść wylądowała na twarzy Clancy'ego.

- Złamałeś mi nos - wyjąkał Aaron, usiłując zatrzymać dłonią strumień krwi.

- Ciesz się, że nie kark - wycedził Frame i podszedł do telefonu.

Gdy podniósł słuchawkę, Aaron spróbował ucieczki.

Charlie błyskawicznym ruchem poderwał go i rzucił w kąt pokoju jak worek kartofli.

- Zostań tam - rozkazał. - Nie ruszaj się i nic nie mów.

Aaron posłusznie wykonał polecenie. Charlie Frame wybrał numer centrali i gdy usłyszał głos telefonistki, powiedział tylko:

- Proszę z policją.

Aaron zakrył twarz i jęknął. Od początku wiedział, że numer z opieką nad Wesem nie będzie trwał wiecznie, ale takiego żalosnego końca sprawy zupełnie nie przewidział.

Wkrótce przybyli dwaj funkcjonariusze policji, wysłuchali, co Charlie ma im do powiedzenia, i postawili Clancy'ego na nogi.

- Co ja takiego zrobiłem? - wrzasnął Aaron,

346

gdy jeden z policjantów zakładał mu kajdanki. - Powiedzcie mi! Nikogo nie zabiłem. To jest bezprawie.

- No cóż, na początek można oskarżyć cię o oszustwo. Zakpiłeś z władz federalnych - przypomniał mu Charlie.

- Co takiego?

- Pobierałeś pieniądze należne z tytułu renty dla byłych żołnierzy. Władze nie lubią takich rzeczy i nie są zbyt wyrozumiałe.

- Ale robiłem to w świetle prawa. - Aaron bronił się nieporadnie. - Mam pełnomocnictwo.

- A to oznacza, że byłeś odpowiedzialny za Wesleya. Pierwszy błąd popełniłeś, nie zgłaszając jego zaginięcia. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Jeśli Wesleyowi przydarzyło się coś złego, spotkamy się w piekle. Masz to u mnie jak w banku.

Aaron podszedł do policjanta i odezwał się głosem przypominającym skowyt:

- Niech pan to zanotuje. Będzie pan moim świadkiem. Facet mi grozi.

Funkcjonariusz spojrzął na Charliego i zmarszczył czoło, wyraźnie zdziwiony.

- Nie, nic takiego nie słyszałem. Pan Frame powiedział tylko coś o spotkaniu w piekle. Nie znam światopoglądu pana Frame'a, lecz wydaje mi się, że jeżeli potwierdzą się jego zarzuty wobec pana, to rzeczywiście trafi pan do piekła.

Charlie z satysfakcją odprowadził wzrokiem Aarona, lecz zaraz pomyślał z troską o Wesie. Co działo się z jego przyjacielem? Nagle przypomniał

347

sobie o kierowcy taksówki, któremu kazał na siebie czekać, więc wyjrzał przez okno. Dobrą wiadomością było to, że taksówka wciąż tam stała. Złą - że przez cały czas miała włączony taksometr.

Z ciężkim sercem wrócił następnym samolotem do Fort Benning i zameldował o swoim odkryciu dowódcy, po czym udał się do klubu oficerskiego, by złagodzić smutek szklaneczką whisky.

Dwa dni później wezwano go do kwatery dowództwa, by zakomunikować mu niezwykle wiadomość. Wesley Holden, żywy, cały i zdrowy, wpakował się w jakąś tajemniczą historię w miejscowości Blue Creek, w Wirginii Zachodniej.

Charlie natychmiast zwrócił się z prośbą do dowódcy.

— Proszę o pozwolenie na wyjazd...

- Wysłałem tam majora Poteeta i porucznika Williama. Jednakże, mając na uwadze waszą przyjaźń z Holdenem, daję panu trzydniową przepustkę.

Charlie uśmiechnął się i z werwą zasalutował.

- Tak jest. Dziękuję.

— Możecie odejść - powiedział dowódca.

Śpiesząc do domu, Charlie zadzwonił ze swojego telefonu komórkowego na lotnisko i w dwie godziny później był już w samolocie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zanim Wes otworzył drzwi, rzucił okiem na Ally, by sprawdzić, czy zdążyła już się ubrać. Ally nie mogła włożyć buta na wciąż spuchniętą stopę, a jej włosy jeszcze nie wyschły po kąpieli.

- Jesteś gotowa? Sięła głową.

Wes zawahał się, a Ally od razu nabrała podejrzeń, że żałował tego, co między nimi zaszło.

- Wes?

Drgnął. Przed chwilą kochał się z nią. Ale to nie był tylko seks. To miłość. Był czas, nie tak dawno temu, kiedy przysięgłby, że już nigdy nie będzie szczęśliwy. A potem spotkał Ally i ona przywróciła go do życia.

- Kocham cię - szepnął.

- Och, Wes... Ja ciebie także. Pukanie do drzwi powtórzyło się. Wes otworzył.

Przez kilka chwil panowała jedynie martwa

349

cisza, która nagle zamieniła się w pełne radości okrzyki.

- To ty! Na Boga! Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę! - wrzasnął Charlie Frame, po czym chwycił Wesa w objęcia. - Chłopie, to naprawdę ty? - Popatrzył mu uważnie w oczy.

Wes uśmiechnął się, lekko zażenowany.

- Tak, Charlie, to ja. Charlie poklepał go po plecach.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że tego dokonasz. Wiedziałem, że znajdziesz sposób, żeby do nas wrócić. - Naraz dostrzegł młodą kobietę stojącą nieopodal łóżka. - Stary, przepraszam, mam nadzieję, że wam nie przeszkodziłem...

- W żadnym wypadku. Ally, ten zwariowany facet to mój najlepszy przyjaciel, pułkownik Charles Frame. v

- Proszę mi mówić Charlie - zwrócił się do Ally i podszedł, żeby się z nią przywitać. W tym momencie zauważył jej spuchniętą stopę. - Co się stało? Miała pani wypadek? - dopytywał się.

- W pewnym sensie - odparła Ally spokojnie i podała mu rękę. - Bardzo mi miło cię poznać, Charlie.

Charlie natychmiast uległ urokowi jej miłego, ciepłego głosu, ale jego myśli powędrowały ku Margie.

Gdy odwrócił się, Wes odczytał to z wyrazu jego twarzy.

- Ally uśmierzyła mój ból - powiedział poważnie, bez chwili wahania.

350

Charlie ze zrozumieniem pokiwał głową, pamiętając, w jakim stanie był Wes, gdy się ostatnio widzieli. Aż trudno było uwierzyć, że zaszła w nim tak wielka zmiana. Spojrzał z podziwem i szacunkiem na Ally.

- Uciekaliśmy przed pożarem, który wybuchł w górach - wyjaśnił Wes. - Ojciec Ally jest w szpitalu, ale nadal nie wiadomo, co stało się z jej braćmi.

Charlie spoważniał. Nie wiedział, że sytuacja w Blue Creek była tak poważna.

- Wybaczcie mi - poprosił. - Nie miałem pojęcia. Byłem tak skoncentrowany na tym, żeby odszukać Wesa...

- Nie musisz się tłumaczyć - powiedziała Ally. - To zrozumiałe, że tak ucieszył cię widok przyjaciela. Znam to uczucie. Ja też się cieszę, że Wes odzyskał chęć do życia.

Charlie uśmiechnął się i zmienił temat.

- Powiedz mi, Wes, dlaczego węszy tu O-środek Kontroli Chorób i Agencja ds. Zwalczania Narkotyków?

- W dużym skrócie wygląda to następująco. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że mieszkający tu szalony naukowiec pracował nad niezwykłymi metodami bioterroryzmu. Prawdopodobnie wynalazł nowy narkotyk, który jest tym groźniejszy, że w krótkim czasie po zażyciu powoduje zaburzenia w psychice.

Charlie otworzył usta ze zdumienia.

Nie zdążył jednak zadać następnego pytania, bo

rozległ się dzwonek telefonu. Ally, która siedziała najbliżej, podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Pani Monroe, mówi agent Hurley. Czy jest Wes Holden?

- Tak, chwilczkę. Wes, pan Hurley do ciebie.

- Kto to? - zapytał szeptem Charlie, gdy Wes ujął słuchawkę.

- Agencja ds. Zwalczania Narkotyków - wyjaśniła Ally.

- Tu Holden - przywitał się Wes. - Co nowego?

- Proszę, żebyś zachował spokój i nie okazał żadnej reakcji przed Ally Monroe. Mamy wiadomości na temat jej braci.

Wes poczuł się, jakby zniemacka otrzymał cios w głowę. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miał nadzieję, że wiadomości będą pomyślne, ale ton Hurleya nie wróżył niczego dobrego. Jednak musiał się opanować, bo nie chciał denerwować Ally.

- Rozumiem. Zatem, co pan o tym sądzi? - spytał spokojnie Hurleya.

- Nic nie sądzę. To są fakty. Możesz tu przyjechać? Natychmiast.

Wes pokiwał głową i nawet zmusił się do uśmiechu, a następnie mrugnął do Ally, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

- Jasne. Wyślecie samochód?

- Już czeka. I... nie przejmuj się substancjami toksycznymi. Zajmiemy się tym na miejscu, kiedy tu dotrzesz.

352

- W porządku. Do zobaczenia. - Zawiesił słuchawkę i zwrócił się do Ally.

- Kochanie, myślę, że będziemy musieli odłożyć nasze zakupy.

- Czy wiadomo już coś o moich braciach? Zmarszczył czoło, jakby rozważał to, co usłyszał przed chwilą.

- Nie. Na razie nic. - Poczul się fatalnie, okłamując ją. - Hurley chce jeszcze raz przedyskutować kilka szczegółów i zadać mi kilka pytań na temat Storma. Przykro mi, ale muszę cię zostawić. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

- Jadę z tobą - oznajmiła. Spojrzał znacząco na jej stopę.

- Nie jesteś jeszcze w najlepszej formie. Nie możesz nawet włożyć buta, a poza tym ten teren to pogorzelnisko pełne sadzy i toksycznych substancji. Ale jeśli nie chcesz zostać w motelu, mogę cię zabrać do siostrzenicy Babci Devon.

Ally skrzywiła się niezadowolona. Nie miała ochoty na wizyty i pogaduszki, kiedy być może rozstrzygały się najistotniejsze dla niej sprawy.

- Zostanę tu, jeśli przyniesiesz mi trochę lodu i jakiś zimny napój - powiedziała. - Pooglądam telewizję i być może uda mi się odespać ostatnią noc, bo w szpitalu prawie nie zmrużyłam oka.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją Wes. - Niedługo wracam, a gdyby coś się działo, zadzwonię.

- Przyniosę lód i coś do picia - zaproponował Charlie i pospieszył do sklepu.

353

Wes pocałował ją na pożegnanie. Ally westchnęła. Gdyby tylko otrzymała pomyślne wiadomości o losach braci, poczułaby się w pełni szczęśliwa.

- Wes?

- Co, kochanie?

- Obiecujesz, że dasz mi znać natychmiast, gdy czegoś się dowiesz?

- Tak.

- Bez względu na to, czy będą to dobre, czy złe wiadomości... muszę wiedzieć.
- Obiecuję.

Charlie powrócił z kilkoma puszkami co-ca-coli, wiaderkiem lodu i trzema batonikami.

- Aż trzy? - zapytała zdumiona, gdy położył je na jej kolanach.
- Od przybytku głowa nie boli - zażartował Charlie.

Ally roześmiała się.

- Nie należy przynosić kobiecie czekolady do łóżka. To bardzo ryzykowne posunięcie.

Wes chwycił Charliego za ramię.

- Chodźmy stąd, zanim pobijemy się o moją panią.

Obaj mężczyźni śmiali się serdecznie, gdy wychodzili z pokoju. Ally usiadła, opierając się o poduszkę i sięgnęła po pilota. Wybrała kanał, otworzyła puszkę zimnej coli i rozpakowała batonik.

- Nazwał mnie swoją panią - powiedziała do siebie i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

354

Gdy tylko wyszli, nastrój Wesa uległ zmianie. Charlie natychmiast to zauważył.

- Stało się coś złego, prawda?
- Być może - odpowiedział poważnie Wes.
- Jadę z tobą.
- No to ładuj się - zaprosił go Wes, pokazując na vana, który już czekał przed motelem.

Gdy jechali przez Blue Creek, Charlie wciąż miał bardzo dużo do opowiedzenia Wesowi, który uważnie słuchał, lecz wszystko, o czym mówił przyjaciel, właściwie straciło dla niego znaczenie. Polityka wojskowa i wojna były najlepiej pojmowane przez tych, którzy mieli z nimi do czynienia na co dzień, a Wes nie chciał angażować się w te sprawy. Już nigdy więcej. Wjechali na most na rzece Blue Creek. Deski grzechotały pod kołami i te dźwięki znowu przypomniały Wesowi odgłosy serii z karabinów maszynowych. Jego palce zacisnęły się bezwiednie na brzegach fotela, a czoło pokryło się zimnym potem. Siedział sztywno, ze wzrokiem utkwionym w zniszczonym pożarem wzgórzu.

- Wes? - zaniepokoił się Charlie.

Wes miał nieruchomy wzrok, a jego zmysły były przytępione obrazami z przeszłości.

Przestraszony Charlie chwycił go mocno za ramię i potrząsnął.

- Hej, Wes! Co się z tobą dzieje?

Wes drgnął, zamrugał oczami, jakby budząc się ze snu i z ulgą odetchnął.

- Co powiedziałeś?

355

Charlie westchnął ciężko.

- Człowieku, ty przecież wciąż jesteś na wojnie, prawda?

Wes zastanawiał się przez chwilę, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Masz na myśli te chwile, kiedy przestaję prawidłowo postrzegać rzeczywistość? Cholera, tak. Nie panuję nad tym.

Wtedy Charlie uzmysłowił sobie, że wszystko, o czym opowiadał przyjacielowi, musiało mu się wydać błahe i nieważne.

- Przepraszam cię, stary. Nie zdawałem sobie sprawy, że jeszcze cię to dręczy.

- W porządku. - Wes wzruszył ramionami.

— Ogólnie czuję się bardzo dobrze, ale zdarza się, że coś wyzwala bolesne wspomnienia i wtedy zupełnie się wyłączam. Tak jakbym nagle pobłądził...

- Przepraszam. Koniec pytań, zgoda?

- Za to ja mam kilka pytań do ciebie - powiedział Wes.

- Strzelaj - odrzekł Charlie i zaśmiał się.

- Przepraszam za to słowo.

- Gdzie pochowano Margie i Michaela?

Po raz kolejny Charlie poczuł się podle. Jego żart był zupełnie nie na miejscu.

- Rodzice Margie poprosili o wydanie ich ciał. Pochowali ich w rodzinnym grobowcu w Savan-nah. Tak to wygląda...

Wes wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie, że rozmawiają o jego najbliższych w czasie przeszłym. Poczuł dojmujący ból.

356

Charlie westchnął ciężko.

- Człowieku, ty przecież wciąż jesteś na wojnie, prawda?

Wes zastanawiał się przez chwilę, zanim zdobył się na odpowiedź.

- Masz na myśli te chwile, kiedy przestaję prawidłowo postrzegać rzeczywistość? Cholera, tak. Nie panuję nad tym.

Wtedy Charlie uzmysłowił sobie, że wszystko, o czym opowiadał przyjacielowi, musiało mu się wydać błahe i nieważne.

- Przepraszam cię, stary. Nie zdawałem sobie sprawy, że jeszcze cię to dręczy.

- W porządku. - Wes wzruszył ramionami.

- Ogólnie czuję się bardzo dobrze, ale zdarza się, że coś wyzwala bolesne wspomnienia i wtedy zupełnie się wyłączam. Tak jakbym nagle pobłądził...

- Przepraszam. Koniec pytań, zgoda?

- Za to ja mam kilka pytań do ciebie - powiedział Wes.

- Strzelaj - odrzekł Charlie i zaśmiał się.

- Przepraszam za to słowo.

- Gdzie pochowano Margie i Michaela?

Po raz kolejny Charlie poczuł się podle. Jego żart był zupełnie nie na miejscu.

- Rodzice Margie poprosili o wydanie ich ciał. Pochowali ich w rodzinnym grobowcu w Savan-nah. Tak to wygląda...

Wes wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie, że rozmawiają o jego najbliższych w czasie przeszłym. Poczuł dojmujący ból.

356

- To dobrze - powiedział. - Margie na pewno byłaby zadowolona. - Przełknął ślinę, wciąż dławilo go w gardle. - Byłeś...? Mam na myśli pogrzeb.

- Tak.

- Dziękuję ci - szepnął wzruszony Wes. - Przez cały czas nie dawało mi to spokoju... nie wiedziałem gdzie...

Nagle przerwał i nerwowo przyglądził włosy, z trudem powstrzymując się, żeby nie uderzyć pięścią w oparcie fotela.

- No, to opowiedz mi wreszcie o Ally - poprosił Charlie. - Jest inna... inna niż Margie...

- Dzięki niej czuję...

Charlie patrzył na niego uważnie, próbując zrozumieć.

- Co czujesz?

- Wszystko. Był czas, kiedy nie czułem zupełnie nic - odparł, po czym zmienił temat rozmowy, gdyż właśnie przejeżdżali obok miejsca, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej stał dom Monroe'ów.

- To tutaj mieszkała z ojcem i braćmi.

Z domu pozostały jedynie betonowe fundamenty i schody, które wiodły na werandę. Reszta obejścia zmieniała się w stos zwęglonych i okopconych zgliszczy.

- Cholerna szkoda - odezwał się przejęty tym widokiem Charlie.

Trzy kilometry dalej, ku swojemu zdumieniu, Wes zobaczył domek wuja Dooleya. Nie został strawiony przez ogień, bo miał ściany z betonu

357

i blaszany dach. Dzikie wino oczywiście spłonęło, ale Wes wiedział, że szybko odrośnie. Ta roślina była niemal niezniszczalna. Pomyślał, że Ally ucieszy się z tej nowiny.

- Mieszkałem tutaj - wyjaśnił Charliemu, wskazując ręką osobliwą chatkę.

Charlie roześmiał się.

- Wygląda jak wielka zabawka.
- Był własnością wuja Ally, Dooleya Browna. Myślę, że facet miał kapitalne poczucie humoru.
- Dlaczego? - zapytał Charlie.
- Przyjrzyj się temu domkowi. Co ci przypomina?
- Sam nie wiem... Dekorację z filmu Disneya lub miniaturowy silos.
- Dooley Brown był karłem.
- Żartujesz.
- Nie. Przez pierwsze dwie noce uderzałem podbródkiem o kolana, kiedy próbowałem wstać z łóżka. Wszystko jest normalnych rozmiarów, tyle że umieszczone niżej.
- Diabelnie stroma ta droga. Ależ to odludzie, chyba trudno tu dotrzeć - dziwił się Charlie.
- Niestety nie wszystkim - odparł Wes, myśląc o tym, ile zła i zniszczenia dokonał w tych górach Roland Storm. Po chwili już było wiadomo, gdzie rozpoczął się pożar. Dom Storma spłonął doszczętnie, podobnie jak suszarnie i stodoła. Pole pokryte było zwęglonymi roślinami, na środku stał prawie kompletnie spalony traktor, jakby żywcem przeniesiony z wystawy współczesnej

358

sztuki. Niejeden awangardowy artysta chętnie przypisałby sobie autorstwo takiej rzeźby. Tytuł dzieła narzucał się sam: „Destrukcja”.

- Boże... to wygląda jak strefa działań wojennych - mruknął pod nosem Charlie.
- Wes w milczeniu wysiadł z samochodu. Trudno było powiedzieć cokolwiek, co oddałoby lepiej grozę sytuacji. Nagle zobaczył Hurleya i przygotował się na złe wiadomości.
- Wes, dzięki, że się zjawileś.
- To mój przyjaciel, pułkownik Charles Frame. - Wes przedstawił kolegę. - Nie włożyliście kombinezonów ochronnych? - zdziwił się, widząc, że agent ma na sobie zwykłe ubranie.
- Shero twierdzi, że to nie jest konieczne. Przebrali się tylko jego ludzie, którzy pobierają próbki z całego terenu. Powiedział nam również, żebyśmy niczego nie dotykali, bo to strasznie utrudnia śledztwo.
- To po co zostałem wezwany? - spytał Wes. Hurley wskazał na Shero, który siedział na zderzaku vana i z uwagą przeglądał książkę.
- Niech pan z nim porozmawia. Wes podszedł do doktora.
- To pewnie jakiś bestseller... - zagadnął go. Christopher Shero spojrzał na niego z kamienną powagą.

- Znaleźliśmy to w metalowym pudełku w miejscu, gdzie było laboratorium Storma.
- Wiadomo już, co robił?

Shero potrząsnął głową i zamknął książkę.

359

- Najprościej można by to ująć tak, że próbował zabawić się w Boga. Ale to niezbyt precyzyjne stwierdzenie.

- To znaczy? - dociekał Wes.

- Od czego powinienem zacząć... - Shero zamyślił się. - Ulubionym powiedzeniem mojej babci było: nie igraj z ogniem, bo się poparzysz. Nie jestem pewien, czy Storm dostatecznie zdawał sobie sprawę z tego, co robi. Być może stworzył potwora, nad którym utracił kontrolę. Wesowi zrobiło się niedobrze. Czuł, że nie spodoba mu się to, co za chwilę usłyszy.

- Na litość boską, panie doktorze! Może pan mówić jaśniej?

- Rozwiązanie tej zagadki chyba wykracza poza moje kompetencje - przyznał Shero. - Sądzę jednak, że należy go szukać w pobojowisku na tym polu lub w zapiskach Storma. Myślę, że zaczął uprawiać jakąś wysoce zmodyfikowaną roślinę o działaniu halucynogennym. Podobno Storm był doskonałym genetykiem, dlatego wiedział, jak doprowadzić do zmiany kodu DNA. Na początku cieszył się, że już pierwsza dawka jego narkotyku silnie uzależnia. Oznaczało to, że popyt na jego produkt nigdy nie wygaśnie. Jednak potem zdarzyło się coś, czego nie umiał przewidzieć. Notatki są chaotyczne, a pismo niemal nieczytelne, co dowodzi, że Storm był bardzo wzburzony. Zupełnie jakby przestraszył się własnego odkrycia. Napisał, że narkotyk nie jest wydalany z organizmu, lecz odkłada się w organach wewnętrz-

360

nych. To oczywiście prowadzi do bardzo szybkiej śmierci.

Wes wolałby nie zadawać żadnych pytań, ale musiał coś wyjaśnić.

- Czy zagrożenie nadal istnieje?

- Wie pan co? Dobrze, że wszystko się spaliło, bo w przeciwnym razie musiałbym szybko uaktualnić testament.

- Chryste - westchnął Wes, myśląc o Dannym i Porterze. - A co z samymi roślinami? Czy też są tak toksyczne? Co z tymi, którzy je ścinali i zbierali?

- Właśnie dlatego zostałeś tu poproszony

- oznajmił mu Hurley.

- Bracia pani Monroe... Co z nimi? - zapytał

Wesley.

- Jeśli już nie są martwi, to wkrótce będą

- odpowiedział Shero.

- Skąd ta pewność?

- Storm stworzył coś potwornego, w dodatku stracił kontrolę nad sytuacją. Najbardziej toksyczny okazał się gęsty sok wypełniający łądygi rośliny.

Wes zrozumiał.

- Bracia Ally zostali wynajęci do ścinania

łądyg...

- Czy mieli na sobie ubranie ochronne? - spytał doktor.

- Nie sądzę - odpowiedział Wes. - Pamiętam, jak ich siostra mówiła, że bardzo się zdenerwowali, kiedy chciała uprać ubrania, w których

361

pracowali na polu Storma. Kategoriecznie jej tego zabronili.

- Zatem nie ma dla nich nadziei. Nawet jeżeli ocaleli z pożogi, co nie wydaje się prawdopodobne. Umrą, ale wcześniej zajądą nieodwracalne zmiany w ich mózгах.

- To znaczy?

- No cóż, według Storma szczury laboratoryjne usiłowały zabijać się nawzajem, lecz ponieważ były w odizolowanych od siebie klatkach, zaczęły odgryzać własne łapy.

Wes wzdrygnął się.

- Musimy ich znaleźć - powiedział z determinacją.

- Właśnie rozesłałem ekipy poszukiwawcze - zakomunikował Hurley. - Powinniśmy zaraz...

Nagle odezwała się jego krótkofalówka.

- Mówi Vernon. Proszę tu natychmiast przyjść.

Hurley włączył radiotelefon.

- Gdzie jesteście?

- Na południowym krańcu pola.

- Idziemy.

- Proszę pana, proszę zabrać ze sobą lekarza.

- Zrozumiałem - potwierdził Hurley.

- I proszę o pośpiech. Na Boga, szybko. Bracia z pewnością zostali znalezieni. Wes przebiegł obok Hurleya.

- Holden! Zaczekaj!

- On nigdy nie czeka - powiedział Charlie i pobiegł za Wesem.

362

Hurley pomachał ręką do swoich ludzi, żeby pospieszyli wspomóc Vernona. Wydawał się bardzo poruszony i wszystko wskazywało na to, że jego nastrój udzielił się całej ekipie.

W powietrzu unosił się silny śwąd. Wes doskonale wiedział, że upłyną całe tygodnie, a może nawet miesiące, zanim ta ziemia znów ożyje.

Gdy dobiegł do pola, zobaczył niewielką grupę mężczyzn.

Był już od nich nie dalej niż dziesięć metrów, kiedy grupa nagle rozdzieliła się i Wes zauważył, że ktoś leży na ziemi.

- Jezu - wyjąkał i zatrzymał się gwałtownie. Hurley i jego ludzie biegli wolniej. Gdy Wes przybył na miejsce, wszyscy stojący w kole mężczyźni natychmiast zaczęli coś do niego mówić. Wes skamieniał ze zgrozy, nie mógł się poruszyć ani nic powiedzieć.

Nagle pojawił się przy nim Charlie i wpił palce w jego ramię.

- Chłopie, kto to jest, i co mu się, u diabła, stało? - spytał zdławionym głosem.

Hurley zwrócił się do Wesa.

- Czy to jeden z nich?

- To niemożliwe... - odpowiedział Wes.

- Niech to cholera, człowieku, przecież musimy wiedzieć!

Wes z dużymi oporami zrobił krok do przodu. Leżący na ziemi mężczyzna popatrzył prosto

363

w słońce i zaczął krzyczeć. Gdy jeden z ludzi wyciągnął do niego rękę, Shero powstrzymał go gwałtownie.

- Niech pan go nie dotyka - rozkazał.

- Jest cały we krwi, ale nie widzę żadnych ran - stwierdził zaaferowany Vernon.

- Nie sądzę, żeby to była jego krew - powiedział Shero.

- To Porter Monroe - powiedział Wes.

- Jest pan pewien? - Hurley westchnął.

- Tak.

- Biedny facet - mruknął doktor pod nosem.

- Dlaczego nie jest martwy? - dociekał zaintrygowany Hurley.

- W zasadzie jest. Tyle że jego serce jeszcze nie przestało pracować - szepnął Shero.

Wes przykucnął przy Porterze.

- Niech pan go nie dotyka! - wrzasnął Shero. Drgnął i spojrzał na doktora.

- Nie musi pan krzyczeć, do cholery. Nie wie pan, co on słyszy i co myśli.

- Z notatek Storma wynika, że on już nie powinien żyć - odpowiedział mu Shero.

Wes wskazał palcem na Portera.

- Ale żyje, prawda? Co oznacza, że Storm się pomylił... Wciąż nie wiemy, gdzie jest jego brat, a ja chciałbym udzielić ich siostrze wyczerpujących informacji.

Shero spiorunował go wzrokiem. Wes znów spojrział na Portera, myśląc cały czas o szczurach, które odgryzały sobie łapy. Nigdy

364

jeszcze nie widział tak zakrwawionego, a mimo to żywego człowieka.

- Porter, słyszysz mnie? To ja, Wes Holden. Porter podniósł rękę i zaczął powoli poruszać palcami.

Wes na chwilę zacisnął zęby.

- Porter! Gdzie jest Danny? Nie możemy znaleźć Danny'ego.

Porter powoli mrugnął powiekami. Przestał ruszać palcami, ale rękę wciąż trzymał wysoko w powietrzu.

- Porter, muszę znaleźć Danny'ego. Gdzie jest Danny?

- Sarna... zdobyłem dla taty sarnę. Dzikizna... on lubi dzikiznę.

Wes poczuł ulgę. Krew. To musiała być krew tej sarny.

- Czy Danny też poszedł na polowanie? - zapytał Wes. - Powiedz mi, Porter. Czy Danny był z tobą?

- Zabłądził - wyszeptał Porter. - Braciszek zabłądził. - Przewrócił oczami, a jego oddech utknął gdzieś w głębi gardła. Porter nie żył.

Wes podniósł się powoli. Hurley, gotowy do prowadzenia dalszego śledztwa, zapytał Vernona:

- Skąd przyszedł ten mężczyzna? Vernon usiłował opanować emocje.

- Znaleźliśmy go tutaj - odpowiedział.

Wes badał już ślady krwi na ziemi, co zirytowało Hurleya.

365

- Wes, odsuń się. Mam do tego ludzi - powiedział. - Pozacierasz ślady.

- Nie ma pan lepszego eksperta od pułkownika Holdena - poinformował go Charlie. - Poza mną, oczywiście. Zostaliśmy świetnie wyszkoleni i chętnie panu pomożemy. Byłby pan skończonym głupcem, odrzucając tę ofertę.

- Dobrze, ale to ja tu dowodzę, rozumiano? Lepiej, żeby wszyscy przyjęli to do wiadomości.

Charlie poszedł za Wesem, pozostawiając Hur-leya z całą jego ferajną. Niech sobie ustalają, kto jest szefem, a kto podwładnym.

Wes szybko ustalił, skąd przyszedł Porter. Krew znajdowała się wszędzie. Ślady Portera były dość wyraźne, ale trudne do prześledzenia. Najprawdopodobniej często się potykał i przewracał, a także wielokrotnie zmieniał kierunek swej wędrówki. Wes sądził, że na skutek zamętu, jaki ogarnął jego znekany i toczony szaleństwem umysł.

Charlie dołączył do Wesleya i bez zbędnych słów zaczęli iść po śladach Portera.

Gdy ruszyli w dół wzgórza i weszli do nietkniętego pożarem lasu, Charlie nagle się zatrzymał.

- Co znalazłeś? - spytał Wes.

- Martwego królika.

- Nie dotykaj go - poradził mu Wes. - Pamiętaj, co powiedział Shero.

Charlie ominął zwierzę szerokim łukiem i wznowił poszukiwania.

366

W niewielkiej odległości Wes natrafił na martwego jelenia. Niektóre odrosty jego poroża były odłamane. Znaleźli je nieopodal, powbijane w drzewo. Kontynuowali poszukiwania, słysząc za plecami głosy Hurleya i jego ekipy.

- Tutaj - powiedział Wes, wskazując na ścieżkę wśród gęstwiny. - Widziałem krew i połamane gałęzie.

Charlie pokiwał głową i bez słowa podążył za przyjacielem.

Upływające minuty zamieniły się w całe pół godziny, i Wes doszedł do wniosku, że Porter nie mógł dojść dalej niż do tego miejsca. Nie starczyłoby mu sił. Nagle do jego uszu dobiegł jakiś dźwięk. Zatrzymał się i podniósł rękę. Charlie zobaczył sygnał i także przystanął.

Spojrzał na Wesa i zmarszczył czoło.

- Pszczoły?

- W każdym razie jakieś owady - powiedział Wes. - Taki dźwięk, jakby się roiły.

- Lepiej poczekajmy - poradził Charlie. - Pamiętam, co mówiłeś o mrówkach.

Wes obrócił się w stronę Hurleya i przywołał go ruchem dłoni.

Po chwili agent był przy nim.

- Co jest?

Wes wskazał mu kierunek, z którego dochodził dźwięk.

- Niech pan posłucha.

Najpierw słyszeli tylko wiatr szumiący w koronach drzew. Zauważyli również, że nigdzie
367

nie ma ptaków. Vernon pierwszy rozpoznał dziwne dźwięki.

- Pszczoły. Wygląda na to, że się roją.
- Zachowują się tak, jakby uznały, że jest ich za dużo i postanowiły przerzedzić swoje szeregi
- doszedł do wniosku Charlie.

Vernon zbladł i zaczął nerwowo rozglądać się wokół.

- Może wezwiemy ludzi z Ośrodka Kontroli Chorób? - zaproponował.

Tymczasem Charlie już ruszył w tamtym kierunku. Zrobił kilka kroków pomiędzy dwoma rozrośniętymi krzakami i nagle się zatrzymał.

- O, Boże - wyjąkał przerażony, odwrócił się i zwymiotował.

Wes znalazł się tuż przy nim. Cokolwiek miał powiedzieć, zamarło mu na ustach. Stał przez chwilę nieruchomo, po czym chwycił Charliego za rękę i pociągnął go do tyłu, o mało nie zderzwszy się z Hurleyem, który właśnie nadchodził.

- Nie, nie chodź tam... - powiedział tylko. Hurley zdenerwował się.
- Przykro mi, Holden, ale to moja sprawa i...
- Nagle zaczął powoli się wycofywać. - Boże, miej litość - wyszeptał zbielełymi wargami.
- Co to jest? - zapytał Vernon. - Co tam znaleźliście?

Wes miał ochotę krzyczeć, ale bał się, że jeśli zacznie, może nigdy nie przestać.

- Biedny Danny. Prawdopodobnie Porter myślał, że to sarna.

368

Odwrócił się w stronę Hurleya i jego ludzi i rzekł spokojnie:

- Możecie napisać w swoich raportach, co tylko chcecie, ale pani Monroe nie może poznać prawdy. Jeżeli ktoś z was powie jej, co tutaj widział, znajdę go i sprawię, że będzie przeklinać dzień, w którym przyszedł na świat.

Hurley już chciał ostro przywołać go do porządku, ale szybko zrezygnował z tego nierozważnego pomysłu.

- Nie chcemy, żeby cokolwiek stąd wydostało się na zewnątrz - zgodził się. - Dlatego zwłoki nie mogą trafić do zwykłego domu pogrzebowego. Muszą zostać spalone.
- Wrócę teraz do Blue Creek i powiem pani Monroe, że znaleźliście szczątki jej braci. Potem pojedziemy do miejscowego domu pogrzebowego, gdzie zlecimy wykonanie dwóch porządných trumien. Puste trumny pochowamy na cmentarzu w Blue Creek. Czy to jasne?

Hurley przytaknął pośpiesznie.

Bez oglądania się na Charliego Wes ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Było mu niedobrze i trząsał się tak, że co chwila się zataczał. Nie wiedział dokładnie, co powie Alfy, lecz na pewno nie wyzna jej prawdy. Bo jak mógłby wyjaśnić, że jeden z jej braci zginął w straszliwych męczarniach, ale przedtem wypatroszył drugiego, przekonany, że to sarna?

Zanim Wes wyszedł z lasu, ciało Portera zostało przykryte, a jeden z ludzi Hurleya pełnił przy
369

nim rolę strażnika. Skinął Wesowi głową i popatrzył gdzieś w dal.

Wes kontynuował swój marsz.

Wreszcie obaj z Charliem dotarli do vana. Czekał na nich nowy kierowca, który przedstawił się jako agent Devine.

- Skończyliśmy robotę - odezwał się Wes.

- Proszę nas odwieźć do miasteczka.

Charlie w milczeniu wsiadł do samochodu. Przez całą drogę w dół wzgórza nie spuszczał z oczu Wesleya.

- Przestań się martwić - odezwał się w końcu Wes, widząc zatroskane spojrzenie przyjaciela.

- Nic mi nie będzie.

Charlie przetarł rękami twarz, jakby tym gestem chciał wymazać wszystkie obrazy, które przed chwilą oglądał.

- Boże, widziałem coś, co... Niezbadane są Twoje wyroki...

Wes ciężko westchnął.

- Prawie ich nie znałem - powiedział. - Myślę jednak, że byli dobrymi chłopakami. Zostali oszukani przez tego drania. Skusił ich grubą forszą. Ale oni zapłacili najwyższą cenę.

- A co z nim? - zainteresował się Charlie.

- Jak nazywa się ten szalony łajdak? Stern?

- Storm. Roland Storm. Mam nadzieję, że jego żaloszny zewłok leży gdzieś tam w górach i obraca się w popiół.

- Dobrze się czujesz? - zapytał troskliwie Charlie. - Mam na myśli, no wiesz... Czy to

370

wszystko nie wywołało u ciebie żadnych złych wspomnień?

- Nie.

- Co zamierzasz powiedzieć Alfy?

- Że ją kocham. I nie mam pojęcia, co jeszcze.

-\

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Roland spędził noc pod rampą załadowniczą na tyłach magazynu Harolda Jamesa. Wolał nie myśleć o tym, jak po pożarze wygląda jego dom. Nie łudził się, że cokolwiek ocalało. Nie interesowało go również, co stało się z braćmi Ally, których wynajął do pracy. Pewnie już nie żyją, a jeśli spłonęli, tym lepiej. Dzięki temu nikt nigdy nie dowie się, co naprawdę było przyczyną ich śmierci.

A jeżeli zginęli również Holden i Ally, miał szansę wyjść na prostą i rozpocząć wszystko od nowa. Odbierze pieniądze z ubezpieczenia i postara się zapomnieć o koszmarze, jaki przeżył. Jednak najpierw musi się stąd wynieść. Im dalej, tym lepiej.

Na skórze miał bąble po oparzeniach, zdawał sobie sprawę, że powinien pójść do lekarza, ale postanowił odłożyć to na później. Dopóki nie przekona się, że wszyscy świadkowie nie żyją, poczeka w ukryciu.

Przekręcił się na bok, próbując wyczołgać się

372

spod rampy, kiedy natknął się na bardzo dużego kota. Na jego widok kot zjeżył sierść i zasyczał jak wąż. Roland spróbował go przepędzić za pomocą kamienia. Udało się, trafiony kot opuścił niebezpieczne miejsce w okamgnieniu, ale zanim Roland wygramolił się z kryjówki, otworzyły się jakieś drzwi, więc gwałtownie cofnął głowę. Usłyszał wymyślne przekleństwa, a potem zniecierpliwiony głos.

- Kici, kici. Scooby, gdzie jesteś?

Roland uśmiechnął się pod nosem. Harold James nawoływał to parszywe kocisko, zupełnie jakby od tego zależało jego życie. Chwilę potem Roland usłyszał śmiech Harolda.

- Jesteś, draniu. Chodź, czas na śniadanko. Rozległo się szuranie i mlaskanie, metaliczny stukot miski, po czym do uszu Storma dobiegł jeszcze jeden głos.

- Cześć, Harold. Miałem nadzieję, że cię tu znajdę.

- Witaj, Duane. Muszę tylko nakarmić kota. Poczekaś minutkę?

- Jasne, nie spiesz się. A gdzie się podziewa twój pomocnik?

- Podobno jeszcze siedzi w górach. Ktoś mi powiedział, że przyjechali po niego ludzie z Agencji ds. Zwalczania Narkotyków.

Roland otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i zaklął szpetnie. Holden żył, a zatem zapewne zdołał też uratować Ally Monroe.

- Czy to ci faceci w furgonetkach? - spytał Duane.

373

- Nie, to są ludzie z Ośrodka Kontroli Chorób. Rolanda zmroziło. Ośrodek Kontroli Chorób?

Agencja ds. Zwalczania Narkotyków? Co się tu, do cholery, dzieje?

Właściwie doskonale wiedział, co się dzieje.

Albo Holden, albo Ally, albo oni oboje wezwali ludzi z agencji rządowych.

- Wiesz może, jak się czuje Gideon? - zainteresował się Duane.

- Ktoś mówił dziś rano, że nadal jest na oddziale intensywnej terapii.

- A niech to...

- Ja także dostałbym ataku serca, gdybym stracił dom i na dodatek nie wiedział, co dzieje się z moimi synami.

Roland poruszył się nerwowo. Nigdy nie myślał o takim obrocie sprawy. To nie on wywołał pożar i nie zamierzał teraz ponosić winy za wszystkie okoliczne tragedie.

- A co z córką Gideona? - pytał dalej Duane. - Dobrze, że Gideon przybył na czas do domu, inaczej ona i ten twój pracownik, Wes Holden, spłonęliby żywcem.

- Słyszałem o tym - odrzekł Harold.

- Czy ona też jest jeszcze w szpitalu?

- Nie sądzę. Widziałem, jak rano Holden zawiózł ją do motelu. Mają tam zostać, dopóki to wszystko się nie wyjaśni. No, którą karmę wolisz? Mam worki po dwanaście i dwadzieścia cztery kilogramy.

- Daj mi tuzin tych dwunastokilogramowych

374

- zażyczył sobie Duane. - Te większe są dla mnie za ciężkie. Nie jestem już taki młody.

Harold zaśmiał się.

- Obaj się starzejemy - zauważył i dodał:

- Podjedź tutaj, to będzie je łatwiej załadować.

- W porządku.

Roland poczekał, aż kroki obu mężczyzn oddalą się, po czym wygramolił się spod rampy i wślizgnął w uliczkę pomiędzy budynkami.

Stał na niej około minuty, zanim zdecydował, co dalej. Nie powinien kręcić się w pobliżu baru, a zatem nie ma mowy o zjedzeniu śniadania. Skoro ten przeklęty Holden wezwał tu agentów, to zapewne Ally zdążyła już powiedzieć im wszystko, co wiedziała. Do wściekłości doprowadzała go myśl, że po koszmarze, który przeszedł, to z niego zrobią kozła ofiarnego. Nie planował wyhodować tak toksycznej rośliny, to zwykły wypadek przy pracy.

Jego uwaga skupiła się teraz na tym, żeby zdobyć jakieś ciuchy, w które mógłby się przebrać. W miasteczku było tylu obcych, że z pewnością jakoś uda mu się przemknąć bez zwracania na siebie uwagi. W pewnym momencie uzmysłowił sobie, że nie załatwił dotąd jednej bardzo

ważnej sprawy. Nie pozbył się Ally Monroe, a dziewczyna była ważnym świadkiem i mogła mu poważnie zaszkodzić.

Ekran telewizora w pokoju Ally migał i połyskiwał, ale głos był całkowicie wyciszony.

375

W stojącym na stole wiaderku pływały smętne resztki lodu, puszka po coli i papierek po batonie wylądowały w koszu. Reszta tego, co przyniósł Charlie, wciąż leżała na stoliku przy łóżku. Zmęczona Ally spała.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Pani Monroe! Pani Monroe!

Ally obudziła się, ale była tak rozespana, że przez kilka sekund nie wiedziała, gdzie się znajduje. Gdy trochę oprzytomniała, usiadła powoli na krawędzi łóżka.

- Kto tam?

- Przysłała mnie pani Holden z wiadomościami o pani braciach.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zsunęła się z łóżka, starając się stąpać tak, żeby jak najmniej obciążać chorą kostkę. Podeszła do drzwi i otworzyła je.

Zanim zdołała zareagować, stojący na progu mężczyzna wślizgnął się błyskawicznie do pokoju, chwycił ją za rękę i jednym kopnięciem zamknął drzwi.

- Kim pan...

- Zamknij się! - wrzasnął Roland. - Stul pysk! Ally rozpoznała Storma dopiero po głosie.

- Co? Nie podobam ci się? Jestem niezwykle zadowolony ze zmiany wizerunku - powiedział drwiąco, głaszcząc się po błyszczącej łysinie. Nie tylko obciął koński ogon, ale kazał sobie ogolić głowę na łyso. Po drodze, z jakiegoś sznurka do suszenia bielizny zdjął czyjeś spodnie i koszulę,

376

a z pewnego niezamkniętego samochodu ukradł okulary przeciwsłoneczne. Udało mu się radykalnie zmienić wygląd i był z tego bardzo dumny.

- Co zrobiłeś moim braciom? - spytała bardzo spokojnie.

Roland był zaskoczony. Spodziewał się strachu, łez i hysterii, nie był przygotowany na taką wojowniczą postawę ze strony Ally.

- Ich śmierć była, że tak powiem, niemożliwym do przewidzenia skutkiem wynikającym ze stosunku pracy.

- Nie! - krzyknęła. Nogi ugięły się pod nią, upadła na podłogę, zanosząc się płaczem.

- Zamknij się, suko! - wrzasnął znowu i wykręcił jej rękę.

- Nie! - krzyknęła Ally, zerwała okulary z jego twarzy, usiłując wydrapać mu oczy. Udało jej się kopnąć go z całej siły w krocze.

Zanim zdołał opanować falę potwornego bólu, dziewczyna, kulejąc, dopadła do drzwi. Otworzyła je i zaczęła krzyczeć. Roland, wciąż przyciskając obie dłonie do obolałego krocza, upadł na kolana. Ally udało się wydostać z pokoju, ale nie była w stanie biec. Już po kilku sekundach, potykając się i zataczając, Roland ruszył za nią.

Dalsza jazda odbywała się w kompletnej ciszy. Ani Charlie, ani Wes nie byli w nastroju do rozmowy. Nie mieli ochoty komentować tego, co widzieli. Wes zastanawiał się, co powiedzieć

377

Ally na temat losu jej braci. Gdy wjechali do miasta, wziął głęboki, uspokajający oddech. Cokolwiek się zdarzy, on i Ally mają siebie nawzajem, to pomoże im przetrwać najgorsze.

- Hej, Charlie - odezwał się wreszcie, by przerwać milczenie.

- Tak?

- Przepraszam, że wciągnąłem cię w to wszystko.

- Daj spokój. Srasznie mi przykro z powodu tego, co spotkało tych ludzi. Nie mogę przestać o nich myśleć. A ja sam... No cóż, byłem tylko biernym świadkiem wydarzeń. - Spojrzał na We-sa. - Czułeś tam, w górach?

- Co takiego?

- Obecność szatana.

- Dziwne, że to powiedziałeś. Ally mówiła to samo.

Nagle Charlie wyprostował się i wyciągnął rękę.

- Wes! Na parking!

Wes pochylił się do przodu, lecz miał ograniczone pole widzenia. Agent Devine podjechał bliżej motelu i wtedy zobaczyli Ally. Robiła wrażenie, jakby próbowała uciec. Nagle upadła i zaczęła czołgać się w poprzek parking. Z motelu wybiegi za nią jakiś mężczyzna...

W pierwszym momencie Wes nie rozpoznał go, ale jego długi, nierówny krok wydał mu się dziwnie znajomy.

Po chwili nie miał wątpliwości. To był Roland Storm. A niech to...

378

- Stój! - krzyknął Wes do Devine'a. - Na litość boską, hamuj!

Samochód jeszcze nie zdążył się zatrzymać, gdy Wes był już na zewnątrz. Kierowca zauważył, jak biegnie za wysokim, łysym mężczyzną, próbującym dogonić przerażoną kobietę. Obaj z Char-liem Frame'em ruszyli w tamtą stronę.

Ally zdawała sobie sprawę, że nie uda jej się umknąć Stormowi. Tym razem nigdzie w pobliżu nie było ani Wesa, który mógłby ją uratować, ani żadnych drzew, wśród których mogłaby się ukryć.

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! - krzyczała rozpaczliwie, dopóki nie potknęła się i nie upadła. Nie zważając na ból, usiłowała wstać, ale poczuła rękę Storma zaciskającą się wokół jej kostki i ciągnącą ją do tyłu.

- Nie, nie, Boże, nie! - krzyczała.

Tym razem Storm był ostrożniej szy i nie miała szansy wykazać się celnym kopniakiem. Trzymał ją za włosy i prowadził tuż przed sobą. Do jej szyi przystawił otwarty nóż sprężynowy.

Ally rozpaczliwie szarpała się, usiłując wyrwać się napastnikowi. Nie mogła umrzeć, nie teraz, kiedy wreszcie znalazła miłość, na którą tak długo czekała.

- Uspokój się albo zaraz poderżnę ci gardło. Trudno, najwyżej już nigdy się nie zabawimy - warknął Roland.

Ally zamarła.

379

Zaśmiał się oblesnie, a potem ugryzł ją mocno w ucho.

— Wiesz, jesteś taka sama jak ten twój dziwny wuj kurdupel. Mieszał się w nie swoje sprawy i to go zgubiło - wyjaśnił jej Roland i trochę mocniej przycisnął nóż do szyi dziewczyny.

Ally usiłowała zrozumieć, co chciał przez to powiedzieć, gdy nagle zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Storm nie zdążył wykonać kolejnego ruchu. Nagle poczuł się tak, jakby poraził go piorun. Ally wysliznęła się z jego uścisku. Zorientował się jeszcze, że nie ma już w ręce swojego noża i w tym momencie poczuł zimne, stalowe ostrze, zagłębiające się w jego ciele. Osunął się na chodnik. Leżąc na betonie, z otwartymi oczami, w których odbijało się słońce, dostrzegł jeszcze tego, który zadał mu śmiertelny cios.

Puls odbijał mu się echem w uszach, ale ten jedyny życiodajny dźwięk słabł z każdym uderzeniem serca.

Na wargach czuł miedziany smak własnej krwi, a na palcach zapach szamponu Ally. Do jego uszu dotarł pozbawiony emocji głos, który coś mu oznajmiał, coś, czego nie był w stanie pojąć.

Kiedy nareszcie zrozumiał, o co chodzi, było już za późno. Powinien był opuścić to miasto wcześniej. Wes Holden nie żartował, ostrzegając go, by trzymał się z dala od Ally.

380

Ally nie wiedziała, co się właściwie stało, nawet nie zdążyła zdać sobie sprawy z obecności Wesa, dopóki nie pochwycił jej w ramiona i nie unióśł wysoko.

- Jestem tu, kochanie... Już po wszystkim. Ten łajdak nigdy cię nie skrzywdzi.

Ally zaczęła się trząść i płakać.

- Nie żyją. Nie żyją. Powiedział, że moi bracia nie żyją i... Och, Wes... on zabił także wuja Dooleya.

Wesa zadziwiło okrucieństwo Storma. Wiedział jednak, że gdyby ponownie stanął z nim do walki, nie zawahałby się, postąpiłby tak samo jak przed chwilą.

- Kochanie, tak mi przykro...

Jak spod ziemi pojawił się przy nich Charlie.

- Zabierz ją stąd - powiedział. - Devine i ja musimy zabezpieczyć miejsce, zanim przyjadą ludzie z policji.

Wes szybko zaniósł Ally do motelu. Położył ją na łóżku i wszedł do łazienki, by zmoczyć ręcznik. Po chwili wrócił i usiadł przy dziewczynie.

- Ally, pokaż mi rękę.

Usiadła. Trzęsła się, bo wciąż jeszcze czuła na skórze zimne ostrze noża. Mocno objęła Wesa za szyję.

- Uratowałeś mi życie - wyszeptwała.

Wes rzucił ręcznik na podłogę i mocno objął Ally. Płakała, ale nie załamała się. I to właśnie ta dumna i silna kobieta całkowicie zawładnęła jego sercem.

381

- Przepraszam, skarbie. Nie powinienem cię zostawiać samej.

- To nie była twoja wina. To wszystko przez Storma, prawda?

Wes przyklnął oczy i usiłował nie myśleć

o tym, co widział w górach.

- Tak.

- Moi bracia... Czy agent Hurley ich znalazł? Storm powiedział, że nie żyją.

Wes westchnął ciężko.

- Tak, kochanie, znalazł ich.

- Muszę ich zobaczyć, proszę. Bezwiednie zacisnął dłonie.

- Nie, kochanie, nie. Nie powinnaś, naprawdę nie możesz...

- Ale...

- Kochanie, ten pożar... Oni...

Ally jęknęła, ale przestała nalegać. Wes był jej za to bardzo wdzięczny. Nie musiał kłamać.

Ally uwierzyła w to, w co chciała wierzyć, więc mógł oszczędzić jej straszliwej prawdy.

- Och, Wes, jak mam powiedzieć o tym tacie?

- Ally, kochanie, już nigdy nie będziesz sama ze swoimi problemami. Powiemy mu o tym razem, zgoda?

- Dobrze.

- No to teraz pozwól mi rzucić okiem na swoje ręce.

Uniósł jej dłonie, następnie podniósł ręcznik

I zaczął usuwać ziarenka piasku i żwiru z licznych zadrapań i otarć.

382

- Wes?

- Hm?

- Nasz dom się spalił, prawda? Przerwał na chwilę i spojrzał na nią.

- Tak, kochanie, ale pozostał domek wuja

Dooleya.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale okazało się to zbyt trudne. Nie chciała wracać w góry. Już nigdy nie byłaby tam szczęśliwa.

- Co będzie z tatą? Ze mną i z tobą?

Wes odłożył ręcznik i ujął twarz Ally w swoje dłonie.

- Gdziekolwiek się znajdziemy, twój ojciec

będzie razem z nami.

- Nie wiem, czy on zechce stąd wyjechać

- powiedziała Ally.

W jej głosie było coś więcej niż tylko troska o ojca.

- A czego ty chcesz?

- Być z tobą.

- To już postanowione. Co jeszcze? Jej wargi drżały, oczy zalały się łzami.

- Nie chcę tu zostać.

- Masz na myśli Blue Creek? Skinęła głową.

- Za dużo złych wspomnień.

Boże, doskonale wiedział, o co jej chodziło.

- W porządku, kochanie. Zrozumiałem.

- Co teraz będzie? - spytała niespokojnie. Wes zamyślił się na dłuższą chwilę.

- Zrobimy to, co robi się w takich sytuacjach.

383

Pozbieramy te kawałki naszego życia, które nam zostały, zapłaczemy nad zmarłymi i rozpoczniemy nowe życie, najlepsze, jakie potrafimy stworzyć. Jesteśmy to winni bliskim, których utraciliśmy na zawsze.

- Och, Wes, jesteś największym darem, jaki otrzymałam od życia.

- Ty dla mnie też - powiedział cicho i dodał:

- Czy byłaś kiedyś w Montanie?

Ally powoli pokręciła głową.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy tam pojechali?

- I zostali tam na zawsze?

- Tak.

- Zgadza się, jeśli ty tam będziesz.

- Tam niebo jest bliżej ziemi, a przestrzeń bardziej rozległa, niż możesz sobie wyobrazić — powiedział Wes.

- Brzmi fantastycznie.

Do tej pory każde z nich przędło własną nić życia. Teraz nadszedł czas, by połączyli swe losy i siły i odważnie ruszyli w przyszłość, zostawiając w tyle bolesną przeszłość. Najgorsze mieli już za sobą. Pułkownik John Wesley Holden, niegdyś zagięty podczas pełnienia misji specjalnej, odnalazł dobre.

MBP Zabrze

nr inw.: K1 - 24477

F 1 AMER./S